

B.D.I.C

„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(L'Aigle Blanc)

Octobre 1968

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



# SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

PAŹDZIERNIK  
1968

Nr 51/1198

*Polska walcząca o wolność*

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



MŁODZIEŻ PRAGI MANIFESTUJĄCA PRZECIW ROSYJSKIM NAJEŹDŹCOM

FP 2156

J. Łobodowski: Dramat Czechosłowacji	1
Nagroda „Kultury“ dla „Literarni Listy“	3
W. Opolski: Przed zjazdem PZPR	4
T. Podgórski: Dziwne wystąpienie Gierka w Zabrzu	7
Wiślan: Kraj kontrastów	9
Z życia polskiego	10
Jerzy Brejnak: Westerplatte	12
Z. Grabowski: Esej „O szczęściu“ (II)	13
J. Biernacka: Świętosława	15
I. Wieniewski: We francuskiej „baciarni“	18
Z. L. Zaleski: Wspomnienie o Stanisławie Michalskim	20
F. Goldschlag: Kopciuszek muzyczny	23
F. Chrzanowski: Quartier Latin	26
M. Tomkiewicz: Biada słabym	27
K. Brzozowska: Bohater dwu kontynentów	28
W. Günther: Świadek wydarzeń	31
K. E.: Przeważnie dla Pań	32
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	34
Kage: Kronika wojskowa	35
S. Lubodziecki: Przyczynek do sprawy morderstwa cara Mikołaja i jego rodziny w r. 1918	36
Z. G.: To i Owo	38
S. Legeżyński: Ścinane kwiaty	39

O RECENZJI KSIĄŻKI MITKIEWICZA

Szanowny Panie Redaktorze,

Recenzja książki płka L. Mitkiewicza „Z gen. Sikorskim na obczyźnie“ przez Janusza Kowalewskiego wymagałaby odpowiedzi. Recenzent dość złośliwie charakteryzując ten wysoce interesujący pamiętnik wyluskuje zeń to co obniżyć może czy ośmieszyć gen. Sikorskiego i zwraca się do jego przyjaciół „tych prawdziwych“, niech go wezmą w obronę. Moje świadectwo obszernie choć nie polemizujące znaleźć już musiał na czele wrześnieowego zeszytu „Orla“. Dodać muszę, że recenzent trafnie spostrzega skrajny egocentryzm autora i podejrzliwość w stosunku do bliźnich i często uszczypliwe na nich spojrzenie. Nie dostrzega zaś tego co istotne: że płk. Mitkiewicz daje nam tu pierwszą pełną informację o genezie inicjatywy Litauera w czerwcu 1940 roku, to jest o „ballon d'essai“ sowieckim, co do ułożenia się z rządem Sikorskiego i że tamte punkty porozumienia — przeciw którym autor się nie buntuje — już pokrywały się z jałtańskimi: Polska w „granicach etnograficznych“ i trwale zależna od Sowietów. Cały zaś dalszy stosunek autora do polityki Sikorskiego i jego wysiłków, by nie dopuścić do uznania zaborów sowieckich z 1939 roku jest sceptyczny i krytyczny. Podobnie jak w pracach historyków krajowych. Jest wspólna im tendencja by wielkość tych politycznych zmagania zredukować do błędnych dróg człowieka jakoby próżnego czy chwiejnego. Anegdociarstwo pamiętnikarza ma tu wdzięczne pole. General, bardzo ekspansywny, często monologował, myśląc głośno, zapominając czasem o słuchaczu. Potężny mózg bywał przemęczony i nerwy — bywało — nie wytrzymywały atmosfery, w której przychodziło działać. Do takiego głośnego myślenia należało nawracające uporeczywie pytanie, czemu po odwiedzeniu armii w Rosji nie podjął propozycji Stalina, by odbyć drugą rozmowę w Moskwie. Po Pearl Harbour rozmowa taka byłaby bez widoków.

P. Kowalewski nie zauważył, że według Mitkiewicza, on wraz z gen. Klimeckim przypuszczali, że taka druga rozmowa ze Stalinem musiała się odbyć, bo general z troską napomykał o sprawie granic. Troska była w pełni uzasadniona wynikami wizyty Edena w Moskwie i depeszą Kota z Kujbyszewa.

Ani jednak Mitkiewicz, ani historycy krajowi, jak W. J. Kowalski, Zabiello, Rosen-Zawadzki nie odkryli, że Sikorski był zawsze zakochany w Rosji. To już wyłączna zasługa recenzenta.

P. Kowalewski ubolewa, że w tej książce „ani jedna karta się nie znajdzie“, którą by można włączyć do „najwnioślejszych kart narodowej epopei“. Znajdzie się nie jedna przy dobrej woli. Radzę przeczytać na str. 195—6, opowiadanie gen. Klimeckiego o przeglądzie wojska w Buzuluku. Wstrząsające.

Wydobywa p. Kowalewski z wielu anegdot efekty co jaskrawsze. Klimecki przysta-

wia ministrowi Zaleskiemu pistolet do głowy. Ja sądzę, że to tylko symboliczny skrót ich rozmowy. Z jej uczestników nie żyją Klimecki i płk. Krubski. Płk. Protasewicz, jak oni, uosobienie prawości i rzetelności, osiągalny — i można by go zapytać.

Bywałem w Londynie służbowo, a stale od jesieni 1942 r. Ze zdziwieniem czytam, co w książce tej wyczytał p. Kowalewski o beztroskim, zbytowym życiu naszych kół wojskowych i rządowych. Ciągłe przyjęcia. Co dzień pono bankiet, co noc spisek. Nie przesadzajmy. Spiski, niestety, były. W Rubensie marne jedzenie, jak w polskim kasynie oficerskim przystało. Okresami codzienne — nie tylko conocone alarmy; bywa że Rubens się trzęsie — a już przedtem prezydium Rady Ministrów ścianę postradało, gen. Sosnkowski był ciężko ranny, gen. Haller cudem ocalał z żoną w wypatroszonym bombą hotelu Langham, dom Prezydenta uszkodzony i żandarm zabity. I para królewska cudem ocalała w pałacu Buckingham. A jeszcze nie było przecież bomb latających. Bankietowanie bywa — ale najczęściej obrzędowe i raczej symboliczne a nawet doroczne w Hollyroodzie — na głodnawo. Nasze „ministrowe“ i „wiceministrowe“ przyjęć wieczornych, o ile mi wiadomo, nie wydają; a gdy General ministrów zaprosił do swej siedziby w Iver na herbata, pani Sikorska przyjęła nas po królewsku polskimi pierogami z serem. Jak w Parchaniach.

Na tej plotce przerwałbym odpowiedź na plotkarską recenzję z nieco plotkarskiego pamiętnika płka Mitkiewicza, gdyby nie jeden krzywdzący go zarzut: „wazeliniarstwa“. Jest w tej książce próba charakterystyki generała Sikorskiego. Wdług recenzenta autor „wylewa tu morze wazeliny“. Takie podejrzenie byłoby może usprawiedliwione (mimo karczemnej trywialności wyrażenia) gdyby pamiętnik się ukazał za życia Wodza Naczelnego i z myślą o obiecany generalskim galonie (którego autor się nie doczekał). Ale to pisane (a w każdym razie drukowane) w ćwierć wieku po zgonie Sikorskiego. Jest to ciepłe wspomnienie żołnierza o wodzu jako człowieku — i tym razem nie ze wszystkim promienne — ale przebija tu przywiązanie. Wdzięczność może za to przyjacielskie „Bohunie“ czy „Watażko“ i za częsty długi, serdeczny uścisk dłoni — człowieka, którego wielkości autor dziś nie docenia.

Co zaś do recenzenta to „jak o Rycywole zamilczeć wolę“.

M. Kukiel

Londyn.

\* \* \*

P.S. Dodatkowa uwaga: p. Kowalewski pisze o Józefie Retingerze: „Osobistość mająca, niestety, duży wpływ na generała Sikorskiego“. Radzę by zasięgnął opinii gen. Andersa o tej „osobistości“. Jest w pamiętniku Generała. Zgodna z opinią Sikorskiego.

BIBLIOTEKA POLSKA

W

LONDYNIE

NASZA WŁASNOŚĆ

NASZ OBOWIĄZEK



**P**O rozmowach w Bratysławie wielu obserwatorów, tym zwłaszcza, którzy lubią się śpieszyć z ostateczną oceną, wydawało się, że konflikt czechosłowacki znalazł swój epilog. Stało się inaczej. Podobnie tak zwany kompromis moskiewski, czy — jeśli kto woli — kapitulacja nie stanowi żadnego epilogu. Sprawa ta długo jeszcze będzie zaprzętać uwagę świata i przyniesie w bliższej lub dalszej przyszłości niejedną niespodziankę.

Wolno sądzić, że przebieg wydarzeń zaskoczył obydwie strony. Czesi dość późno zorientowali się w możliwości interwencji wojskowej, zaś kremlowscy przywódcy nie przypuszczali, że kierownictwo czechosłowackie wykaże tyle siły charakteru i oporu. W Moskwie Dubczek i Swoboda mieli już nóż przyłożony do krtani. Ich determinację należy oceniać na podstawie wypadków wcześniejszych.

Moskwa rozegrała całą partię niezwykle nieudolnie. Czy bolszewickich satrapów poniosły nerwy, czy też istotnie brak jasnej od samego początku linii postępowania wynikał z rozbieżności opinii poszczególnych dygnitarzy, nadaremnie zgadywać. Tak czy owak, rozgrywka wypadła fatalnie pod względem prestiżowym, technika zbrojnej okupacji jeszcze gorzej. Dzień po dniu przez całe tygodnie widzowie zachodnio-europejscy wędrowali śladem telewizyjnego obiektywu po ulicach Złotej Pragi, słuchali nieskrępowanych wypowiedzi przechodniów, ba, już po inwazji mieli możliwość podziwiać głupie, zdetonowane miny sowieckich żołdatów, nieudany gniew demonstrantów, nawet płonące czołgi. Spektakl był kompletny, negatywny dla Moskwy efekt — całkowity.

Czego przestraszyli się Breżniew i Kosygin? Mała dygresja: autor tych słów uważa za zupełnie nieistotne, czy ci dwaj towarzysze byli zwolennikami inwazji czy nie, a ulegli perswazji innych. Zasadnicza zgodność Politbiura i KC nie ulega wątpliwości; jeżeli były wahania, to tylko taktyczne. A zresztą zgadywanie co kto komu powiedział, czy Breżniew spierał się z Podgórnym, a Kosygin z Szelestem, i co doradzał marszałek Grieczko, lepiej zostawić amatorom pasjansów politycznych. Wystarczy nam powinna świadomość,



# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*  
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓLCZESNYM

Nr. 51/1198

PAŹDZIERNIK, 1968

Rok XXVII

## DRAMAT CZECHOSŁOWACJI

mość, że powzięta decyzja poszła po linii typowej dla bolszewickiej mentalności. Gdzie zawodzi podstęp i prowokacja, głos zabierają czołgi.

Spójrzmy na mapę. Czechosłowacja ma granicę z Niemcami Zachodnimi i Austrią, wbija się długim klinem od Sudetów aż po górną Cisę, między Niemcy Wschodnie i Polskę od północy, Węgry od południa. Liberalizacja Czechosłowacji to wprowadzenie świeżego powietrza już nie do jednego pokoju zatęchłego mieszkania, lecz do długiego korytarza, rozcinającego to mieszkanie na pół. Fatalny przykład dla całej reszty lokatorów, którzy byliby nastawieni na nieustanne pokusy. Dwa odmienne regulaminy w tym samym gmachu więziennym — to zawsze działa demoralizująco.

Do tego dochodzi konkretny взгляд psychologiczny. Propaganda sowiecka jest świadomie kłamliwa, ale to nie wyklucza istnienia zastarzanych urazów i kompleksów. Publicyści zachodni często upierają się przy stosowaniu do bolszewików miary ucywilizowanego obywatela wolnego świata. To oczywisty błąd. Weźmy pod uwagę, że społeczeństwo sowieckie od kilkudziesięciu lat jest wychowywane w atmosferze zagrożenia i lęku przed Zachodem. Najpierw niebezpieczeństwo nazywało się „imperialistyczni interwencji“ z lat wojny domowej, potem — kapitalistyczne okrażenie z „kordonem sanitarnym“ w postaci Polski, Rumunii i państw bałtyckich, następnie faszyzm, a po drugiej wojnie światowej — imperializm amerykański, Pakt Atlantyczny, odwetowcy zachodnio-niemieccy.

Ta pięćdziesięcioletnia tresura

zrobiła swoje. Dochodzą odpowiednie tradycje historyczne. Przeciętny nacjonalista rosyjski — a tylko ślepy nie widzą, jak bardzo komunizm sowiecki był i jest podszyty wielkomocarstwowym nacjonalizmem — jest przekonany, że Rosja nigdy na nikogo nie napadała, a zawsze wyzwała. Ukrainę wyzwalała od szlacheckiej Polski, Polskę od jakobinizmu twórców konstytucji 3-go Maja, Finlandię od Szwecji, Gruzję od Persji, Besarabię od moldawskich feudałów, Kraj Nadamurski od zdegenerowanych bogdychanów chińskich, Francję od korsykańskiego uzurpatora.

Natomiast na Rosję napadali wszyscy. Polscy panowie w XVII wieku — nawet ośmielili się wpakować na Kreml, co było świętokradztwem i bluźnierstwem, Karol XII w sto lat później, Napoleon w 1812 r., Anglicy i Francuzi w 1854, Niemcy i Austriacy w 1914, Piłsudski w 1920, Hitler w 1941!

Propaganda mówiąca o zagrożeniu z zewnątrz, pada na podatny grunt i masom sowieckim wcale nie tak trudno uwierzyć, że czescy „rewizjoniści“ istotnie działali w ścisłej zмовie z amerykańskimi imperialistami i bońskimi odwetowcami. Idę jeszcze dalej — nie tylko szary człowiek z ulicy czy z kołchozu, nawet sami propagandyści mogą w to wierzyć, taka jest siła odwiecznej tresury i przyzwyczajenia. Jeszcze raz — to są ludzie o swoistej mentalności i kto się z nią nie liczy, nie jest w stanie ich postępowania zrozumieć. Anegdota z historii o buldogu, który zadusił królika, bo czuł się

(Dokończenie na str. 2)

przez niego sprowokowany, miałyby tu pełne zastosowanie.

Postępowanie Czechów i Słowaków zostało w Moskwie ocenione nie tylko jako bunt, nie tylko wypaczenie dogmatów marksistowskich, ale również, a nawet przede wszystkim, jako zamach na bezpieczeństwo Związku Sowieckiego, na święte prawa „wyzwolicielej“ Europy od jarzma hitlerowskiego. Przypomnijmy — przed stu trzydziestu siedmiu laty wielki poeta rosyjski odmawiał Zachodowi prawa do występowania w obronie „zbuntowanej“ Polski, powołując się na niezbitą dla niego fakt, że przecież Rosja wyzwoliła Europę spod jarzma Napoleona i „własną krwią okupiła jej szczęście, sławę i pokój“. Tego rodzaju mity mają bardzo długie żywoty.

## II.

Nadzieje Czechów i Słowaków na polepszenie ich doli, nadzieje, zdawało się, tak już bliskie realizacji, zawiodły w tragiczny sposób. Z uprzednich zdobyczy uratowano niewiele, pytanie — na jak długo. Bo należy się liczyć i z taką możliwością: Moskwa stopniowo przeforsuje powrót do władzy komunistów bezwzględnie jej posłusznych i godnych zaufania, kto wie nawet czy nie przepędzonego sromotnie Nowotnego. Także i tej ewentualności wykluczać nie można.

Mimo całej ostróżności i dyscypliny Czesi popełnili, jak się zdaje, błąd. Bodaj należało program reform rozłożyć bardziej na raty, liczyć się z każdą reakcją prasy sowieckiej, iść naprzód złotym krokiem, wystrzegać się nawet pozorów prowokacji. Na przykład, nie znosić cenzury, zadowolić się na początek jej osłabieniem. Z drugiej strony, przecież podejrzliwość Moskwy jest bezgraniczna — nawet gdy ktoś chodzi na paluszkach, gotowa jest utrzymywać, że tupie stukilowymi buciorami.

Do tego doszło osłabienie. Poparcie jednej Rumunii — Jugosławia, jak wiadomo, do Paktu Warszawskiego nie należy — nie mogło zdać się na wiele. Dopiero wspólny front Warszawy, Pragi, Budapesztu i Bukaresztu stworzyłby alternatywę nie do pogardzenia. To zresztą osobny, mocno skomplikowany i kontrowersyjny temat, nie do omówienia w krótkim artykule. Do takiego frontu nie doszło, jak nie doszło przed dwu-

nastu laty, pamiętnej jesieni 1956. Wręcz odwrotnie. Tyle, że role się odwróciły.

Wszyscy Polacy, godni tej nazwy, z uczuciem najwyższego wstydu przyjęli wiadomość o wejściu polskich oddziałów do Czech. Moskwa tego nie potrzebowała, własnych sił miała dość. Ale, chciała mieć wspólników, sprawdzić spójność i wierność swoich agentur. Towarzysz Gomułka nie zawiódł zaufania, stanął raźnie do apelu. Nie musiał. Ostrożna, dyplomatyczna odmowa nie wprowadziła by sowieckich czołgów do Warszawy. Można było tej hańby uniknąć.

Ale Gomułka wie, że bez całkowitego poparcia bolszewickiego sanhedrynu będzie czuć się bardzo niewyraźnie we własnej partii, we własnej administracji, więc honor polskiego imienia poświęcił bez wahania dla stanowiska, którego kurczowo się trzyma. Udowodnił, że w mundurze moskiewskiego żandarma czuje się równie wygodnie, jak w lokajskiej liberii.

A Zachód? Nie zdobył się nawet na mocny werbalny protest, gdy nie stać go było na nic innego. Jak zawsze wyrazy współczucia dla ofiary, słowa krytyki pod adresem najeźdźcy, kilka słabiotkich demonstracji na ulicach zachodnich stolic, zresztą źle maskowana obojętność. Coś w rodzaju wyrażenia niesmaku na wiadomość o popełnionym morderstwie.

Sowiecki morderca wolności nie wyszedł jednak z tej przygody bez szwanku. Reperkusje prestiżowe są niewątpliwie bardzo poważne. Nigdy dotąd partie komunistyczne w wolnym świecie nie zachowały się tak krnąbrnie w stosunku do niegdyśiejszych rozkazodawców na Kremlu. Nie należy przypisywać temu zbyt wielkiego znaczenia, ale również nie można lekceważyć.

I wszędzie reperkusje w samym Związku Sowieckim. Masy mogły uwierzyć w oficjalną interpretację wydarzeń, co starałem się wyjaśnić w pierwszej połowie artykułu. Ale najlepsza część sowieckiej inteligencji, zarówno humanistycznej, jak naukowo-technicznej, od dłuższego czasu jest ogarnięta bardzo poważnym fermentem. Tu kłamliwa wersja oficjalna nie spotkała się z uznaniem. Co więcej wywołała zasadniczy sprzeciw.

Prąd reformistyczny dojrzewa w Sowietach od dawna. Za doniosły dokument, o wiele donioślejszy od najbardziej efektownych wystąpień literatów, trzeba uznać szeroko rozpowszechniony memoriał akademika Sacharowa, czołowego fizyka nuklearnego, nazywanego „ojcem sowieckiej bomby wodorowej“. Główny jego postulat brzmi następująco: jedynie prawdziwe współistnienie pokojowe, a następnie ścisła międzynarodowa współpraca może uratować ludzkość od katastrofy atomowej; współpraca taka jest nie do osiągnięcia bez odpowiednich zmian w przeciwstawnych sobie obozach ideologiczno-politycznych, bez zasadniczych reform w bloku „socjalistycznym“, a przede wszystkim w samym Związku Sowieckim. Aby doszło do międzynarodowego porozumienia i współpracy, konieczne jest zapanowanie na całym świecie w o l n o ś c i i n t e l e k t u a l n e j.

W tym memoriale, pisanym na parę miesięcy przed brutalną interwencją sowiecką, Sacharow wskazał na przykład czechosłowacki jako na w z ó r godny naśladowania. Łatwo sobie wyobrazić jakie przygnębiające wrażenie w tym reformistycznym środowisku inteligencji wywołała wiadomość o wkroczeniu sowieckich czołgów do Pragi i Bratysławy. I nie tylko przygnębenie, również ducha sprzeciwu, bo i to trzeba dodać, że wystąpienie Sacharowa cechuje daleko posunięta determinacja. To nie śmiertelnie chory Solżenicyn, którego dni są policzone; to nie Arkadij Bielinkow, którego namiętne oskarżenie systemu poszło w świat, gdy autor już znajdował się w drodze na emigrację; to nie młodzi, początkujący pisarze, z którymi można się nie patyczkować; to czołowy fizyk atomowy, a jego memoriał powstał po dojrzałym namyśle i długich dyskusjach z kolegami z tego samego środowiska naukowo-technicznego.

W tym właśnie środowisku — powtarzam — agresja przeciw Czechosłowacji została odczuta i przyjęta jako cios, wymierzony w reformistyczne dążenia najlepszej części świadomej swej roli inteligencji sowieckiej. Góra partyjna zdaje sobie z tego sprawę. Że represje okazują się niewystarczające, wykazał dowodnie proces Siniawskiego i Danijela, oraz procesy późniejsze.



BIBLIOTEKA „KULTURY“

Kazimierz Wierzyński

## CZARNY POLONEZ

poezje

„To wstrząsający poemat, trafiający... w sam rdzeń obecnej polskiej kondycji. Gdyby to można opublikować w Polsce, cały kraj by się od tego zatrzęsł. Poemat, który będzie kiedyś manifestem rewolucji w Polsce“.

Piotr Guzy (KULTURA)

Cena 12 sh, 1.75 dol., 7 f.

## ZBRODNIA KATYŃSKA

W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

z przedmową

WŁADYSŁAWA ANDERSA

Cena: 35/-

## THE CRIME OF KATYN

FACTS and DOCUMENTS

Cena: 37/6

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W. 7.

Czołgi na ulicach Złotej Pragi to nie tylko wyzwanie rzucone wszystkim uciemiężonym narodom, opinii świata, samej idei wolności. To również wyzwanie pod adresem elity własnej inteligencji, czyli drastyczne zaostrenie walki na froncie wewnętrznym. Ta część inteligencji, w przeciwieństwie do ogłupianych mas, już nie poddaje się moralnemu terrorowi i zarazem szantażowi fałszywego sloganu o „zagrożeniu sowieckiej ojczyzny“. Rozbrat między intelektualistami a reżymem pogłębia się, rozwiewają się resztki zaufania do kremlofskich autokratów.

Kto wie, może właśnie tu znajduje się akcent najbardziej optymistycznej sprawy czechosłowackiej, a tym samym sprawy wolności w Europie Środkowo-wschodniej.

Józef Łobodowski

# NAGRODA „KULTURY“

B.D.I.C

## dla „LITERARNI LISTY“

Miesięcznik „Kultura“ postanowił przyznać swoją tegoroczną nagrodę literacką czeskiemu tygodnikowi „Literarni Listy“. Poniżej zamieszczamy komunikat „Kultury“ uzasadniający ten krok.

Punktem kulminacyjnym konfliktu między ludźmi pióra a Partią był Zjazd Pisarzy Czechosłowackich w maju ubiegłego roku: Hendrych, nadworny ideolog Novotnego, oświadczył wówczas, że „wyczerpała się cierpliwość Partii“ w stosunkach z intelektualistami. Dowodem obustronnego wyczerpania się cierpliwości były wkrótce potem dwa fakty: w lipcu skazano na pięć lat więzienia młodego pisarza czeskiego Jana Benesza, a w sierpniu znany pisarz słowacki (i członek Partii) Ladislav Mnačko wyjechał do Izraela na znak protestu przeciw polityce rządu praskiego wobec wojny na Bliskim Wschodzie. W tym samym miesiącu **Rude Pravo** zaatakowało gwałtownie intelektualistów czechosłowackich, którzy odpowiedzieli atakiem na dawkowaną przez Partię „mini-wolność słowa“. W październiku zostali usunięci z Partii trzej wybitni pisarze: Ivan Klima, Ludvik Vaculik i Antonin Liehm, a organ Związku Pisarzy **Literarni Noviny** przeszedł pod bezpośrednią kontrolę Ministerstwa Kultury. To ostatnie zarządzenie opróżniło redakcję tygodnika ze wszystkich prawie redaktorów i pozbawiło pismo współpracy wszystkich szanujących się literatów czechosłowackich; kierownictwo **Literarnich Novin** powierzono „literatowi“ mundurowemu w stopniu pułkownika. Nie na długo. Jednym z pierwszych posunięć nowej ekipy partyjnej Dubczeka było upoważnienie Związku Pisarzy, 1 marca br., do wydawania nowego tygodnika **Literarni Listy** na miejsce **Literarnich Novin**. Ostatni numer nowego tygodnika ukazał się w wydaniu specjalnym 28 sierpnia, osiem dni po wkroczeniu do Czechosłowacji wojsk sowieckich, polskich, niemieckich, węgierskich i bułgarskich.

W ciągu tych pięciu zaledwie miesięcy **Literarni Listy** stały się jednym z najpoczytniejszych i najbardziej cenionych pism w Czechosłowacji, czołową trybuną walki o „połączenie socjalizmu z wolnością“ (według głośniego określenia nowoobranego prezesa Związku Pisarzy Czechosłowackich, Edwarda Goldstücker). Nakład osiągnął 300 tysięcy egzemplarzy. Co tydzień ustawiały się przed kioskami kolejki, a odchodzący od nich ludzie zagłębiali się natychmiast w lekturze świeżego numeru pisma z dwuliterowym nagłówkiem LL. W dalekim jeszcze od końca, w tej części Europy, szeregu socjalistycznych pism odnowicielskich, które po latach upodlenia i serwilizmu przywróciły słowu drukowanemu jego godność i wartość, tygodnik praski zajął miejsce, obok warszawskiego **Po Prostu** i budapesztańskiego **Irodalmi Ujsag**. Okupacja Czechosłowacji przez „bratnie“ dywizje Paktu Warszawskiego przecięła egzystencję **Literarnich Listów**, które zdecydowały same zawiesić swoją działalność. Wielu redaktorów i współpracowników pisma było zmuszonych do ucieczki zagranicę.

Nasz miesięcznik postanowił przyznać **Literarnim Listom** swoją nagrodę literacką w wysokości F. 5.000 Robimy to nie tylko we własnym imieniu, ale także w imieniu licznych pisarzy polskich w kraju, którzy nie mogąc wyrazić jawnie swej solidarności z pisarzami czechosłowackimi i swego podziwu dla tygodnika praskiego zwrócili się do **Kultury** by była rzecznikiem ich stanowiska. Ten gest chce przede wszystkim zmyć, przynajmniej symbolicznie, hańbę udziału polskiego w napadzie na Czechosłowację, co było główną intencją pisarzy w kraju. Ale posiada on również pewną wagę praktyczną: pragniemy mianowicie, w duchu inaczej niż w Warszawie pojętej bratniej pomocy, przyczynić się, choć w drobnej mierze, do odrodzenia **Literarnich Listów** za granicą aż do czasu, gdy będą mogły powrócić tam gdzie powstały i zdobyły zaufanie setek tysięcy czytelników — do Pragi.

# PRZED ZJAZDEM PZPR

JUŻ tylko kilka tygodni dzieli nas od V. zjazdu PZPR, zwołanego na dzień 11 listopada br. którego głównym punktem porządku dziennego ma być ustalenie generalnych założeń partii na następne lata oraz wybór najwyższych władz partii. Założenia te, zawarte w 7 rozdziałach tzw. tez, zostały przyjęte jednomyślnie na 12 plenum komitetu centralnego (8-9 lipca br.). W okresie przedzjazdowym tezy mają być przedyskutowane na zebraniach egzekutyw partyjnych wszystkich szczebli, by nadać im charakter dokumentu zaaprobowanego przez blisko dwumilionową rzeszę członków i kandydatów partii.

Założenia programowe, zawarte w tezach nie są nowe, bo podobne uchwalano już i na dawniejszych zjazdach. Obejmują wskazówki, odnoszące się do wszystkich dziedzin życia publicznego, a jedyną ich cechą nową, jest silniejsze podkreślenie wzrastającego niebezpieczeństwa, wpływu i siły wewnętrznego wroga-rewizjonizmu. Według opinii partii akcja ta jest zgrana z czynnikami zagranicznymi i zmierza do poderwania fundamentalnych założeń marksizmu-lenizmu, odbudowania ustroju na nowych, socjaldemokratycznych zasadach i rozluźnienia więzów ze związkami sowieckimi.

Lipcowe plenum odbyło się w niekorzystnej dla partii polskiej atmosferze, wywołanej odważnym stanowiskiem Rumunii i wypadkami w Czechosłowacji. Wprawdzie mówcy starali się wstrzymać od ostrzejszej krytyki obu bratnich narodów, zato o grożącym niebezpieczeństwie, głównie ze strony Czechosłowacji, poinformował zebranych Gomułka w inauguracyjnym przemówieniu, którego wbrew utartej regule, nie ogłoszono, ponieważ zawierały w ogólnym zarysie akcję jaką Sowiety miały wkrótce podjąć wobec Czechosłowacji.

Tezy charakteryzuje również język, w jakim zostały napisane, przypominający, w niektórych miejscach, wyrazy z dialogów między bratnimi partiami Sowieców i Chin ludowych, dowód pewnego „schamienia“ na szczytach partii polskiej.

## TEZY

Omawiając w rozdziale II Tez sytuację międzynarodową, kierownictwo partii zwraca uwagę na tzw. nową politykę wschodnią, prowadzoną głównie przez Niemcy zachodnie, w porozumieniu z innymi imperialistami, i zmierzającą do poróżnienia krajów socjalistycznych między sobą, a przede wszystkim do odizolowania Niemiec wschodnich. Partia polska przyznaje, że poglądy państw bloku socjalistycznego mogą się różnić, nie mogą jednak w żadnym wypadku powodować rozłamu i osłabiać jedności ruchu komunistycznego, we wspólnej walce z imperializmem, nie mogą szkodzić bratnim narodom. Była to uwaga skierowana przeciw Rumunii.

Partia ponadto sprzeciwia się wszelkim formom odradzającego się nacjonalizmu, który jest źródłem tendencji rozłamowych i dezintegracyjnych, a który z całą perfidią jest podsycany przez imperializm.

## WRÓG NR. 1 — REWIZJONIZM

Rozdział III Tez mówi o sytuacji społeczno-politycznej w kraju i wyjaśnia, że rewizjonizm przejawia się przede wszystkim w postaci kwestionowania i odrzucenia określonych zasad marksizmu-leninizmu, tak w dziedzinach nauki jak i polityki. W dziedzinie ekonomii próbuje zaszczerpić organizmowi gospodarczemu państwa socjalistycznego, obce mu, z natury rzeczy, części składowe ekonomicznego systemu kapitalistycznego. Wydarzenia marcowe ujawniły stopień nasilenia walki przeciw polskiej partii komunistycznej przez siły rewizjonistyczne i reakcyjne. Ujawniły one jednak również i niedomagania partii i konieczność silniejszego oddziaływania ideologicznego na świadomość społeczeństwa, głównie wśród młodzieży akademickiej.

A właśnie ta młodzież akademicka sprawiła partii największą niespodziankę, bowiem po 20 latach intensywnej indoktrynacji, ona to domagała się większych swobód obywatelskich, zawartych zresztą tak wy-

rażnie w komunistycznej konstytucji z 1952 r. Zademonstrowała całkowitą obojętność młodzieży w stosunku do głoszonej ideologii, której nawet wielu dzisiejszych wodzów partii nie rozumie, ale jej broni, by utrzymać się na lukratywnych stanowiskach w partii i administracji. Jednak, zwłaszcza w ostatnich latach, dostrzegli oni z przerażeniem, że ta młodzież, to już nie tylko studenci szkół akademickich, lecz również 30 i 40-latkowie, z których poważną część zajmuje już odpowiedzialne stanowiska w administracji państwowej, w gospodarce krajowej, szkolnictwie wszystkich stopni i w skończonych zawodach, lekarskim i prawniczym. Zduszono wprawdzie i to brutalną siłą demonstracje marcowe, wyrzucono ojców studentów ze stanowisk, studentów samych relegowano z uniwersytetów, skazano na kary więzienia i powołano do wojska, ale, jak słusznie określiła tę akcję prasa zachodnia, partia stoczyła walkę z czubkiem wielkiej góry lodowej, zagrażającej całemu systemowi komunistycznemu.

A skoro już, jak to stwierdzono na ostatnim plenum, rewizjonizm wyrósł ostatnio na wroga Nr. 1, nie od rzeczy będzie przypomnieć, co o nim powiedział sam Gomułka na 13 plenum komitetu centralnego w dniu 4 lipca 1963 r., bowiem ani on sam, ani żaden z mówców nie przypomnieli tak ważnej enuncjacji. Oto dosłowna treść: „W państwach budujących socjalizm, rewizjonizm zmierza do zlikwidowania marksizmu-leninizmu na korzyść socjalnej demokracji. Należy jednak podkreślić, że front ideologiczny jest szczególnie czuły na wpływ rewizjonizmu. W przeszłości usiłował on wywierać swój wpływ na różne dziedziny polityki partyjnej. Jednak walka prowadzona przez nas z pozycji twórczego marksizmu doprowadziła do prawie zupełnego zniszczenia rewizjonizmu.“ (Nowe Drogi — sierpień 1963 r., strona 40)..

## KADRY, KADRY...

W dniu 4 czerwca br. obradował w Warszawie ogólnopolski komitet



frontu narodowego. Przemawiał Spychalski, który stanowisko przewodniczącego objął po Ochabie, a który tak określił rolę, jaką młodzież polska ma odegrać w przyszłości: „Dzisiaj młodzież polska, nasza duma i nadzieja jest współgospodarzem naszego kraju, jednak jutro będzie ona jego administratorem i budowniczym komunizmu.“

Na tego rodzaju frazesy mają Niemcy określenie: „Wie sich das der kleine Moritz vorstellt“. Bo przecież wydarzenia marcowe winny były przekonać „marszałka“, który sam przesiedział kilka lat na rekolleksjach w komunistycznym kryminale, co młodzież polska myśli o budowaniu komunizmu.

Za to znacznie bardziej minorowo przemawiał Gomułka o sytuacji w samej partii, gdy stwierdził, że front ideologiczny, który tak ściśle wiąże się z postawą inteligencji, jest tak słaby, „mamy przecież w partii duży weale odsetek inteligencji — gdzie wobec tego tkwią przyczyny naszej słabości? Kto jest odpowiedzialny za braki w dziedzinie ideowego wychowania, które przecież w pierwszym rządzie jest obowiązkiem szkół średnich i wyższych. Nie jest on widocznie spełniany należycie.“

O konieczności wychowania ideologicznie przygotowanych kadr mówili również Zenon Kliszko i Edward Gierek, którego akcje na giełdzie politycznej, po jego przemówieniu w dniu 14 marca poważnie spadły. Kliszko, arcykapłan ideologii marksistowsko-leninowskiej określił politykę kadrową jako jedną z najważniejszych spraw polityki partii, która dotyczy wszystkich dziedzin życia, w tym instytucji centralnych, uczelni i placówek naukowych, dziedzin gospodarki oraz prasy i ogniw propagandy. Przypominał, że po marcu wydalono w Warszawie z partii 111 osób, które zajmowały odpowiedzialne stanowiska w aparacie rządowym. Według Kliszki, zwolnienia były słuszne i pożyteczne. Ale to nie wystarcza, bo trzeba w dalszym ciągu wymieniać kadry słabsze na lepsze, w pełni ideologicznie zaangażowane, bardziej dynamiczne. Partia musi zdobyć się na wielki wysiłek, aby przez wychowanie i kształcenie przyspieszyć utworzenie kadr rezerwowych.

Gierek, jak zwykle chwalił się swoją śląską, wzorową organizacją

w polityce kadrowej, gdzie stosując zasadę, właściwy człowiek na właściwym miejscu, stanowiska kierownicze zajmują ludzie ideowo zaangażowani i gdzie się wyrzuca poza nawias życia ideowo-politycznego plewy, karierowiczów i ludzi dwulicowych.

Za to wiceminister Rumiński, dawniejszy stalinowiec, powracając do sprawy tworzenia należytych kadr oświadczył, że dotychczasowa polityka wytworzyła zdemoralizowane klikki i system kacykowstwa. Prof. Żółkiewski, którego po marcowych wydarzeniach pozbawiono stanowiska w polskiej akademii nauk stwierdził, że po marcu, bez powodów zamknięto drogę wielu ludziom do prac naukowych, które dotychczas spełniali z wielkim pożytkiem dla kraju, zaś b. wicepremier Tokarski dodał, iż wielu ludziom wyrządzono wielką krzywdę, którą należy naprawić.

#### STOSUNKI MIĘDZY KIEROWNICTWEM A PRACOWNIKAMI ZAKŁADÓW

Powracając do przemówienia Gierka, który twierdził, że w jego województwie z odpowiedzialnych stanowisk wyrzucono i wyrzuca się plewy, a powierza je kierownikom kadr, ideologicznie oddanym sprawie socjalizmu i polityce partii, musimy podnieść duże zastrzeżenia z uwagi na fakty podane niedawno przez prasę partyjną.

Oto z wiosną br., redakcja dzienników przy polskim radio, rozpisała ankietę pt. „Co wam przeszkadza w pracy?“ W ciągu zaledwie kilku tygodni wpłynęło do radia setki odpowiedzi, w których radiosłuchacze przedstawili aktualny stan rzeczy. Część tych odpowiedzi, przepuszczono-

nych przez cenzurę ogłosiło paxowskie Słowo Powszechne z 18 i 20 maja, inne zaś Polityka z 3 sierpnia br. Ogłoszenie wszystkich zajęłoby kilka stron naszego pisma, to też ograniczamy się do powtórzenia tylko kilku przykładów:

„Niekiedy autorzy listów idą nawet dalej. Twierdzą, że pewni ludzie na kierowniczych stanowiskach nie pracują, lecz tylko urzędują, bezmyślnie i bezdusznie. Są to często ignoranci, snobi i próżniacy. Aktualna jest dalej sprawa kumoterstwa. Kierownictwa niektórych zakładów pracy popierają przede wszystkim tych pracowników, których łączą z dyrekcją stosunki rodzinne, towarzyskie lub wspólne prywatne interesy nie zawsze czyste. Autorzy nazywają tych dyrektorów jednostkami trudnymi, dyktatorami i ordynurami.“ (Słowo Powszechne, 18. maj br.).

A Polityka z 3 sierpnia br. powróciła do tego samego problemu zapytując czytelników: „Co wam zatruwa życie, szarpie nerwy, przyczynia się do trwonienia czasu i energii? Co was zniechęca do pracy i meczy?“ A oto dwie odpowiedzi:

„Rozbudowana do absurdu biurokracja, nieustające narady i odprawy. Jeżeli mój kierownik ma do mnie tylko jakąś sprawę, to zwołuje zebranie 7 osób, a wtedy przez całą godzinę głądzi o zupełnie nie logicznych rzeczach.. A po zebraniu powódź nowych instrukcji — płyną jak wartka rzeka.“

A jeden z rejonowych radców prawnych tak określił sytuację: „Powodem jest nieudolne kierownictwo, opierające się wyłącznie na rozkazach, pokrzykiwaniu i utrzy-

(Dokończenie na str. 6)

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE**

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO**

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



**HASKOBA LTD.**

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7.

Tel. 01 - 373 7888

Kazimierz Schleyen

## LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

D o n a b y c i a :

**Gryf — Księgarnia SPK,**

20, Queens Gate, Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

maniu dystansu między pracownikami. Między kierownictwem a załogą powstała przepaść. W rezultacie ludzie pracują bez zapału, wyniki ich pracy są nikłe i często zmieniają pracę.

A dnia 15 sierpnia, na odprawie 2.500 aktywistów w Zabrze, ten sam Gierek rzucił hasło: „krytykujcie wszystko i wszystkich bez obawy, by wam się z tego powodu jakaś krzywda stała“. Tym samym potwierdził, że dotychczas ponosili za krytykę odpowiedzialność nie krytykowani „partyjni“, lecz krytycy, których pozabawiano pracy, bo krytykowali socjalizm. Jednak hasło rzucone przez Gierka jest podstępem, przypominającym „100 kwiatów“ Mao-tse-Tunga z 1956 r. i ma na celu wykrycie rewizjonistów, by te „plewy“ wyrzucić, jeszcze przed zjazdem, poza nawias życia ideologiczno-politycznego.

### ZBROJNY NAPAD NA CZECHOSŁOWACJĘ

Wspomniałem już wcześniej, że 12 plenium odbyło się w atmosferze wywołanej wypadkami w Czechosłowacji, gdzie nie kto inny, a tylko sama partia komunistyczna domagała się coraz większych swobód obywatelskich. Podstępnie były zaaranżowane przez Sowietów spotkania w Czernej i Bratysławie, w czasie których na granicach Czechosłowacji zgromadzono około 20 dywizji. Rezultat tych spotkań, który Sowiety ogłosiły jak dowód braterskiego porozumienia między socjalistycznymi krajami ujawnił się w dniu 21 sierpnia br. okupacją całego kraju przez siły zbrojne pięciu partnerów układu warszawskiego, w tym Polski ludowej. Delegatów czechosłowackich zmuszono do przyjazdu do Moskwy, gdzie potraktowano ich podobnie jak wywiezionych w 1945 r., 16 członków rządu polskiego. Dopiero po wymu-

zeniu od nich przyrzeczeń nawrotu do polityki Nowotnego pozwolono im wrócić do swego kraju.

Dalsze zachowanie się działających od tego czasu władz okupacyjnych znane są każdemu z prasy codziennej, jednak pewne szczegóły zbrojnej inwazji, na które prasa zachodnia nie zwróciła większej uwagi wymagają jasnego przedstawienia.

Otóż uzasadnienie zbrojnej inwazji, tak jak zostało przedstawione przez Tass'a i powtórzone przez deklarację reżimu warszawskiego, że o pomoc, w obliczu grożącej kontrrewolucji prosili członkowie czechosłowackiej partii komunistycznej i rządu, jest wierutnym kłamstwem i przypomina dokładnie podobne wołanie o pomoc nazistów sudeckich i austriackich do Hitlera. Zaprzeczył temu twierdzeniu minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, Jiri Hajek, na posiedzeniu rady bezpieczeństwa w dniu 24 sierpnia br.

Trzeba jednak i to z całym naciskiem stwierdzić, że dokonując zbrojnej inwazji, Sowiety i ich cztery partnerzy, pogwałcili w sposób brutalny postanowienia układu warszawskiego z 14 maja 1955 r., które przewidują pomoc, nie wyłączając pomocy zbrojnej, tylko w wypadku, gdy kraj jednego z partnerów został napadnięty przez wroga. Ponadto jeden z dalszych artykułów układu mówi, iż po udzieleniu zagrożonemu wrogim atakiem partnerowi pomocy, zostanie uszanowana niezależność i suwerenność braterskiego kraju i nie będzie miało miejsca mieszanie się państw, udzielających pomocy w sprawy wewnętrzne braterskiego kraju.

A jeśli chodzi o udział w inwazji

dwóch polskich dywizji to poza złamaniem postanowień układu warszawskiego nastąpiło pogwałcenie postanowień własnej, stalinowskiej konstytucji z 22 lipca 1952 roku. W deklaracji reżimu powiedziano, że taką decyzję powziął „po wołaniu o pomoc działaczy czechosłowackich, rząd polski. Według konstytucji taką decyzję powziąć może tylko Sejm (art. 28), a gdy Sejm nie obraduje, Rada Państwa. Decyzji takiej nie może powziąć rada ministrów, do której należy tylko utrzymanie sił zbrojnych na należytym poziomie, podyktowanym obroną kraju.

Warto również przypomnieć, że w dniu 21 sierpnia br., w dniu inwazji, Gomułka zwołał zebranie naczelnych redaktorów wszystkich pism partyjnych, którym, jak doniosła Trybuna Ludu, wyjaśnił, powody konieczności szybkiej interwencji zbrojnej. W rzeczywistości sam Gomułka wydał prasie dyrektywy w jaki sposób powinna napadać w piśmie na ten kraj, co też od następnego dnia wszyscy bez wyjątku uczynili i do dnia dzisiejszego robią.

Na Polskę ludową padła hańba nie do naprawienia. Całe społeczeństwo polskie potępia zbrojną inwazję, w której, z rozkazu Gomułki, brały udział wojskowe jednostki polskie.

A w tej atmosferze ogólnego przygnębienia obradują przedjazdowe konferencje partyjne na których zarozumiały Gierek zachęca „krytykujcie wszystko i wszystkich“. W takiej atmosferze ogólnego zakłamania odbędzie się w dniu 11 listopada br. V-ty zjazd PZPR.

W. Opolski

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

# J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak  
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

**PODOLIA COMPANY LIMITED**

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,  
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,  
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne



# Dziwne wystąpienie Gierka w Zabrze

STAŁA SIĘ rzecz w dzisiejszych polskich stosunkach niezwykła. Zaledwie w pięć tygodni po XII-tym plenum KC PZPR, które podjęło jednomyślną uchwałę w sprawie też programowych na V zjazd tej partii — też — pamiętajmy o tym — stanowiących w myśl założeń doktrynalnych zręb programu obowiązującego cały kraj. Tymczasem wielkorządcą partyjny Górnego Śląska, Edward Gierek, oświadczył publicznie, że krytyka stosunków wewnątrzpartyjnych oraz krytyka dotychczasowych metod rządzenia państwem musi pójść znacznie dalej niż dotychczas było dopuszczalne.

## ZASKOCZENIE OPINII

Opinia publiczna kraju została tym oświadczeniem w dużym stopniu zaskoczona, a to tym bardziej, że Gierek nie należał ostatnio do zwolenników jakiegokolwiek łagodniejszego kursu. Wręcz przeciwnie, jeszcze wiosną tego roku podczas głośnych marcowych demonstracji studenckich odgrażał się krytykom gomułkowskiego „sojalizmu“, „gruchotaniem kości“. Czyżby tak nagle zmienił zdanie i stał się liberałem? Sprawa jest o tyle bardziej niezrozumiała, że pochodząc od pierwszych dni po XII plenum aż po dzień dzisiejszy cały komunistyczny aparat propagandowy, wszystkie środki masowego przekazu zapewniały społeczeństwo o bezwzględnej słuszności też zjazdowych, a jak wiemy w systemie dyktatury komunistycznej uchwały partyjne obowiązują nie tylko członków partii, lecz cały zniewolony przez nią naród. Dlatego krytyczna wypowiedź Gierka w Zabrzu oznacza jednocześnie, że w pewnym sensie, nieomylny program partyjny zastarzał się już po pięciu tygodniach.

Oczywiste jest zatem, że wystąpienie Gierka w dniu 15 sierpnia, a więc na tydzień przed sowiecką inwazją na Czechosłowację formalnie skierowane do śląskiego aktywu komunistycznego, lecz równocześnie nadane przez radio na całą Polskę — miało jakiś ukryty cel. Trudno bowiem przypuszczać, aby ten wytrawny aparatczyk, w dodatku jeden z potencjalnych kandydatów na następcę po Gomułce, kasał własne komunistyczne gniazdo tylko dla wewnętrznej satysfakcji.

Niektóre ze stwierdzeń Gierka są jak na stosunki komunistyczne wręcz zaskakujące. Na przykład: Gierek zastrzegł się wprawdzie, że „z wydarzeń ostatnich miesięcy partia wyszła wzmocniona“, a krytykę stosunków w apa-

rację partyjno-rządowym PZPR przeprowadzoną z tak zwanych pozycji rewizjonistycznych nazwał nawet „wynaaturzeniem“, lecz w innych fragmentach swej mowy w sposób oczywisty przyznał rację potępionym przez siebie burokracjom obecnego porządku.

## TREŚĆ WYPOWIEDZI

Dodajmy jeszcze jedno. Odrazu na wstępie wystąpienia w Zabrzu Gierek powołał się na opinię swego komitetu wojewódzkiego partii w Katowicach. Było to ujawnienie, że nie sam tak myśli, lecz że przedstawia opinię wpływowej grupy śląskiej. A było to w istocie stwierdzenie potrzeby daleko idących reform struktury władzy i kontroli nad nią. Powiedział on: „istnieje potrzeba wypracowania konkretnego, wszechstronnego systemu kontroli realizacji“ uchwał partyjnych, z czego automatycznie wynika, że dotychczasowy system tej kontroli jest całkowicie niewystarczający. Co więcej, Gierek domagał się, aby kontrola polityczna obejmowała wszystkie instancje partyjne. Niektóre wypowiedzi wielkorządcy Górnego Śląska potwierdzały w przejrzysty sposób powszechną opinię naszego społeczeństwa, że system rządów PZPR przeżarty jest protekcyjnością. Przyznał on bowiem, że działacze partyjni średniego szczebla władzy korzystając z przewagi zajmowanych stanowisk gwałcą sumienia zwykłych członków partii i lekceważą sobie opinie zwykłych obywateli. Naturalnie, im wyżej tym bardziej, ale o tej najważniejszej „wierchuszce“, w której skład sam wchodzi, już Gierek nie mówił. Mówił natomiast, że trzeba „wypłenić i wykarczować“ to wszystko „co uczciwym ludziom zamykało usta“, co kazało im „wbrew własnym przekonaniom milczeć lub udawać, że nie dostrzegają niekorzystnych procesów, błędnych decyzji, niefrasobliwości, nadużyć i innych złych zjawisk...“

Takich ostrych stwierdzeń znalazło się w mowie Gierka znacznie więcej. Między innymi skrytykował on niezmiernie ostro praktykowaną obecnie fikcję samorządu robotniczego nazywając go nawet „maszynką do głosowania“ przy uchwalaniu planów. Użył też określenia, że samorząd ten sprowadzony jest często do zera. I wreszcie nadmienił, że w stosunkach podwładny — zwierzchnik mamy obecnie w Polsce zbyt wiele „chamstwa i obelżywych form“, że rejestruje się ciągle „przejawy braku zaufania do ludzi“ i nadmiar

„tendencji do administrowania“, co razem biorąc jest według Gierka „wyrazem wiary we własną nieomyślność“.

## OKOLICZNOŚCI „PRZYMUSOWE“

Co sądzić o tym bądź co bądź niezwykłym wystąpieniu przedzjazdowym członka biura politycznego KC PZPR? Jak ceniąc jego szczerość?

Trzeba w pierwszym rzędzie przyjąć, że nie była to jakaś krytyka spontaniczna, lecz wyrachowane wystąpienie wytrawnego aparatczyka, ponad wszelką wątpliwość ściśle uzgodnione z Gomułką, a może nawet z całym biurem politycznym. Trzeba także wziąć pod uwagę miejsce i moment tego wystąpienia.

Jak już nadmieniliśmy, stało się to 15 sierpnia w Zabrzu na Śląsku, a więc w najbardziej uprzemysłowionej części kraju i w pobliżu Czechosłowacji, której nastroje i reformy musiały budzić na Śląsku większy niż gdzie indziej odźwięk. To jedno. Drugie to termin wystąpienia — w dwa tygodnie po rozmowach sowiecko-czechosłowackich w Czernej nad Cisą i po krótkiej konferencji w Bratysławie, która — jak się wówczas wydawało — była pogodzeniem się Moskwy z daleko idącą reformą struktury władzy komunistycznej w Czechosłowacji. Był to zatem moment, gdy na Śląsku mogło się wydawać, że nowy, bardziej liberalny kurs polityczny komunistów czechosłowackich będzie oddziaływał bezpośrednio na południowe prowincje naszego kraju. Wprawdzie wiosną ten sam Gierek występując na uroczystościach polsko-czeskich w Cieszynie zdecydowanie popierał kurs czechosłowackich dogmatyków i jednemu z nich, oślawionemu Indrze, udzielił nawet swoistego namaszczenia, ale z drugiej znów strony Gierek jako jeden z najbardziej zainteresowanych tą sprawą członków biura politycznego nie był na konferencji w Bratysławie, chociaż miał po temu dane, więc znowu posiadał wolną rękę na ewentualną zmianę kursu. Jak tam jednak nie było faktem jest, że 15 sierpnia on właśnie rzucił na Śląsku głośne wezwanie do swoistej zmiany metod rządzenia krajem, co w pierwszych dniach znalazło w całej prasie komunistycznej znaczny odźwięk i stanowiło swego rodzaju korektę też partyjnych, które nie trafiły do przekonania społeczeństwa. Była to zatem jakaś próba rozładowania obojętności mas i wyjścia na przeciw koniecznym przeobrażeniom systemu rządzenia. Gierek mówił zresztą wyraźnie, że za przy-

(Dokończenie na str. 8)

kładem organizacji śląskiej trzeba „lepiej trafić do społeczeństwa“, lepiej „docierać do ludzi“, aby bliżej przekonać się „co ich interesuje i co boli“. Doradzał jednocześnie aparatowi partyjnemu, aby „poprawiać nastroje nurtujące społeczeństwo“, co jednocześnie było oficjalnym stwierdzeniem, że nastroje te były w sierpniu złe.

## WYRACHOWANIE EKIPY RZĄDZĄCEJ

Pomińmy w danej chwili kwestię, która krytyką stosunków w Polsce była bardziej szczerą: ta, którą wygłosił Gierek, czy ta, którą wiosną głosił potęgę przez Gomułkę pisarzy i naukowcy oskarżeni na zmianę o rewizjonizm lub syjonizm. Faktem jest natomiast, że obie te krytyki są w pewnym stopniu zbieżne: stwierdzają niezadowolenie mas z obecnego systemu rządów. Można nawet przyjąć, że znalazły się w kierownictwie PZPR czynniki, które po ostrym potępieniu liberalizujących naukowców i brutalnym stłumieniu domagających się reform demonstracji studenckich chciałyby teraz same rozładować napięte nastroje. Dają więc w ten sposób do zrozumienia — mowa Gierka jest pod tym względem bardzo charakterystyczna — że samo kierownictwo PZPR gotowe jest teraz do przeprowadzenia koniecznych reform.

Oczywiście, wszystkie te uwagi odnoszą się do sytuacji sprzed inwazji na Czechosłowację. Odnoszą się do momentu, gdy ekipie gomułkowskiej mogło się wydawać, że linia rewizjonistycznych — jak ich nazywano — reformatorów będzie w Pradze konsekwentnie realizowana, co musiało rzutować zarówno na przedzjazdowe rozgrywki w kierownictwie PZPR, jak też na ogólne nastroje naszego społeczeństwa, które wobec przeobrażeń zachodzących w sąsiedniej Czechosłowacji nie mogło pozostać objętne. Przemówienie Gierka mogło być zatem swoistym „balonem próbnym“ jak opinia kraju przyjmie oficjalny projekt reformy stosunków władza-obywatele. W jakim stopniu uwierzy w szczerość obecnego kierownictwa partii, że chce ono rzeczywiście popuścić cugli. W tym sensie deklaracja Gierka złożona w Zabrzu mogła być pociągnięciem zręcznym, a na pewnych odcinkach nawet dla społeczeństwa korzystnym, gdyż jak należało z jego słów wnioskować kierownictwo PZPR gotowe było pójść wobec obywateli na pewne ustępstwa i poszerzyć nieco zakres swobód i możliwości oddziaływania mas na decyzje władz. Było to dalekie od zasadniczych reform strukturalnych przeprowadzonych w pobratymczej Czechosłowacji, ale zawsze miało posmak poszerzenia praw obywatelskich.

Tak wyglądały sprawy 15 sierpnia.

## WARTOŚĆ OFERTY W NOWEJ SYTUACJI

Jak będzie obecnie, który kurs i jakie tendencje wezmą górę na razie przewidzieć niepodobna. Można przyjąć, że najpierw interwencja zbrojna, a następnie zaskakujący dla Moskwy przebieg tej interwencji musiały również wpłynąć na dalszą dezorientację samego kierownictwa PZPR, jak też na dalsze wzburzenie opinii naszego społeczeństwa. Z jednej strony mamy teraz do czynienia z jaskrawym niezadowoleniem opinii krajowej z interwencji w Czechosłowacji, bo władzom komunistycznym nie udało się nawet organizowanie masówek fabrycznych popierających tę akcję oraz nie próbują ukrywać, że społeczeństwo nasze było tą decyzją niemile zaskoczone. Z drugiej strony sam fakt, że 600-tysięczna armia interwencyjna nie potrafiła złamać postawy Czechów i Słowaków, którzy nadal domagają się liberalizacji ustroju — także nie pozostanie w Polsce bez echa. Prędzej czy później musi wyzwozić koncepcje działania i bardziej stanowcze żądanie mas pod adresem dogmatycznego kierownictwa komunistycznego. Wiele zależy jeszcze od finału interwencji zbrojnej w Czechosłowacji.

W tych warunkach oferta Gierka złożona społeczeństwu w Zabrzu, chociaż po 21 sierpnia została przesłonięta sprawami wyższej wagi, nadal jest w dużym stopniu aktualna. Naturalnie, ogólniki jakimi Gierek wówczas operował na pewno społeczeństwu nie wystarczą. Sama, warunkowa zresztą swoboda krytyki tzw. wewnątrzpartyjnej to na dzisiejsze czasy stanowczo zbyt mało. Zresztą doświadczenie uczy, że taka deklaratywna tylko swoboda krytyki według uznania władz, dopuszczalna tylko w odniesieniu do mniej ważnych spraw i niżej postawionych funkcjonariuszy partyjnych może być różnie rozumiana. Na przykład: następnego dnia po przemówieniu Gierka w Zabrzu miało miejsce zebranie aktywu dzielnicowego PZPR Warszawa-Wola, na którym niektórzy z działaczy tej typowo robotniczej dzielnicy wzięli przemówienie Gierka zbyt serio i od razu wystąpili z dość ostrą krytyką owych nieszczęsnych stosunków wewnątrzpartyjnych. I cóż się okazało? Przede wszystkim organ partyjny „Trybuna Ludu“ nie pochwalił tej krytyki. Przemilczał jej problematykę zaznaczając tylko, że na zebraniu tym „poruszono szeroki wachlarz zagadnień“. Natomiast dokładnie podano do wiadomości pouczenie, jakiego z miejsca udzielił „krytykującym“ robotnikom sekretarz komitetu dzielnicowego partii, niejaki Jerzy Łukaszewicz. Otóż oświadczył on, że krytyki robotników były niespra-

wiedliwe i już w formie pogroźki dodał, że nie pozwoli — co „Trybuna Ludu“ akceptuje — „by koniunkturalni aktywiści szeroką społeczną dyskusję nad tematami uznali za okazję do oczerniania i atakowania partii“.

## DWIE MIARY KRYTYKI

Można to zrozumieć jeszcze inaczej: co wolno głosić Gierkowi na Śląsku, nie wolno mówić zwykłym robotnikom i zwykłym obywatelom. Granice ich prawa do krytyki wyznaczają każdorazowo kontrolujący wolę mas aparatchycy partyjni. Oto model PZPR-owskiej demokracji anno 1968. W tym świetle wynurzenia Gierka nabierają właściwego znaczenia. Chodziło mu po prostu o skanalizowanie niezadowolenia społeczeństwa z polityki PZPR w ramach kontrolowanej przez partię ograniczonej krytyki oddolnej, która niekoniecznie musi być akceptowaną przez władze. Innymi słowy chodziło o parawan tak zwanej „demokratyzacji“, rozwodnionej w formie i treści do tego stopnia, aby nie wywołało to korozji komunistycznego monopolu władzy.

Z góry więc można przyjąć, że społeczeństwo nasze nieraz już doświadczone złudnymi obietnicami przywódców PZPR nie da dziś wiary ani ogólnikowym deklaracjom Gierka, ani tym bardziej mętnym obietnicom też programowych na V zjazd PZPR zapowiedziany na listopad. Krytycznych nastrojów społeczeństwa — nad czym Gierek tak ubolewał — nie da się w ten sposób rozładować. Wprawdzie zdecydowanie negatywna postawa mas, w tym także mas robotniczych, na które komuniści tak lubią się powoływać, zmusiła kierownictwo PZPR do tego, że ustami Gierka przyznało się do niewłaściwych metod rządzenia krajem. Ale to jeszcze sprawy nie zamyka. Nastroje niezadowolenia będą się gruntowały nadal. Będą też przybierały na ostrości. Dalszą konsekwencją tego krytycznego staanowiska opinii będzie jeszcze większe odizolowanie aparatu władzy komunistycznej od narodu. Kiedyś wreszcie, bo to nieuniknione, dojdzie do takich napięć, których aparat ten nie będzie w stanie pokroić. I wówczas albo się załamie, albo też będzie zmuszony pójść na tak daleko posunięte reformy strukturalne systemu rządzenia, jak to ostatnio miało miejsce w Czechosłowacji.

Czy w obecnym kierownictwie PZPR znajdują się ludzie, aby tę konieczność zrozumieć — można raczej wątpić. Przemówienie Gierka, pozbawione konkretnych świadczy jedynie o tym, że ekipa gomułkowska szuka gwałtownie środków, aby jeszcze na jakiś czas odwieść swą nieuniknioną klęskę.



## WIELKI MOTOROWIEC

Jak obwieściła tryumfalnie prasa krajowa, polski przemysł okrętowy przystąpił do budowy tzw. 55-tysięcznika. Będzie to największy statek skonstruowany i wybudowany w naszym kraju. Zamówienie wykonuje najnowocześniejsza z naszych stoczni w Gdyni. Nowy statek ma być przekazany do eksploatacji Polskiej Żeglugi Morskiej w roku 1970, a więc już za dwa lata. Otrzyma on nowoczesne wyposażenie techniczne i specjalne wzmocnienie kadłuba dla przewozu rudy żelaznej. Będzie osiągał wysoką szybkość ponad 15 węzłów, konkurencyjną ze statkami zagranicznymi tego typu, co zapewni mu potężny silnik o mocy 15.300 koni mechanicznych typu Sulzer—Cegielski produkowany w Poznaniu. Długość statku wyniesie 218 m. a szerokość 32 m. Tym samym polski przemysł okrętowy osiąga w ten sposób następny stopień szybkiego rozwoju.

## ROZWÓJ ŻEGLUGI MORSKIEJ

W ostatnim czasie polski przemysł okrętowy woduje tylko na potrzeby własnych linii morskich po dwa statki miesięcznie. Jeśli się zważy młodość tego przemysłu jest to duże osiągnięcie. W danej chwili pływa po morzach i oceanach ponad dwieście statków pełnomorskich z polską banderą, nie licząc jednostek dużej już floty rybackiej, która w szybkim tempie zbliża się do zaplanowanych 400 jednostek pełnomorskich.

Ogólny tonaż polskiej floty handlowej zbliża się do blisko dwóch milionów DWT, a na przyszłość flota handlowa ma jeszcze większe ambicje. Obecnie flota polska obsługuje 34 linie regularne, prowadzące do około 250 portów rozrzuconych na całym świecie. W ub. roku nadwyżki dewizowe wypracowane przez polskie statki pełnomorskie wyniosły ponad 75 milionów dolarów.

DYSPROPORCJE ZAŁOŻEŃ  
PLANÓW PRODUKCYJNYCH

Wysoki wzrost produkcji przemysłu maszynowego, zakładał według planu również wysoki eksport polskich maszyn na rynki zagraniczne. Tymczasem, jak się okazuje, ze względu na stosunkowo małą atrakcyjność tych maszyn, wykonanie planu eksportowego pozostaje znacznie w tyle. Ma to zresztą miejsce co roku, lecz planiści z uporem nie uwzględniają w planach błędów własnych założeń. Dotychczas kłopot z nagroma-

dzonymi na magazynach maszynami załatwiono w ten sposób, że pod koniec roku, gdy plan eksportu stawał się nierealny, nadwyżki niezrealizowanego eksportu rzucono na rynek wewnętrzny wykorzystując na ten cel tzw. nadwyżki środków inwestycyjnych poszczególnych przedsiębiorstw. Ale w tym roku będą z tym poważne trudności. Jak się bowiem okazuje, biurokratyczne zarządzenie Głównej Komisji Planowania obniżyło o 25 proc. dopuszczalny poziom inwestycji własnych przedsiębiorstw w porównaniu z rokiem ubiegłym, co z ekonomicznego punktu widzenia nie ma żadnego uzasadnienia, gdyż większość naszych przedsiębiorstw jest zdecydowanie niedoinwestowana.

Co się stanie wobec tego z nadwyżką wyprodukowanych maszyn, które nie znajdują zagranicznego nabywcy?

Odpowiedź jest prosta, wypróbowanym zwyczajem komunistycznego planowania — pójdą na skład i zamiast pracować i zwiększać efektywność przemysłu będą po prostu rdzewiały, bo maszyny fabryczne też są niedoinwestowane i tym samym nie przystosowane do dłuższego przetrzymywania na składzie precezyjnych maszyn.

## „KIESZONKOWY“ SKUTER

Potrzeba jest matką wynalazków — głosi przysłowie. I rzeczywiście. Warszawski rzemieślnik, Zdzisław Korbecki, widząc nieporadność władz w rozwiązywaniu problemów komunikacji miejskiej skonstruował składany, lekki skuter, który mieści się w teczce i nie sięga nawet kolan. Ma 40 cm. wysokości i 72 cm. długości, pali zaledwie 1,2 litra benzyny na 100 km. i rozwija szybkość do 40 km na godzinę. Jest także względnie wygodny dla dorosłego człowieka. Korbecki jeździ swoim skuterem po Warszawie, a gdy odwiedza jakieś urzędy czy instytucje pakuje go do teczki i taszczy ze sobą. Odbył także na miniaturowym skuterze podróż zagraniczną, co też wystawia mu pewne świadectwo sprawności. Wynalazek ma cały szereg zalet, co zgodnie przyznają fachowcy: m.in. jest niezwykle tani i trudno się na nim zabić. Nie straszny mu tłok miejski ani problem parkingu. Słowem — nadaje się do masowej produkcji. Ale jak zwykle w takich wypadkach „miarodajne czynniki“ zamiast chwycić okazję na gorąco i uruchamiać produkcję, będą teraz latami debatowały czy to aby nie sen.

LAWINA „BUBLI“  
RUSZYŁA NA WIEŚ

Wśród dziesiątków „bubli“, czyli niechodliwych artykułów przemysłowych, znajdują się między innymi przestarzałe typy telewizorów. Produkowano je wbrew ostrzeżeniom rynku aby wykonać „święty“ plan. Teraz są nieprawdopodobnym kłopotem producentów, zalegając przeładowane magazyny. Ale od czego głowa. Gdy konieczność przymusi nawet w unormowanym planem społeczeństwie „ludowo - demokratycznym“ wolno jest sięgnąć do zgniłych, kapitalistycznych metod nieuczciwej reklamy. Tak więc, w myśl zgłoszonych dziesięć lat temu postulatów ruszyły wreszcie na wieś ekipy specjalistów sprzedające chłopom przestarzałe typy telewizorów. A jakże, zostawiają je nawet po chałupach tytułem próby, same instalują anteny, uczą obsługi, załatwiają formalności, udzielają od ręki kredytu, dawnym odbiorcom przeprowadzają naprawy itd. I okazało się, że „niechodliwy“ towar stał się na jakiś czas atrakcyjny, właśnie dzięki tej kapitalistycznej reklamie i obsłudze.

KRZYK MODY — GUMOWCE  
„PALCÓWKI“

Mniej więcej w dwadzieścia lat po wprowadzeniu na rynki świata tak zwanych „japonek“ — pantofli gumowych z jednym paskiem między palcami — zaczęto je produkować również w Polsce. We Wrocławiu, gdzie pierwsze partie tego towaru ukazały się wczesnym latem, uformowały się przed sklepami długie kolejki. Ale „towar“ znikł w parę minut. Ci co nie zdążyli kupić „nowości“ powątpiewają, że jest rzeczywiście „made in Poland“. Wobec tego władze przeprowadziły skrupulatne dochodzenie i ustaliły, że przyczyną niedostatecznego zaspokojenia rynku jest zachłanność tych, co pierwsi ustawili się w kolejce. Podobno nie wierząc aby następna partia towaru trafiła na rynek jeszcze w tym roku, wykupywali oni na zapas po pięć par.

## GRUNT TO POMYŚLUNEKI!

Ostatnio znikają w Polsce ze sklepów w tempie błyskawicznym gumowe rękawice, przeznaczone do pracy w gospodarstwie domowym, chociaż do niedawna artykuł ten nie cieszył się zbyt dużym powodzeniem. Przyczyna popytu okazała się wręcz zaskakująca. Rękawice gumowe wykupywane są na zapo-

(Dokończenie na str. 10)

trzebowanie niemowląt, o których w planie jakoś zapomniano i nie pomyślano dla nich o smoczkach. Zapobiegliwi rodzice wykupują więc niechodliwe dotychczas rękawice, obcinają im palce i po przekłuciu tych ostatnich gorącą igłą mają gotowe przyrządy do karmienia swych pociech.

Słowem, grunt to zdrowy pomysłunek.

W związku z tym, jedno z krajowych pism gospodarczych wymyśliło już termin na tego rodzaju wynalazczość handlową: nazywa to „popytem ciągnionym“, natomiast domowe przeróbki towarów dla zgrania ich z nowym przeznaczeniem użytkowym, proponuje nazywać „neonaturalną gospodarką domową“. Oto jak ustrój komunistyczny wzbogaca nam język i terminologię naukową!

### POGARDA DLA PROCENTU

Zysk bez pracy — głoszą teoretycy komunizmu — jest niemoralny. I najwidoczniej przekonali już społeczeństwo. Bo co się okazuje? W miarę wzrostu tak zwanej „oszczędności docelowej“, tzn. składania na książeczkę PKO z myślą o późniejszym nabyciu telewizora, maszyny do szycia, moto-roweru, rzadziej samochodu, a po wieloletnim oczekiwaniu mieszkania spółdzielczego rosła w Polsce dość szybko w pewnym stopniu przymusowe wkłady oszczędnościowe, które w połowie tego roku przekroczyły 70 miliardów złotych. Naturalnie w myśl zasad bankowych oszczędności te są groszowo oprocentowane. Ale co się okazuje? Mimo wezwań PKO o podejmowanie przez oszczędzających należnych im procentów duża ich część, szczególnie drobnych ciulaczy, wcale na to nie reaguje. Na przykład w zeszłym roku ciulacze nie podjęli odsetek wartości około pół miliarda złotych.

Pomijając już fakt oczywistej pogardy dla niezapracowanego zysku nasuwa się pytanie czy PKO nie dokonuje tej drobnej oszczędności jakąś zawiłą metodą biurokratyczną. Np. wyznaczeniem terminu na wpisanie procentu lub nakazem osobistego zgłoszenia się po odbiór należności, co nie zawsze jest dla zainteresowanego opłacalne. Znane są przecież wypadki, że dla wpisania do książeczki 5 zł. wylosowanej premii oszczędnościowej wzywano zainteresowanych do przyjazdu z Łodzi do Warszawy.

Wiślan

**Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orła Białego“ o adresowanie czeków i P.O. tylko na:**

**GRYF PUBLICATIONS Ltd.**

# Z ŻYCIA POLSKIEGO

## POLACY w W. BRYTANII WOBEK INWAZJI NA CZECHY

W wielkiej fali protestów w W. Brytanii przeciw przemocy rosyjskiej w stosunku do Czechów, wzięło również udział społeczeństwo polskie.

W Londynie Polacy kilkakrotnie manifestowali swe uczucia sympatii dla narodu czeskiego w wiecach i pochodach. Władze polityczne ogłosiły oświadczenia piętnujące barbarzyński napad.

W Glasgowie Koło SPK pospołu z innymi organizacjami kombatanckimi zorganizowało pochód pod konsulat reżymowy, rozdając ulotki domagające się wycofania wszystkich wojsk okupacyjnych z Czech i potępiające Gomułkę za haniebne użycie wojsk polskich jako narzędzia imperializmu sowieckiego.

Podobna manifestacja odbyła się w Dundee z udziałem wszystkich polskich organizacji kombatanckich.

W Wolverhampton urządzono zebranie protestacyjne staraniem Komitetu Międzypartijnego przy udziale Węgrów, Łotyszów, Litwinów i Ukraińców.

W Leicester kilkaset osób pochodzących z krajów ujarzmionych manifestowało w czasie koncertu rosyjskiej Orkiestry Państwowej.

Koło SPK w Wellingborough ogłosiło w miejscowym „Evening Telegraph“ list protestacyjny.

1-go września odbyła się wielka manifestacja w Manchester w Domu Kombatanta. Przemawiali na niej Adam Ciołkosz, dr Milnar (Węgier), Franciszek Skoumal (Czech) oraz inż. Jarosław Żaba przewodniczący Zjednoczenia Polskiego w Manchester. Po zebraniu uformował się pochód, który udał się pod pomnik Nieznanego Żołnierza. Uchwalona rezolucja głosi między innymi:

*Słemy wyrazy solidarności i otuchy narodom czeskiemu i słowackiemu i wszystkim narodom sowieckiej przemocy.*

*Zebrani w rocznicę najazdu hitlerowskiego na Polskę składamy hold żołnierzom polskim, którzy oddali swe życie w obronie wolności. Składamy hold ofiarom rewolucji węgierskiej i wszystkim ofiarom sowieckiego terroru. Jesteśmy świadomi, że narody zależne od sowieckiego terroru są zdane przede wszystkim na własne siły. Czekają na długą i ciężką walkę zanim należą*

*każdemu człowiekowi wolność stanie się ich udziałem.*

*Ostatnie wypadki w Czechosłowacji wykazały jak w ogniu samotnej walki wykuwa się solidarność całego narodu, więcej: wykazały jak wykuwa się pełna solidarność pomiędzy narodami słowackim i czeskim rokując nadzieję solidarności i wspólnoty w przyszłości wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej.*

*Sily duchowe ujawnione przez nasze narody w oporze przeciw sowieckiemu terrorowi pozwalają wierzyć w ostateczne zwycięstwo!*

*W tej długiej i ciężkiej walce o wolność godność człowieka pragniemy wytrwać i my — polityczni emigranci rozsiani po całym świecie — przekonani, że przez wierność ideałom wolności i prawdy służyliśmy zarówno naszym narodom jak i krajom, które udzieliły nam gościnę.*

### DNI „CZESKIE“ W MIĘDZYNARODÓWCE SOCJALISTYCZNEJ

W dniach 21-22 sierpnia odbyła się w Kopenhadze sesja Rady Międzynarodówki Socjalistycznej. Z ramienia Unii Socjalistycznej Środkowo-wschodniej Europy uczestniczyli w obradach Unii B. Kalnins (Łotwa), wicepr. S. Wąsik (Polska), sekr. gen. V. Bernard (Czechosłowacja) i Anna Kethly (Węgry).

Na sesję przybył również przewodniczący Międzynarodówki Bruno Pitterman, który poinformował zebranych, że Biuro Międzynarodówki zwróciło się o zwołanie Rady Bezpieczeństwa z związku z najazdem sowieckim na Czechosłowację.

Wobec wytworzonej sytuacji skrócono obrady do dwu dni, program uległ zmianie i sprawa czeska wysunęła się na czoło wszystkich zagadnień. Rada uchwaliła przy pełnej jedynomyślności rezolucję, w której m.in. stwierdza:

„Międzynarodówka Socjalistyczna potępiała inwazję sowiecką jako akt jawnej agresji, który odsłania bez ogródek imperialistyczny stosunek Związku sowieckiego do uczestników Paktu Warszawskiego. Jest to poważny cios dla tych krajów, które dążyły do rozładowania napięcia między Wschodem i Zachodem.

Aktem tym Związek sowiecki oraz jego poplecznicy raz jeszcze udowodnili całemu światu, że żywią pogardę dla pojęcia „socjalizm“ i „demokracja“.

Międzynarodówka Socjalistyczna wyraża pełną solidarność z narodem czeskim i wzywa socjalistów w całym świecie oraz tych wszystkich, którzy cenią wolność i pokój do udzielenia poparcia narodowi czeskiemu w jego walce o wolność.“



## POLSKI OŚRODEK KULTURALNY NA DRODZE DO REALIZACJI SWEGO CELU

Za sumę £48,750.0.0. POSK nabył kompleks budynków położonych przy 240/244 King Street i 3, 7a i 9 Ravenscourt Avenue, Hammersmith, W.6.

Realność ta położona jest w pobliżu Hammersmith „Town Hall“, ra skrajnie ruchliwej dzielnicy handlowej, na dogodnym szlaku komunikacyjnym, obok dużego parku miejskiego, około 150 metrów od stacji kolejki podziemnej Ravenscourt Park i niedużej odległości od stacji Hammersmith (około 1 km.).

Władze miejskie dzielnicy Hammersmith udzieliły zezwolenia na adaptację i użytkowanie zakupionych obiektów na cele społeczne, naukowe, kulturalne i organizacyjne — w ten sposób OŚRODEK POLSKI znalazł miejsce na mapie Londynu!

Wstępne pertraktacje o nabycie sąsiednich obiektów są w toku.

Władze POSK żywią nadzieję, że pomyślnie załatwienie następnej transakcji może zaspokoić niemal wszystkie centralne potrzeby naukowe, kulturalne, społeczne i organizacyjne społeczności polskiej na Obczyźnie.

Spór z władzami miejskimi o prawo używalności klubu młodzieżowego przy 7 Cromwell Road, S.W.7., znanego jako „KLUB POD PARASOLEM“ i prowadzonego przez Polski Ośrodek Młodzieżowy, został rozstrzygnięty przez Ministra Greenwood'a przychylnie dla POSK. Młodzież będzie mogła kontynuować swą pożyteczną działalność.

## ZŁOTY JUBILEUSZ DZIEWIĄTAKÓW

W roku bieżącym 27 pułków kawalerii polskiej świętuje złoty jubileusz. W tym to roku bowiem mijają pół wieku od chwili odtworzenia lub powstania tych pułków, a w ich liczbie i 9. Pułku Ułanów Małopolskich, który do chwili wybuchu 2-giej wojny światowej stał w historycznej Trembowli.

Bardzo uroczyste obchodzili „dziewiątacy“ swój złoty jubileusz. Duży nacisk położyła na to Sekcja „Szkocja“ Koła 9. Pułku Ułanów Małopolskich, bo w Szkocji pułk się szkolił i tam został rozwiązany.

Na jubileuszowy obchód, który odbył się w Edynburgu w reprezentacyjnej sali Domu Kombatanta dnia 1 września, licznie zjechali się ułani, rozsiani po całej Szkocji, niektórzy nawet z rodzinami. Na uroczystość zjechali również z terenu Szkocji przedstawiciele następujących pułków ułańskich: 7-go, 8-go, 14-go, 15-go, 1. Pułku Szwoleżerów oraz delegat Koła z Londynu.

W czasie nabożeństwa na intencję poległych na polach bitew i zmarłych

ułańców ksiądz infułat Bombas wygłosił wzruszające okolicznościowe kazanie.

Uczestnicy obchodu zebrali się w sali Domu Kombatanta, z gen. St. Maczkiem, ks. inf. Bombasem i ks. proboszczem Szuberlakiem na czele, gdzie powitał ich gospodarz jubileuszowego obchodu, prezes Sekcji „Szkocja“ Koła, mjr. Zdz. Sas-Biliński i wręczył honorowe odznaki pułkowe następującym osobom: ks. inf. dr L. Bombas, major M. Badowski, rtm. T. Jankowski, rtm. W. Soja, chor. Wł. Kowalczyk i plut. A. Borciuch. Minutą milczenia uczczono pamięć poległych i zmarłych dziewiątaków.

W sali udekorowanej lancami ułańskimi z proporczykami pułków, których przedstawiciele brali udział w obchodzie, na honorowym miejscu zawieszono dużych rozmiarów odznakę pułkową, oraz obraz „Bitwa pod Komarowem“, w której dziewiątacy zdobywali rycerskie ostrogi.

Rozpoczął się żołnierski obiad, i liczne okolicznościowe przemówienia. Listę mówców stworzył gen. St. Maczek, który w swym przemówieniu podkreślił olbrzymie przywiązanie żołnierzy do barw oraz wysoki poziom koleżeństwa, które dla wielu jednostek wojskowych może służyć przykładem. „Nie dziwnego — powiedział gen. Maczek — że po tylu latach rozstania się z pułkiem tyle was się tu zebrało, bo ciągle tworzyacie jedną wielką rodzinę“. Ks. infułat Bombas w swym kolejnym przemówieniu podkreślił, że więzy, które go łączą z pułkiem, datują się jeszcze z czasów wojny polsko-bolszewickiej, że zawsze ten pułk cenił wysoko, tak jak wysoko ceni nadaną mu teraz honorową odznakę pułkową. Po przemówieniach rtm. A. Smolki i rtm. W. Minora zabrał głos gospodarz uroczystości, mjr. Zdz. Sas-Biliński, który z naciskiem podkreślił, że Koło 9. Pułku Ułanów Małopolskich poza utrzymywaniem więzów koleżeńskich wzięło również na siebie poważny obowiązek, jakim jest niesienie pomocy materialnej potrzebującym kolegom i rodzinom poległych, przebywającym w kraju jak i na obczyźnie, i z tych obowiązków Koło stara się wywiązać możliwie najskuteczniej. Odczytaniem kilku własnych wierszy przez chor. Zajęca ta część uroczystości została zakończona.

Piękną i bardzo udaną wstawką w programie obchodu było wyświetlenie filmu z otwarciem wystawy, zorganizowanej przy poważnym współudziale Sekcji „Szkocja“ Koła, dla uczczenia 100-jej rocznicy urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego. Film ten wykonał st. ułan Pułku, Liehr.

Ale ułańska uczta bez ułańskich śpiewów nic by nie była warta. Jak z rogu obfitości posypały się żołnierskie pio-

senki jedna za drugą, a brzmiały długo i mocno.

Po obiedzie „dziewiątacy“ zebrali się na doroczne walne zebranie Sekcji „Szkocja“ Koła. Serdecznie i gorąco dziękowano prezesowi Sekcji mjr. Sas-Bilińskiemu za całą jego dotychczasową działalność i zdecydowano prowadzić nadal tę samą akcję, oraz wybrano władze Sekcji w składzie: prezes — mjr. Zdz. Sas-Biliński, v-prezes — por. J. Łastowiecki, członkowie — rtm. W. Soja, chor. L. Gozdlan i wachm. E. Jabloński.

## ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA W EDYNBURGU

Tak jak w latach poprzednich, tak i w tym roku organizacją Święta Żołnierza zajęło się miejscowe Koło S.P.K., z prezesem dr S. Mglejem na czele.

Koło SPK Nr. 25 zorganizowało w niedzielę, 18 sierpnia, tzw. „żołnierski podwieczorek“, który przy stołach zgromadził ponad 100 osób, co na stosunki edynburskie jest już cyfrą bardzo wysoką. Dr Mglej w swoim przemówieniu przypominał że w krytycznych tych dniach 1920 roku odożono do lamusa wszelkie tarcia polityczne, stworzono rząd obrony narodowej i z całą energią zabrano się do obrony zagrożonego bytu państwowego. Ten wspólny wysiłek dał wspaniałe rezultaty. Adam Bukowski odczytał wyjątki z pamiętników Wincentego Witosa, dotyczące wizytacji szefa rządu kilku oddziałów na linii bojowej pod Warszawą, oraz wspomnienia jednego z uczestników Bitwy Warszawskiej.

Naturalnie, że nie mogło się obejść bez żołnierskich pieśni, które śpiewała cała sala przy akompaniamencie (akordeon) Adama Bukowskiego. Zabawa taneczna była ostatnim punktem programu tego bardzo udanego obchodu.

## ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA w COVENTRY

Zarząd Koła S.P.K. 399, przy współudziale kierownika Klubu Kombatantów w Coventry A. Burzyńskiego, zorganizował 25 sierpnia uroczysty obchód Święta Żołnierza.

Mszę św. odprawił i piękne kazanie o miłości bliźniego i ojczyzny wygłosił o. Jacek Trochym. Po mszy w pięknie udekorowanej sali Domu Kombatanta odbył się „obiad żołnierski“ dla 120 osób, przygotowany przez panie: E. Kulpa, M. Kamińską, T. Kamińską, G. Sitkowską, F. Popławską, S. Pierścińską, K. Scot, J. Poterało, K. Plamieniak, C. Murphy i W. Jałowieką.

Zebranych gości powitał prezes Koła mjr. B.H. Pełczyński, po czym przemówienie w języku angielskim i polskim wygłosił przedstawiciel Zarządu Krajowego SPK kol. B. Domański, który następnie udekorował w imieniu władz

(Dokończenie ze str. 12)

SPK złotą odznaką kombatancką kol. A. Szaniawskiego oraz srebrną kol. J. M. Kamińską.

W części artystycznej wystąpili: Kazimierz Calak (baryton), Irena i Wanda Karacińskie (piano), Barbara Szyzsko (akordeon), Ewunia Sajda (deklamacja).

### OBCHÓD ŚWIĘTA ŻOŁNIERZA W SZWAJCARI

W dniu 25 sierpnia zorganizowało Koło S.P.K. Burgdorf-Solura piękną uroczystość, poświęconą pamięci zwycięstwa polskiego nad armią czerwoną w roku 1920. Inicjator tej uroczystości, prezes Koła, kol. Gmurezyk, mógł powitać Rektora Misji Katolickiej w Szwajcarii, o. J. M. Bocheńskiego, który odprawił również mszę św., i wygłosił głębokie i patriotyczne kazanie. Kiludziesięciu Kolegów wraz z rodzinami, oraz prezesa Zw. Org. Polskich w Szwajcarii i prezesa Zarządu SPK w Szwajcarii, dr. J. Paszkowskiego, który wygłosił przemówienie, w którym przedstawił wysiłki polskie podczas wojny światowej na terenie politycznym i wojskowym. Przypomniał on, że głęboka myśl Józefa Piłsudskiego, oparcia usiłowań Narodu na stworzeniu własnego wojska, doprowadziła do Armii Polskiej, która w r. 1920 w bitwie warszawskiej i uderzeniu znad Wieprza wywalczyła nam możliwie bezpieczne granice. Zwycięstwo to odwróciło niebezpieczeństwo zajęcia Europy przez rewolucję komunistyczną, tak, że lord Abernon nazwał bitwę warszawską 20 wielką bitwą świata. Obecnie jednak — zakończył prezes Paszkowski — gdy Polska została przez mocarstwa zachodnie siłą włączona w obóz komunistyczny, Zachód nie może spodziewać się nowej bitwy nad Wisłą, która by mogła uratować Europę od komunizmu. Sprawa ta stała się jasna, gdy imperializm komunistyczny przez najazd na Czechosłowację, zagroził ponownie całej Europie.

Na uroczystości znaleźli się liczni przedstawiciele miejscowej ludności szwajcarskiej z p. Wiat i p. Tatarinoff z Twa im. Kościuszki na czele. Prezydent miasta, p. Kurt przesłał list z życzeniami, podkreślając z całym naciskiem, że wypadki czechosłowackie i udział w nich polskiego wojska komunistycznego nie zgadza się wbrew twierdzeniom reżimu, z tradycją którą pozostawił Polakom Naczelnik Kościuszko i zapowiedział iż Zarząd Twa Kościuszkowskiego wyciągnie w stosunku do przedstawicieli reżimu w Twie odpowiednie konsekwencje. Prezesowi Gmurezykowi należy się podziękowanie i uznanie za zorganizowanie tak podniosłej uroczystości.

JERZY BREJNAK

# WESTERPLATTE

*Świt jeszcze nie wyblyska znad łądów ani z mórz  
Już na nas ogień pryska, już wali dym i kurz...  
Noc siódmą my w okopach, nie znamy co to sen,  
Chłop w ramię koło chłopu, strzelamy noc i dzień...*

*Wiatr oczy nam przemywa, przynosi zapach wód...  
Mój kamrat dogorywa, szrapnelem dostał w przód...  
Wciąż wali ogień z nieba w baterię naszych dział,  
Nam samym trwać tu trzeba aż po ostatni strzał...*

*A waruj pilnie bracie, choć grzeje ogień bomb,  
Armata przy armacie, niech gryzie ząb za ząb,  
Patrz Szwaby z prawa wałą, eskadry lecą znów,  
Już ziemię ogniem palą — już płonie szósty rów...  
Patrz z góry — naszych pięciu — jak rzuca się w tłok,  
Jak trzyma ich w napięciu, nie dając pójść o krok...  
Od góry śmigła warczą, potworny w chmurach ścisł,  
A tu armaty charczą, za błyskiem leci błysk...*

*Już szósty spada z góry, nabieraj szybko cel —  
Niech Szwab obleci który, ty, bracie, serią strzel...  
Choć palce w cynglach mdleją, nie zwalniać w ogniu rąk,  
Choć zbrakło tchu nadziejom, choć wróg osacza w krag...  
Jesteśmy całkiem sami, nadziei żadnej już —  
Gdyś sam jest, gryź zębami, wal kolbą, wbijaj nóż...  
I tak gryźć będziesz ziemię, bo zbraknie kul armacie...  
Niech gryzie ją i Niemiec, że chciał być w Westerplacie.*

\* \* \*

*Na morzu ogień zgasa, nie słychać naszych dział...  
Już takie pustki w masoch, że nie sprzątamy ciał...  
Lotnicy skrzydła łamią, w tym ogniu giną wciąż,  
Choć radia jeszcze kłamią, prze naprzód wrogi wąż...*

*Już kul niewiele stało — dział kilka jeszcze trwa,  
O, znów zamilkło działo, znów zbito działa dwa...  
Jedzenia nie ruszamy, na jadlo późny czas,  
Strzelamy i strzelamy, konamy także wraz...*

*Nie trzeba nam pomocy, nie trzeba kłamnych ust,  
Po ósmej takiej nocy przychodzi ciężki mus.  
Już zapał wyczerpany, żołnierzu masz zapłatę,  
Nie wyschną twoje rany, krew wlejesz w Westerplatte...  
Po świecie wieści płyną: że wróg pół Polski wziął...  
Żołnierze tylko giną, w bezładzie cierpień mrą...  
W omrokach oczy mdleją, wróg to najkrwawszy, tak,  
Lecz serce tli nadzieją, bo walczy Westerplatte...*

*Podnosisz więc karabin, żołnierzu błyska skra...  
Choć wróg nas rżnie i grabi, lecz Westerplatte trwa...*

\* \* \*

*Krew polska splywa w morze, żołnierzy naszych krew,  
Gdzie polski pług się worze, odnajdzie kości siew...  
W nawozie gniją kości, gruchoty rąk i czoł...  
To nasze są świętości, w nich polski byt się wsnął...*

*Krew naszą wody płuczą, kośćmi trząsa wiatr,  
A ciała gleby tuczą, w swój proch bogacąc świat...  
Lecz prochy te wyblysną, gdy rzucać przyjdzie siew...  
Pożoga w świat wyblysną, ożyje nasza krew...  
Od stoków gór po morza, przez równin suchy blat,  
Nasz sztandar będzie gorzał, wpatrzony w Westerplatte...  
Grać będą nowe hymny, a sztandar będzie trwał  
Jak płomień złotodymny od bohaterskich ciał...*

Daty napisania tego wiersza nie udało się ustalić. Autor zagiął w r. 1944.



## ESEJ „O SZCZĘŚCIU” (II)

18

**D**OWODEM jak osobiście zabarwia się pojęcie szczęścia jest zestawienie takich dwóch odmiennych organizacji psychicznych jak Bertrand Russel i Pierre Theillard de Chardin. Pierwszy napisał „The Conquest of Happiness”, a drugi „Reflexions sur le bonheur”.

Bertrand Russell słusznie stwierdza, że „nothing so much diminishes not only happiness but efficiency” (ten moment wydaje mi się bardzo angielski) as a personality divided against itself. The time spent in producing harmony between two different parts of one's personality is usefully employed”. Ta teza wydaje się słuszna i w swej diagnozie — rozbicia w nas samych — jak i syntezy: osiągnięcia harmonii. Russell jest dydaktyczny w swoich zaleceniach; jest praktyczny. Uważa — i słusznie — że „sense of sin... is one of the most important of the underlying psychological causes of unhappiness in adult life”. Ale nie dodaje czegoś najważniejszego: poczucia winy, które jest czymś innym od „sense of sin”. A to poczucie winy wobec siebie, bliskich, narasta w czas, mimo wszelkich wysiłków wytłumaczenia, że może nie można było inaczej i że — tak czy owak — niewiele możemy zdziałać. Wypiański ujął to lapidarnie:

„Idziesz przez świat i dajesz temu światu kształt przez swoje czyny, Spójrz w świat, w ten świata kształt a dojrzyysz swoje winy”.

Russell przyjmuje, że szczęście jest wynikiem **self-realisation**: „The happiness that is genuinely satisfying is accompanied by the fullest exercise of our faculties and the fullest realisation of the world in which we live”. Dla niego człowiek wiedzy, man of science, uczony — jest człowiekiem szczęśliwym (nie pisarz — man-of-letters). Rady, jakie daje są, chciałoby się rzec, zacne i terre-à-terre; la **simplicite même**. „The secret of happiness — pisze Russell — is this: let your interests

be as wide as possible, and let your reactions to the things and persons that interest you be as far as possible friendly rather than hostile”.

Zapał do pracy, entuzjazm, przejęcie się — oto sekret szczęścia. („Rest — the most universal and destructive mark of happy men”). Uczucie traktuje pedagogicznie jako część składową szczęścia: uczucia opanowane, racjonalne, ale szczerze: „the best type of affection is reciprocally life-giving” prawi moralistycznie „as a combination having a common good, is one of the most important elements of happiness”. I w szerszym ujęciu: „The happy man is the man who lives objectively, who has free affections and wide interests, who secures his happiness through these interests and affections and through the fact that they, in turn, make him an object of interest and affection to many others... The man who receives affection is, speaking broadly, the man who gives it”.

Ideał Russela jest zatem ideałem racjonalnym: życie umiarkowane. („The happy life is to an extraordinary extend the same as the good life”) — to ujęcie Russella wydaje się zbyt schematyczne (epigramatyczne jak na myśliciela); życie kierowane światłem rozsądku a posiłkowane uczuciem. Najlepiej wypada jego analiza tam, gdzie chwytą przyczyny nieszczęścia — „all unhappiness depends upon some kind disintegration of lack of intergration”) i gdzie mówi o **self-realization**; ideał jego wydaje się ograniczony jego własnymi **likes and dislikes**. Jego recepta szczęścia jest receptą racjonalisty i uczonego.

19

Inaczej podchodzi do tych spraw Pierre Teilhard de Chardin, natura poetyczna, ekstatyczna. Rozważając zasady **vitae brevae**, która trapiła już jako problem starożytność, uczonego jezuita uważa, że są trzy jakby odłamy wśród ludzi: 1) Des fatigues (pesymiści, którzy głoszą, że szkoda się było właściwie rodzić — ich na-

stawienie bliskie jest „sagesse hindue's; 2) „Des bon Vivants“ (chcą tylko wyzyskać czas); i 3) „Des Ardents“ (dla których życie jest rozwojem, przygodą). I są trzy stopnie szczęścia: najniższy szczebel — bonheur de tranquillité, średni — bonheur de plaisir, wysoki — bonheur de croissance.

Odpowiadają one trzem typom ludzi podejmującym przygodę życia.

De Chardin głosuje za trzecią szkołą: za szczęściem, które rozplywa się w całości, w przyszłości, w czymś, co nas przekracza (bonheur d'immerger et de se perdre, dans l'avenir, en un plus grand que soi”). Dla niego prawdziwe szczęście to szczęście wzrostu „le vrai bonheur... est un bonheur décroissance”) — i tutaj dotyka ten entuzjasta rozwoju, ewolucji, poeta jej — istotnej sprawy.

Są, jego zdaniem, trzy stadia tej wewnętrznej przygody:

1. „L'unification de nous-mêmes au coeur de nous-mêmes,
2. L'union de notre être avec d'autres êtres, nous eguaux;
3. La subordination de notre vie a une vie plus grande que la notre.

Uznaje słuszność powiedzenia Nansena, że „najważniejszą rzeczą życia jest odnaleźć siebie”, ale sądzi, że od tego wstępnego stadium wiedzy dopiero droga do przekroczenia siebie. „Un centre d'ordre superieur nous attend-dejà il apparait non plus seulement à cote, mais **au-delà** et **au-dessus** de nous mêmes.” Trzy są szczęścia: „bonheur de grandir — bonheur d'aimer et bonheur d'adorer”.

Wstępujemy na te szczeble przez przewyciężenie odnalezionego siebie, przez wcielenie się w wielki krąg ewolucji, wzrostu, przez zatracenie się, mistyczne zatracenie w czymś co nas przerasta, a co uwielbiamy: dzieło wiecznego tworzenia, wiecznego rozwoju.

Jest to górny ideał wybranych o podkładzie mistycznym.

Recepty na szczęście nie ma i być nie może, albowiem rozkłada się ono na nieskończoną mnogość odcieni. A jednak filozofowie i religie starają się od wieków przedstawić nam swoje koncepcje szczęścia, zapewniają, że tylko wtedy gdy pójdziemy wyznaczoną drogą, znajdziemy szczęście.

Mimo tych optymistycznych zapewnień, osiągnięcie **stanu** szczęścia wydaje się czymś niebywale trudnym. Większość ludzi zgodzi się zapewne na axiom, że szczęście jest rzeczą przelotną, ulotną, że ogranicza się do chwil, do nagłych nawiedzeń, wspaniałych, ale krótkotrwałych uniesień. Są to nawiedzenia mistycznego niemal porządku — albo właśnie (w najwyższym napięciu, w najwyższym stopniu) mistyczne uniesienie w formie unii z Bogiem, z Najwyższą Istotą.

Wydaje się, że ta właśnie unia, to przezwycięzenie ciężaru czasu i śmierci, to przebicie się przez barierę śmiertelności i ciała, że to szczęście jest najwyższym osiągnięciem człowieka. Ale i ono jest **stanem**, nie jest rzeczą raz zdobytą, pozycją raz na zawsze wywalczoną. I to szczęście jest darem chwili, momentem Łaski. Ale życie w stanie Łaski? Tak rzadkie chyba, jak niepewne. Bo nawet święci, nawet mistycy, wahają się między wątpieniem, rozpaczą a pewnością; i oni męczą się nie mogąc zapomnieć nawiedzeń, które otworzyło im niebo i postawiło twarz w twarz ze światłem Nieskończonym.

## 21

Dla świętego i mistyka ta unia jest źródłem ogromnego szczęścia i nieszczęścia zarazem. Nie tylko dlatego, że przeczcucie, iż jest wybrańcem Boga napawa zarówno wdzięcznością jak i lękiem: czy podola się zadaniu na nas włożonemu, czy jest się godnym naczyniem Łaski? Ale i dlatego, że po każdym uniesieniu, po każdej **unio mystica** życie wydaje się czymś marnym i nędznym. Mistrz rwie się niecierpliwie, aby wyrwać się z pęt życia i złączyć na wieki z prawdą.

Dlatego święty i mistrz musi być po części wrogiem życia, a raczej tym, który nie daje nam śmiertel-

nym — przykładu czy programu życia. Chce on z życia uciec.

## 22

Skoro doświadczenie mistyka, należące do wyjątków, nie ma zastosowania wśród śmiertelników, szukających szczęścia na ziemi, pozostają rozwiązania wkraczające w dziedzinę mistyki, unia miłosna, miłość do swojego gatunku, do gromady, ojczyzny, szczęście badacza, który wnika w tajniki natury, szczęście artysty, który łączy się w unii ze swoją koncepcją i przełamuje zapory nieporozumienia. Jest to szczęście gatunku napewno mistycznego: bo wynika z woli wyjścia z siebie, czy przedarcia się przez zasłonę samotności. Wydaje się, że warunkiem tego szczęścia jest **wyjście z siebie**, chęć złączenia się z kimś bardzo bliskim, albo ideą czy ideałem, który nas przerasta — jak nauka, ojczyzna, sztuka.. U dna, u zasady tego szczęścia leży miłość lub wola miłości, wysiłek miłości, bez którego nie sposób wyobrazić sobie szczęścia.

## 23

Szczęście takie osiągają ludzie objęci uczuciem miłości — nawet jeżeli jest ona niewinna, albowiem idealnie odmierzonej miłości nie ma na świecie. Zawsze waga przeważa na tę czy drugą stronę, jeżeli chodzi o wysiłek miłosny. Ale nawet przy niedostatecznym wyrównaniu szali dokonuje się w prawdziwej unii miłosnej krótkie spięcie szczęścia: wyjścia z siebie, zapomnienia o sobie, stopienia się w jedno z czymś co jest większe od nas: siła biologiczna, gatunek, przełamanie samotności. Dlatego logicznym następstwem prawdziwej unii miłosnej jest dziecko: jako coś trzeciego, nowego, co łączy dwie antytezy. Ale nawet jeśli unia miłosna jest jałowa, nie daje dzieci — chociaż w najwyższych osiągnięciach takiej unii pragniemy podświadomie może dziecka (i kobieta i mężczyzna) jako owocu tego cudu, który przeżywamy — to i tak unia taka dokonuje (choć na krótko) przełamania samotności. Twierdzenie, że człowiek jest zawsze samotny jest przogłędne: zakłada ono niemożność porozumienia między dwojgiem ludzi. Ci jednak co zaznali takich po-

rozumień będą — jak mistycy, w których doświadczenie chce wierzyć sceptyk — upierali się przy tym, że można przełamać samotność. Że to przełamanie jest trudne, bardzo trudne — to pewne. Że udaje się rzadko — to fakt. Że wymaga bardzo wielkiego wysiłku i zbiegu okoliczności i zejścia się ludzi i osobliwego napięcia: to prawda. Ale istnieje ono i doświadczają go miliony ludzi. I raz doświadczywszy tęsknią za powtórzeniem. Porozumienie to nie jest możliwe bez złamania poczucia samotności, które dzisiaj wyrobiło sobie tak wysoki „kurs“: wszyscy zaklinają się, że jesteśmy samotni od kolebki do grobu. A wynika to z tego, że nie potrafimy zapomnieć o **sobie** w zryw miłosnego oddania.

## 24

Te akty miłości muszą być bezinteresowne, a zatem nie żądające odpłaty. Szczęście polega przede wszystkim na gotowości dania, ofiarowania, out of the plenitude of our heart, z przepelnionego uczuciem serca. Jest to jak potrzeba fizjologiczna, potrzeba naszej fizjologii emocjonalnej. I dopóki człowiek ma możliwość dawania i nie liczenia tego co daje, ma zasadniczo możliwość być szczęśliwym. Sknerstwo uczuciowe i liczenie wet za wet (**tit for tat**) są wrogami szczęścia.

Egocentrycy są przeważnie nieszczęśliwi. Ale i oni — artyści doznają sensacji szczęścia przez wyjście z siebie, przez unię z twórczością, przez danie upustu instynktowi twórczemu, który przerasta ich; albowiem tworzą rzeczy, które mają być trwalsze od nich.

## 25

Tworzenie wszelkiego rodzaju — patrzanie na wzrost rzeczy, na rozkwit ich, to daje niewątpliwie uczucie wielkiego szczęścia tak jak zabijanie w nas instyktów twórczych przez mechaniczną eliminację, podobnie jak wyjałowienie miłości przez odseparowanie jej od płci, traktowanie siebie jako rzeczy autonomicznej, a nie zrosniętej z całym kompleksem emocjonalnym — to wszystko pozbawia człowieka zdolności odczuwania szczęścia.

(Ciąg dalszy nastąpi)



# ŚWIĘTOSŁAWA

**D**OBRAWA natężyła się po raz ostatni. Zaciśnęła zęby, krople potu zrosiły jej czoło. Nie wydała jęku. Po chwili usłyszała krzyk dziecka. Uniosła się na łokciu i zapytała: „Syn?“ „Nie pani. Córka. Wielka. Tłusta jak kluch“. Dobrawa znużona położyła się. „Mieszko będzie zły“ — pomyślała sennie.

Pod wieczór wpadł do izby Mieszko. Prędkim, niespokojnym krokiem podszedł do dziecka, potem do żony. Poglądził ją niezgrabnie po twarzy, w oczach błysnęła mu czułość. „Gniewnyś panie mój?“ — wyszeptala Dobrawa. — „Ze dziewczka?“ „Niii... — Pomyślał trochę — wydamy ją dla sojuszu, dla wzmocnienia księstwa... A nazwiem ją Świętosława, po maci...“ Na usta Dobrawy wypłynął szczęśliwy uśmiech. W milczeniu przycisnęła do ust rękę męża. Był rok 970.

\* \* \*

Świętochna bawi się przed babińcem. Lepi z mokrego piasku górkę, przyklepuje drewnikiem, nie udaje jej się. Jest zła. Żeby tylko ta wstrętna Adelajda nie przyleciała, ona się zawsze wyśmiewa. Świętochna nie wie dlaczego, ale nie lubi Adelajdy. Klóć się zawsze okropnie o byle co. Świętochna nie chce ustąpić, wrzeszczy, tupie nogami. Z babińca wychyla się Dobrawa i łagodnie upomina. Świętochna biegnie do matki, wtula twarzyczkę w fałdy kiecki, jeszcze trochę słocho, ale wnet podnosi swoją śliczną twarzyczkę. Dojrzała Bolka, który ze zmarszczonym czołem naprawia sobie łuk. Chociaż nie było postrzyżyn, ale Dobrawa tak go po ojcu swoim Bolesławie Srogim, księciu Czech, nazywa, przy czym w imieniu tym widzi jakby prorocstwo na przyszłość — Bolesław — boleć sławy...

Ci dwoje pasują do siebie, kochają się. Bolko umie się bawić z młodszą siostrzyczką, a ona patrzy w niego jak w obraz. Bolko, oho Bolko, on wszystko umie, wszystko potrafi. Świętochna siedzi między matką i bratem i jest jej tak dobrze, tak dobrze.

Nadchodzą postrzyżyny Bolka. Świętochna nie może zrozumieć, że

odtąd Bolka nie będzie w babińcu, że nie będzie się już więcej z nią bawił. Ukryta za drzewem patrzy, jak stary Wszebor ucina Bolkowi jego piękne włosy, jak Bolko wsiada na konia i odjeżdża z piastunem... I odtąd matka, która tęskni mocno za synem, poświęca swój czas córkom, głównie zaś najmłodszej Świętochnie. Czas płynie leniwie. Świętochna nie wie, że na świecie dzieją się wielkie rzeczy, Świętochna nie rozumie urwanych słów ojca, gdy wpada do matki i biegając prędkimi krokami z kąta w kąt mówi dużo, a czasem nawet pyta. Dobrawa odpowiada cicho, z szacunkiem, ale znać, że ma własne zdanie. I dziecko potrafi to odczuć i zapamiętać. Na całe swoje późniejsze życie.

Aż nagle pada grom. Pierwszy wielki cios w życiu Świętochny. Bolko idzie do niewoli. Bolko jedzie z piastunem do cesarza niemieckiego! Jak w paszczę wilka! Dobrawę podcina ten cios. Zawsze opanowana i pogodna nie może się oprzeć wrażeń, że widzi własne dziecko pchane w płomienie, na pewną śmierć i że jest bezsilna. Gryzie się losem Bolka tak okrutnie, że nie zobaczy go już więcej; umrze w czasie pobytu Bolka w niewoli.

Mała Świętochna przeżywała głęboko razem z matką tęsknotę za Bolkiem. Ale naprawdę samotna, głęboko nieszczęśliwa poczuła się po śmierci matki. Nawet Adelajdy przy niej nie ma. Zaślubiona Gejzie jest daleko na Węgrzech.

Nad Świętosławą płacze stara piastunka. Bo już nie ma Świętochny, jest ona sierotą i Oda macocha. Okrutna macocha, obłudna mniszka z Kalby, w której rozmiłował się bez pamięci stary Mieszko. Oda nie może znieść dumy Świętosławy, jak może tak poniża dziewczynę, depece jej godność, pomiata nią.

Oj, smutna jest dola dawnej wesołej Świętochny! Dziewczyna nie może zrozumieć zawyłych zamysłów ojca. Wie tylko, że Bolko w niewoli u Niemców, a ojciec ożenił się z Niemką. I gorzko, bezradnie płacze i wygląda odmiany losu. I rozpaczliwie tęskni za Bolkiem, jedynym bliskim człowiekiem na ziemi.

Świętosława doczekała się wreszcie powrotu Bolka, po siedmioletniej bez mała niewoli. Jakiż odmieniony! Ledwie go pamięta, jak wyjeżdżał chłopcem — teraz stoi przed nią piękny młodzieniec. Bolko nie może się nadziwić, że ta cudnej urody dziewczeczka o miedzianych włosach i zielonych oczach, to dawna, malutka Świętochna... Bolko nie wie, że Świętosława jest nie tylko piękna, że umie też doskonale panować nad sobą; uśmiechnie się, kiedy serce w niej skowyczy z bólu.

Bolko dostał od ojca własną drużynę, a w drużynie jest Olav Tryggvasson, wypędzony z własnego kraju. Po pobycie w niewoli został przypadkiem rozpoznany jako prawowity dziedzic tronu norweskiego i przygarnięty przez Mieszka. Świętosława i Olav rozkochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Olav jest poganinem, Olav nie ma ojczyzny, Świętosława wie, że nie wydadzą jej za niego. Ale marzyć jej wolno. Spędzają dużo czasu razem — Olav jest pewien, że zdobędzie tron norweski i że wtedy oddadzą mu Świętosławę. Świętosława jest radosna jak ptak. To najszczęśliwszy okres jej niełatwego życia. Pewnego dnia uprosiła Olava, aby poszedł z nią do starego wróża; boi się trochę czarów, ukrywa to przed kapłanem. Olav zgadza się chętnie i razem biegną do oddalonej pieczary koło Kruszwicy. Wróżba jest niezwykła: „Będziesz królową dwóch krajów i matką trzech królów“. Świętosława wraca głęboko zamyślona, w roztargnieniu gryzie źdźbło trawy. Olav też się zasepił. Królowa dwóch krajów? Więc nie tylko Norwegii tak jak on tego pragnie?

Biegnie czas — Mieszko już postanowił los Świętosławy — Oda go gorąco popiera, pragnie oddalić przynajmniej dziewczynę, jeśli nie może się pozbyć znieawidzonego Bolka. Podmówi Mieszka, aby pod przymusem ożenił Bolka z Niemką, córką Rygdaga, chociaż wie dobrze, że Bolko kocha Emnildę. Na złość Bolkowi czyni okrutną macocha. Bolko to zapamięta i nie daruje kiedy przyjdzie czas, Bolko umie czekać.

(Ciąg dalszy na str. 16)

Oda pragnie, żeby ojciec miał ciągle przed oczyma tylko synków.

Mieszko nie myśli o tym, co się dzieje w sercu Świętosławy. Mieszko potrzebuje sojuszu ze Szwecją. Poppon, kapelan, podsuwa myśl nawrócenia Erika szwedzkiego, syna Björna. Małe oczki Mieszka błysnęły wesoło — to lubi, zabić dwie zwierzyny na raz — szerzyć wiarę chrześcijańską i zawrzeć sojusz. Narzędziem tych planów będzie Świętosława. A Olav? Olav dostanie jarlostwo Jomsborgu i będzie się wyżywał w wyprawach wikingów. A Świętosława?

Plynie dziewczątka w asyście trzystu zbrojnych mężów, a ponoć i Olav jest między nimi, na spotkanie swego losu. Piękne wiano otrzymała od Mieszka Świętosława — grody Szczecin i Wolin.

Jest późna jesień — siwy jest Bałtyk i smutne są myśli Świętosławy. Patrzy ku brzegom Szwecji. Patrzy odważnie, bez zmrużenia powiek. Rozumie misję, którą ma spełnić. Poppon, jej spowiednik wie dużo i szepta jej, że to Pan wybrał ją na narzędzie swojej woli. Że trzeba się poddać z pokorą. Świętosława myśli o wróżbach. Królowa dwóch krajów? Więc może jednak, może kiedyś? Świętosława jest jeszcze dzieckiem i boi się starego Erika. Boi się, ale na ustach ma uśmiech kiedy orszak zbliża się do Uppsali.

Chrzest Erika. Legenda głosi, że Poppon przekonał Erika do wiary chrześcijańskiej pokazując mu cud próby ognia. Zaślubiny, wspaniałe uczty, jarlowie ryczący pieśni wikingów — i młodziutka Sigrid — już nie Świętosława — z trwogą w sercu, z uśmiechem na ustach.

A potem życie. Szare, smutne dni bez odrobiny słońca — żeby to chociaż była wiosna! Ale przyjechała na zimę, ponurą skandynawską zimę. I nieluby żonie mąż. A noce długie, że zda się, iż nigdy się nie rozjaśni. W krótkich godzinach dnia Sigrid jedzie konno na wybrzeże i patrzy ku polskim brzegom, patrzy, patrzy, patrzy... Wreszcie przychodzi wiosna. A wiosna w tym kraju cudowna! Różnorodność kwiecia, różnorodność ptaków i ludzie odmienni, radośni, cieszący się jak dzieci każdym słonecznym dniem. Sigrid poczuła się matką, pragnie mieć syna, pragnie dać mu imię Olafa. Przychodzą pierwsze owoce sojuszu polsko-szwedzkiego. Erik, wspomagany przez wojów z

orszaku Sigrid odnosi wielkie zwycięstwo nad rzeką Fyris; ginie jego brataniec i współzawodnik do tronu Styrbjörn Starke, syn wyganego brata Olafa. Polacy opanowują Jomsborg, twierdzą u ujścia Odry, którego jarlem był Starke. Bolesław mianuje Olava Tryggvassona jarlem Jomsborga. Erik zyskuje przydomek Zwycięskiego. Ale wiara Erika jest bardzo powierzchowna. Przed bitwą polecił się, według legendy, Odynowi na okres lat dziesięciu, po czym obiecał sam się Odynowi oddać, by być porwanym do Valhalla.

Przychodzi na świat chłopiec. Stary Erik, zakochany w młodziutkiej, prześlicznej żonie zgadza się łatwo nazwać go Olafem. Będzie to na pamiątkę jego brata, którego wprowadził wygnął ze Szwecji i któremu tylko co zabił syna — ale to przecież nie ma żadnego znaczenia. Kołysząc swego małego synka, śpiewając mu słowiańskie pieśni — myśli Sigrid o innym Olawie, od którego ją oderwano na zawsze, na zawsze...

Lata płyną i Sigrid na pozór wrosła zupełnie w swoje nowe otoczenie. Tylko ona wie i może spowiednik, że w piersi tej dumnej — jak ją przeważano — pani, bije serce czułe i stęsknione za krajem, za swojskim obyczajem, za krajobrazem. Tu wszystko inne, wszystko obce. Skąły, jeziora i lasy, lasy, lasy nieprzebyte. Ale tego nikt nie wie. I tylko jak urodzi się córeczka Sigrid zapragnie nazwać ją imieniem słowiańskim. Ale Erik sprzeciwi się i nazwą ją Holmfridą.

Bo Erik zmienił się bardzo. Po odniesieniu szeregu zwycięstw Erik czuje, że zbliża się godzina odwetu Odyna. I ten stary już człowiek jest bliski obłędu. Tak, jak to zwykle bywa, szaleniec zwraca się przeciw tym, których uprzednio miłował. Przeciw własnemu synowi Olafowi i przeciw Sigrid.

Nastają ciężkie dni dla Sigrid. Drży o życie dziecka, nie rozbiera się na noc, śpi z bronią przy boku. Będzie broniła syna, jak lwica. Marzy wszakże o jego przyszłości, o wielkim, mądrym, chrześcijańskim królu Szwecji. Musi go uratować przed szalonym Erikiem.

Płyną dni, zmieniają się pory roku, na dworze szwedzkim ponuro i straszno. Wreszcie Erik ginie tajemniczo pod gruzami świątyni Odyna. Sigrid jest wolna. Ale Sigrid jest świadoma swojej roli królowej-wdo-

my i na pierwszym planie stawia sprawy królestwa szwedzkiego, umocnienia pozycji swego syna Olafa. Jest przede wszystkim królową-matką.

Teraz dopiero po śmierci Erika zapanowała swoboda dla krzewienia wiary. Nie idzie to łatwo, pastor Reinbern ma zaledwie gromadkę nawróconych, kult Tora i Odyna nieprędko da się wypłenić.

Spraw swojego serca nie stawia Sigrid przed innymi ważniejszymi. Odrzuca jednak po kolei zaloty wielu konungów, legenda prawi, że jest dla nich okrutna, że ich nawet zgładza, byle ją pozostawiono w spokoju.

Bo piękna Sigrid czeka, czeka na swojego ukchanego Olava. Sigrid nie wie, że to nie ten sam młodzieniec, którego знаła przed dziewięć laty w Poznaniu i Gnieźnie. Nie jest już jarlem Jomsborga, skąd urządził łupieskie wyprawy na Danów i Brytów, zapędził się nawet pod Londyn. Głośno o nim, skaldowie opiewają jego wspaniałe zwycięstwa.

Jest już królem Norwegii, którą najechał był właśnie, pokonał króla Haakona i wypędził jego synów Erika i Swenda. Olav jest już chrześcijaninem. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby zdobył Sigrid, której nie zapomniał przez te długie lata i nie pojął dotąd żony.

Ale Olav pragnie nie tylko Sigrid, pragnie też osiąść Szwecję, obalić młodziutkiego króla Olafa.

Nie wie, nie wie Olav Tryggvasson, że obecna Sigrid Dumna nie przełoży spraw swego serca ponad dobro królestwa szwedzkiego, ponad prawa swego syna-króla. Nie wie, bo cóż wie człowiek o człowieku?

Przyjeżdża król Olav na zrekowiny do Upsali, zbrojno i świetnie. Jakże piękny jest, jak miły. Pastor Reinbern jest zgorszony, że uważa się za narzeczonego Sigrid bez jego błogosławieństwa. Wreszcie i temu staje się zadość i narzeczeni obejmują się w długim gorącym uścisku. Olav pragnie ślubu jak najprędzej. Kiedy jednak podczas uczty dworuje sobie nieprzystojnie z młodziutkiego króla, Sigrid postanawia odłożyć swój ślub do dnia zaślubin syna swego. Wtedy zda rządy na młodą królową i popłynie z Olavem do Norwegii.

Ale inne są plany Boskie. Nie zostanie Sigrid żoną Olava, nie ukończy tęsknoty swego serca.



Nadchodzi dzień zaślubin młodziutkiego Olafa, przezwanego królem-odroślą, z Astrid. Uppsala jest pełna znakomitych gości, zabawom i ucztom nie ma końca. Obok miejsca Sigrid stoi puste krzesło; nie posadzono na nim Olava, który nie może zrozumieć postępowania narzeczonej.

Ale Sigrid wie, że Olav ma zgromadzone w tajemnicy przed nią wojska i że chce za jednym zamachem zdobyć Sigrid i Szwecję. I nie dopuści do tego. Złamie własne serce, ale uratuje tron szwedzki dla syna.

I kiedy Olav jeszcze raz zapyta kto zajmie miejsce koło królowej — Sigrid powie mu całą prawdę w oczy. Olav jest wściekły, że plany jego odkryto przedwcześnie — i staje się rzecz straszna. Olav Tryggvasson, w szale gniewu i zazdrości, uderzy swoją umiłowaną, swoją cudną Sigrid rękawicą w twarz i rozetnie jej usta, po czym wybiegnie nie oglądając się z sali. Wolno kapią krople krwi na wspaniałe szaty królowej, ale bardziej jeszcze broczy krwią jej serce... Oto po raz drugi traci Olava, oto traci go na zawsze, aby uratować królestwo dla syna.

Naraz słychać gwar wielu zmieszanych głosów, nowi świetni goście wkraczają na salę, a na czele Swend, król Danii.

I Swend Widłobrody zajmuje miejsce koło królowej, zostaje jej mężem i zabiera ją do Roskilde.

I nowu nieluby żonie mąż...

Sigrid Dumna powinna być zadowolona, że wywarła zemstę na zdrażdzieckim Olawie. Czy jest zadowolona? Któż pojmuje serce zakochanej kobiety? Wie jedno — spełniła obowiązki wobec Szwecji, wobec syna i nie zawiodła Bolesława, który po śmierci Mieszka został władcą Polski. I to jej musi wystarczyć.

A Olav? Olav ożenił się czym prędzej z Thyrą, siostrą Swenda, która nienawidzi dworu szwedzkiego za zabicie jej męża Styrbjörna. Olav będzie chciał pokazać Sigrid kogo straciła. Będzie prawdziwym chrześcijańskim królem, sprowadzi do Norwegii angielskich misjonarzy, przy pomocy których zostanie nawrócona Norwegia, Islandia i Grenlandia. I zawrze mocny sojusz z Anglią, którą uprzednio tak często najeżdżał — sojusz z Anglią przeciwko Danii.

Sigrid tymczasem zyskuje sobie miłość Danów. Spłaca z własnej

szkatuły długi Swenda, które miały być pokryte z podatków. Wywalcza pierwsze prawa dla kobiet duńskich. Ciągłe piękna, ciągle pełna nieodpartego wdzięku kobiecego.

Sigrid rodzi Swendowi syna Lamberta, a potem jeszcze dwoje dzieci, syna Knuta i córkę Świętosławę. Wreszcie nazwała piąte z kolei i ostatnie swoje dziecko imieniem słowiańskim!

Sigrid nie darmo jest córką Dobrawy i Mieszka. Gdyby była mężczyzną nie ustępowałaby Bolesławowi w politycznych zdolnościach. Ale nawet jako słaba kobieta Sigrid przez małżeństwo ze Swendem duńskim, kładzie podwaliny pod sojusz polsko-szwedzko-duński. A już w Danii będzie obmyślać nowy sojusz, wymierzony przeciw Norwegii. Sojusz angielsko-duński. Ile w tym zranionej dumy kobiecej, ile w tym zdławionego miłowania? Któż to odgadnie? Ale przez małżeństwo siostry Swenda Gunhildy z earlem angielskim Pallingiem następuje zbliżenie między Anglią i Danią.

Swend popiera plany żony. Jest on związany ze słowiańszczyzną licznymi więzami. Legenda głosi, że matka jego była słowianką. Z Bolesławem zaprzyjaźnił się serdecznie podczas wspólnej niewoli u cesarza Ottona. Wprawdzie później w wyniku sojuszu szwedzko-polskiego i zwycięskiej bitwy nad Dunami, Swend jest pozbawiony ojczyzny, odzyskuje ją jednak ponownie po śmierci Erika i zdobyciu Norwegii przez Olawa. Po powrocie na tron ponosi go raz jeszcze natura wikinga i rozpoczyna walki podjazdowe z Polakami, które kończą się wzięciem go do niewoli przez jomsborczyków, skąd trafia na dwór Bolesława. Wprost z tej niewoli Swend zjawia się w Uppasali i zajmuje puste miejsce obok Sigrid na uczcie weselnej.

Swend był wprawdzie ochrzczony, jednak w późniejszym swoim życiu nie przestrzegał zupełnie zasad wiary chrześcijańskiej. Dopiero pod wpływem Sigrid odmienił się zupełnie i nie tylko pozwalał, ale sam współdziałał w szerzeniu wiary chrześcijańskiej w swoim kraju, przez sprowadzenie mnichów angielskich i budowanie kościołów.

Sigrid nie wystarczają te osiągnięcia. Sigrid nie zapomniała okrutnego postępku Olawa i omotuje go pajęczą siecią intrygi, intrygi śmier-

telnie zranionego kobiecego serca. Jej to podmowom w znacznej mierze zawdzięczać należy koalicję duńsko-szwedzko-polską w bitwie pod Svolder, w której ginie Olav. A Olav przagnął właśnie zemścić się ostatecznie na Sigrid najeżdżając ziemie słowiańskie. W ostatniej chwili swego życia schronił się Olav na jej statek. Sigrid zobaczy po raz ostatni nieopisany urok jego męskiej twarzy, nieopowiedziany czar jego spojrzenia. Po czym pochłoną go fale Bałtyku.

Lata płyną, Sigrid jest wprawdzie jeszcze ciągle piękna, ale zaczyna się starzeć. Swendowi zaczynają podobać się młodsze, poza tym odmienił się stosunek do Anglii. Zaczyna znowu najeżdżać ten kraj. Sigrid Dumna nie może tego przeboleć i opuszcza Danię. Po coż ma dalej przebywać poza krajem? Olava nie ma — wszystko się skończyło — Sigrid wraca do Polski.

Spełniła swoje zadanie w Szwecji, dopomogła synowi w pierwszych latach jego panowania. Nie jest on wprawdzie tej miary królem, jakiego sobie wymarzyła, ale rządzi sprawiedliwie i jest pierwszym prawdziwie chrześcijańskim królem Szwecji. I to jest niewątpliwie zasługa Sigrid.

A w Danii? Dzieci są jeszcze nie-dorośle, nie trzeba na razie pomagać im, podporać ich losu. Nie będzie przecież długo w kraju.

I oto płynie znów Świętosława — imię Sigrid pozostawiła w Skandynawii — wpływa na wody Odry. Płynie w asyście duńskich wojów, jak przystało królowej. Pragnie się spotkać z Bolkiem, pragnie usłyszeć choć słowo podziękowań za wypełnienie zadania, za dwadzieścia lat bez swoich...

Serce bije jej mocno na widok znajomych stron. Tu była młoda, kochała Olava, wierzyła że będzie szczęśliwa.

Im bliżej Poznania, tym więcej znajomych miejsc związanych miłymi wspomnieniami. Świętosława uśmiecha się z rozczuleniem — to w tych stronach chyba mieszkał wróż — „królowa dwóch krajów, matka trzech królów“.

Wróżba częściowo się spełniła, była królową Szwecji i Danii, syn pierwotny jest królem Szwecji, a synowie Swenda jeszcze mali — nie wiadomo, co im sążone...

(Dokończenie na str. 18)

**10** czerwca 1914 roku zdałem we Lwowie maturę. Ten wielki dzień trwa w mojej pamięci ze wszystkimi szczegółami, włącznie z pytaniami egzaminacyjnymi z literatury polskiej, z greki, z historii i z matematyki. Na niejedno z tych pytań, zwłaszcza z matematyki, a może i z historii, nie umiałbym już dzisiaj odpowiedzieć.

Ze zdaniem matury łączyła się u mnie jeszcze jedna radość. Miałem obiecaną podróż do Paryża i wakacje we Francji. Wyruszyłem ze Lwowa ostatniego czerwca, oczekiwany w Paryżu przez moich bliskich, bo miałem tam wtedy trochę rodziny.

Tak się zaczęły te moje wakacje, które zamiast projektowanych dwu miesięcy potrwały prawie pięć lat i wkrótce straciły charakter wakacji. Bo kiedy po kilku dniach mojego pobytu w Paryżu wyjechaliśmy do Bretanii nad morze, dały się słyszeć tzw. pierwsze pomruki nadciągającej burzy dziejowej. Po zamordowaniu austriackiego następcy tronu i jego żony w Serajewie monarchia habsburska zajęła bezkompromisową postawę wobec małej Serbii i parła do wojny, nie przewidując, że przyniesie ona jej samej zagładę.

**IGNACY WIENIEWSKI**

## WE FRANCUSKIEJ

W owej zamierzchłej epoce rządy przestrzegaly jeszcze tradycji, zarzuconej przez Hitlera, formalnego wypowiedzenia wojny. Nastąpiło ono w ostatnich dniach lipca.

Nie bardzo wiedzieliśmy, co z sobą zrobić. Wojna austriacko-serbska mogła lada chwila przekształcić się w europejską, a my, jako poddani Franciszka Józefa, znaleźlibyśmy się w kraju nieprzyjacielskim. Na wszelki wypadek wróciliśmy do Paryża, ale zaledwie tam stanęliśmy 1 sierpnia, wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, po niej niemiecko-francuska i inne. Europa rozgorzała.

Republika Francuska uznała mnie, „Austriaka“, za swojego wroga. Chociaż stan wojny między Austro-Węgrami a Francją nastąpił formalnie dopiero 9 sierpnia, rozplakowano od razu zarządzenie władz, nakazujące wszystkim obywatelom zarówno niemieckim, jak austro-węgierskim niezwłoczne zameldowanie się we właściwych komisariatach policji. Oznaczało to internowanie na czas wojny.

Próbowaliśmy tłumaczyć w komisariacie, że jesteśmy Polakami. —

Alors puisque vous êtes des Polonais, vous êtes des Russes. (Więc skoro jesteście Polakami, to jesteście Rosjanami) — rozumował na swój sposób urzędnik. — Więc po co przychodzicie i zawracacie mi głowę? Pokażcie wasze papiery.

Papiery udowodniły, że jednak byliśmy „des Autrichiens“. I wkrótce uwoził nas z Paryża pociąg wraz z gromadą innych cywilnych wrogów Francji. Gdy nasza czwórka siedziała na walizkach w wagonie towarowym, brzmiały nam jeszcze w uszach okrzyki, jakimi żegnał nas na dworcu zgromadzony tłum: „A bas les Boches!“\*) A do tego świeżo ukuty, nieprzetłumaczalny kalambur: „A bas les Allemands et les Autres-chiens!“\*\*).

Okazało się, że stacją docelową pociągu jest Châteauroux, główne

miasto departamentu Indre w środkowej Francji. Wyładowano nas na dworcu i zaczęto prowadzić do pobliskiego kompleksu wielkich budynków.

— Dokąd my idziemy? — zapytał ktoś jednego ze strażników.

— Do domu wariatów — brzmiała odpowiedź.

Wzięliśmy to za kiepski żart. Ale to była prawda. Budynki ogrodzone siatką drucianą, do których właśnie wchodziliśmy, były zakładem dla obłąkanych, skąd pacjentów przeniesiono gdzie indziej, by założyć tam „le camp de concentration pour les prisonniers de guerre civils“ (obóz koncentracyjny dla cywilnych jeńców wojennych).

Termin „obóz koncentracyjny“ nie miał wówczas tego makabrycznego znaczenia, jakiego nabrał w czasie drugiej wojny światowej. Ale nam, wzrosłym w liberalnych i cywilizowanych stosunkach, odziedziczonych po XIX stuleciu, to odrutowane miejsce odosobnienia wydawało się potwornością. Czuliśmy się bardzo nieszczęśliwi. Wrzała w nas pasja i rozgoryczenie, że spotyka nas to właśnie we Francji, która w ten sposób kwituje nieuleczalną a nieodwzajemnioną polską miłość do siebie. Tak to odczuwaliśmy, nie zdając sobie sprawy z absurdalności naszych pretensji. Bo cóż o Polsce i Polakach mogli wiedzieć ówczesni funkjoariusze francuscy, załatwiający pośpiesznie sprawę niezbędnego w czasie wojny internowania obywateli państw nieprzyjacielskich?

Châteauroux, poczciwa prowincjonalna miścina, nabrała dla nas posmaku Syberii. Na nim wyładowała się nasza bezsilna złość. Moja siostra wymyśliła dla niego przezwisko: „Châteautrou“ (zamek-dziura).

Znalazliśmy się więc na wspólnej sali, w różnojęzycznej ciżbie ludzkiej. A sal takich było wiele w szpitalnych budynkach. Przeważali oczywiście Niemcy z Reichu i austriacy, byli Węgrzy, Czesi, Chorwaci, była grupa polska: oprócz nas trochę innych Galicjan, niemało Poznańczyków i Ślązaków. Różnice

\*) Precz ze Szwabami!

\*\*\*) Precz z Niemcami i z innymi psami! (Gra słów: „autres chiens“ — inne psy, „Autrichiens“ — Austriacy).

Bolka nie zastała w Poznaniu, ale to nic. Zostanie i tak między swoimi. Jakaż to radość mówić po swojsku, myślała przecież przez cały czas w swojej mowie, chociaż usta jej wypowiadały twarde, chropowate, obce słowa. Odsyła zdumionych wojów duńskich i spędza całe dnie na odnajdywaniu wspomnień dzieciństwa. I ciągle wracają wspomnienia Olava. Tego chciała, do tego dążyła — stąpać po śladach dawnej miłości...

Czas płynie. Mały Knut, syn Świętosławy i Swenda nie jest już mały. Został królem Anglii i zasłynął pod mianem Knuta Wielkiego.

Po śmierci Swenda, to on właśnie, najbardziej do matki przywiązane dziecko, sprowadzi Świętosławę do Anglii. Gdy Lambert, trzeci syn z kolei, zostanie królem Danii pod mianem Haralda, spełni się co do joty prorocstwo starego wróża spod Kruzwicy. „Królowa dwóch krajów, matka trzech królów“.

Świętosława zmarła ponoć w Anglii około roku 1016.

Jadwiga Biernacka



# „BACIARNI“

były zresztą nie tylko narodowościowe. Rozpiętość warstw społecznych wyrażała się w skali od robotników rolnych do profesorów uniwersytetu..

Całe to towarzystwo koczowało na słomie, rozestanej na podłodze. Prycz ani sienników nie było. Kto miał pled lub koc, przykrywał nim słomę. Od razu zaczęły dochodzić do głosu prawa socjologiczne, rządzące ludzkimi zbiorowiskami. Wyłaniały się typy przywódcze, starające się skupić dokoła siebie elementy bierniejsze dla dogodzenia swoim ambicjom lub wyciągania z tego drobnych krzyści. Droga do tego było występowanie wobec władz obozowych w charakterze przedstawicieli jeńców cywilnych. Choć hasło „śmierć frajerom!“ nie było jeszcze w owych czasach sformułowane, niezaradnych niemiłosiernie gnębili cwaniacy.

Oczywiście, wybuchały niesnaski i awantury. Błahe sprawy urastały do wymiarów ciężkich problemów. Rywalizacja o lepszy kątek na legowisko, o to, kto dostał przepustkę do miasta, a komu jej odmówiono — powodowała zawiści i ostre zatargi. Tu trzeba nadmienić, że naczelnym strażnikiem obozowy, Monsieur Moutard, nie zaliczał sprawiedliwości i bezintersowności do swych szczególnych cnót. Przepustki nie zawsze wydawał bezpłatnie. A już gdy petentka była młoda i urodziwa, starał się niedwuznacznie pozyskać jej wdzięczność.

Widok tego kotłowiska ludzkiego był niesamowity. Rano, gdy rozespiane postacie podnosiły się ze swych leży, często z wiechetkami słomy we włosach, rzucając złe spojrzenia na sąsiadów, nie dających im spać chrapaniem, skojarzenia z jakimiś najniższymi formami zbiorowisk ludzkich narzucały się nieodparcie. Powstały wśród lwowiaków termin „baciarnia“ na oznaczanie obozu internowanych przyjął się błyskawicznie wśród Polaków z innych dzielnic.

Z naszą czwórka sąsiadowała spora grupka Węgrów. Byli to sympatyczni inteligenci z Budapesztu, dwa

małżeństwa z przyległościami. Jeden z nich, zdaje się nauczyciel gimnazjalny, siedział ze stoickim spokojem na walizce i całymi dniami czytał ostentacyjnie dzieła filozoficzne Macha i Avenariususa. Węgrom patronował siwowłosy starzec o wyglądzie biblijnego patriarchy. Żał było na niego patrzeć, gdy rano, umęczony, zwlekał się ze słomy.

Arcyważną sprawą, która stanowiła doniosły element w stosunkach między internowanymi, było wyżywienie. Każdy miał prawo rano do sporego kubka czarnej kawy z chlebem, a w południe i wieczór do porcji tłustej zupy, w której pływały kawałki mięsa i kartofle. Wystarczało to do życia i było bezpłatne. Ale korzystanie z tego wiktów obowiązywało do prac w obozie, m.in. do czyszczenia bardzo prymitywnych ustępów. Dla tych zaś, którzy mając trochę gotówki nie chcieli z tego dobrodziejstwa korzystać, urządzona była jadalnia, gdzie za dość niską opłatą można było dostać śniadanie, obiad i kolację. To od razu podzieliło mieszkańców obozu na próżniaczych kapitalistów i pracujący proletariatus — z nieuchronnymi następstwami we wzajemnych stosunkach tych dwu grup.

Ale nawet w tej płatnej jadalni nie było równości. Prócz zwykłych posiłków były droższe — dla elity obozowej. Stół dla niej stał w środku sali na podwyższeniu, jakby dla podkreślenia hierarchii. Zasiadali przy nim nieliczni wśród internowanych posiadacze większej gotówki, przede wszystkim zaś Messieurs les gardiens ze swymi damami serca. Rekrutowały się one z ponętniejszych mieszkanek obozu, Niemek, których oficjalnym zawodem była sztuka aktorska. Sceptycy uważali to za eufemizm.

Poza tymi wszystkimi różnicami społecznymi i finansowymi, jątrzyły atmosferę obozową antypatie narodowościowe. Polacy piekili się na Niemców, Ukraińcy na Polaków, Chorwaci na Węgrów. Antypatia do Niemców była najostrzejsza wśród Poznańczyków, a zwłaszcza Ślązaków, którzy najwięcej mieli para-

chunków z Prusakami. Na dobitkę, ten i ów Niemiec ze Śląska starał się zatrzeć swą germańskość i uchodzić za rdzennego Polaka ze względów koniunkturalnych. Ale „pierony“ śląskie zaraz demaskowały jego żalną polszczyznę, a tu i ówdzie przypominały jego antypolskie wyczyny w niedawnej przeszłości.

Bo oto nagle „opłacało się“ być Polakiem. Już w samych początkach wojny Francja wysunęła „le principe de nationalités“ (zasadę narodowościową) jako hasło ideologiczne konfliktu europejskiego. Wyzwolenie ujarzmionych ludów ogłoszono jako cel wojny. Oczywiście, na pierwsze miejsce wysunęła się sprawa Alzacji i Lotaryngii, zaanektowanych w r. 1871 przez Niemcy; ale zapowiadano także w półurzędowych oświadczeniach i w prasie uwolnienie wszystkich narodowości, uciskanych przez Niemcy i Austro-Węgry. Kłopot był, oczywiście, z Polakami, których trzon kraju był pod niezbyt miłościwym panowaniem Rosji, sprzymierzonej z Francją.

Ale właśnie wtedy, w połowie sierpnia 1914 r., został ogłoszony manifest Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, głównodowodzącego armią rosyjską, do Polaków, przyrzekający im zjednoczenie ziem polskich i autonomię pod berłem cara. Jakkolwiek perspektywa carskiego berła była mało ponętna, a w autonomię nikt nie wierzył, tym bardziej że manifest nie miał charakteru wiążącego aktu państwowego, to jednak na opinii światowej zrobił on duże wrażenie. Literacko był dobrze zredagowany, a co najważniejsze, przyczynił się do wysunięcia sprawy polskiej na forum międzynarodowe. Zaczęła się między zaborcami licytacja na temat rzekomego wyzwolenia Polski. W procesie umiędzynaradawiania kwestii polskiej nie były to czynniki obojętne..

Manifest Wielkiego Księcia wywołał w prasie francuskiej entuzjazm. Prawda, że irytujące były jej zachwyty nad wielkoduszną potęgą Rosji, która niesie wolność „męczeńskiej Polsce“, ale w rezultacie przeciętny Francuz zaczął się czegoś dowiadywać o naszym narodzie i przestawał utożsamiać Polaków z Rosjanami.

To wszystko znalazło silne reper-

(Dokończenie na str. 20)

kusje w obozie internowanych i za-  
ważyło na ich losach. Przede wszyst-  
tkim władze poleciły oddzielić Alzat-  
czyków, Polaków z zaboru austriac-  
kiego i pruskiego, Czechów, Chorwa-  
tów itd. od Niemców, Austriaków i  
Węgrów. Pozwalano im nawet mie-  
szkać na mieście z periodycznym  
meldowaniem się na policji. Żal mi  
było Węgrów, którzy musieli pozos-  
tać w obozie. Nic dziwnego, że owi  
Niemcy śląscy tak usilnie, choć bez-  
skutecznie, starali się spolonizować.  
Bo Polaków specjalnie faworyzowa-  
no. Jakiś mały sklepikarz rodem z  
Drohobycza skomentował sytuację  
w słowach:

— Polaki są teraz na śpicu.

W ten sposób opuściliśmy wraz z  
moimi bliskimi „baciarnię“. Wynaję-  
liśmy sobie mieszkanie w Château-  
roux. Teraz zaczęły się starania o  
pozwolenie wyjazdu do Paryża. Po-  
magał nam w nich pułkownik fran-  
cuski w miejscowym garnizonie, na-  
zwiskiem Stecewicz, syn czy wnuk  
emigranta powstaniowego. Po pol-  
sku nie mówił, ale dowiedziawszy  
się, że w mieście jest polska rodzi-  
na, przyszedł do nas i zapytał, w  
czym mógłby nam pomóc. Był to  
uroczy człowiek i przemity gawę-  
dziarz, szczerzy Polak z bardzo cien-  
kim pokostem francuskości, a na  
sprawy polityczne, w szczególności  
w stosunku do Rosji, miał poglądy  
identyczne z naszymi.

Po kilku miesiącach pobytu w  
Châteauroux dostaliśmy pozwolenie  
przeniesienia się do Paryża, dzięki  
zabiegom Marii Zamoyskiej, córki  
generała a siostry Władysława z  
Kórnik, która zorganizowała komi-  
tet opieki nad Polakami, zaskocz-  
nymi przez wojnę we Francji. Po-  
zbyliśmy się statusu jeńców cywil-  
nych i odzyskaliśmy całkowitą swo-  
bodę ruchów z tym jedynym zastrze-  
żeniem, że nie wolno nam było opu-  
szczać granic Francji. Zastrzeżenie  
to jak najbardziej mi odpowiadało,  
gdyż ukończywszy 18 lat podlega-  
łem obowiązkowi służby w wojsku  
austriackim, na którą nie miałem  
najmniejszej ochoty. Zamiast tego  
wstąpiłem później do Armii gen.  
Hallera, gdy się utworzyła we Fran-  
cji.

Na razie, pożegnawszy bez żalu  
Châteauroux z jego „baciarnią“, za-  
pisałem się na Sorbonę.

Ignacy Wieniewski

ZYGMUNT L. ZALESKI

## WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE MICHALSKIM

...Widzę wyraźnie przestronny po-  
kój jednego z mieszkań warszaw-  
skich... Odbywa się zebranie Zarzą-  
du Zjednoczenia Studentów Polite-  
chniki Warszawskiej<sup>1)</sup>. Zebraniu te-  
mu przewodniczy — prezes ówczes-  
ny Zjednoczenia — Jan Rodkie-  
wicz... Zamiast zwykłych obrad ko-  
leżeńsko-korporacyjnych — mamy  
wysłuchać referatu oświatowego  
znanego działacza...

Wchodzi mężczyzna średniego  
wzrostu... Włosy ciemne i bujne...  
Wąsy obfite opuszczone na usta...  
Oczy piękne nie oglądają audyto-  
rium, nie rozglądają się po sali, lecz  
patrzą w głąb, w siebie, na we-  
wnątrz. Rysy twarzy regularne,  
zwarte... Twarz wybitnie „nietz-  
scheańska“. Tylko zamiast tragicz-  
nej surowości, zamiast rozdzierają-  
cej niesamowitości oblicza twórcy  
Zaratustry — góruje tu łagodna nie-  
ustępliwość, ciche, ale zawzięte po-  
stanowienie dochowanie wiary —  
samemu sobie przede wszystkim...

Mówi płynnie, niezbyt głośno...  
z pewnego rodzaju monotonią, która  
nie nuży, lecz zniewala... Mowa po-  
zbawiona zresztą jakichkolwiek  
„chwytów krasomówczych“ — pro-  
sta, i czysta — chciałoby się rzec  
— źródłana...

Chodzi zresztą o rzecz prostą, i  
jasną dla nas wszystkich... Oświata.  
Krzewienie wiedzy, tej wiedzy, która  
oddycha prawdą i wierzy w jej moc.  
Ten pęd do wiedzy trzeba jednak  
zorganizować, umiejętnie skanalizo-  
wać i nasycić... Lotne biblioteki...  
udostępnienie książki, nauczanie, a  
wszystko to „niedozwolone“, „zaka-  
ne“... więc...

Słuchamy z uwagą i uszanowa-  
niem... Przecie to mówi on, znany  
„oświatowiec“ — lewego raczej  
skrzydła aspiracji społecznych...  
Ale nikt nie dczuwa potrzeby klasy-  
fikowania i politycznych rozróżnień.  
Wiemy, że myśl Stanisława Michal-  
skiego posiada oba skrzydła: wiary

<sup>1)</sup> Przed strajkiem szkolnym 1905 r.  
półjawna organizacja studentów Poli-  
techniki Warszawskiej tolerowana przez  
rosyjskie władze uniwersyteckie.

w przyszłość narodu i walki z krzy-  
wdą społeczną...

Stanisław Michalski żyjący w tym  
wspomnieniu dalekim — to przede  
wszystkim krzewiciel oświaty, „słu-  
ga pokorny i cichy“ — nie tyle wie-  
dzy uświęconej, ustalonej, ile nauki  
w jej pełnym twórczym majestacie  
prawdy wyzwalającej, czystej...  
**Poradnik dla Samouków!** Kto nie  
znał wówczas tej wielkiej imprezy  
kulturalnej, kryjącej dyskretnie  
swoje zadania pod skromną na-  
zwą<sup>2)</sup>.

„Poradnik dla Samouków“, który  
po odzyskaniu niepodległości prze-  
mienił się zniemacka w imponujące  
— zarówno wielością tomów, jak  
ich treścią — ukochane wydawnic-  
two Stanisława Michalskiego, reda-  
gowaną przezeń z taką pieczołow-  
tością i miłością „**Naukę Polską**“.

**Poradnik dla Samouków** spełniał  
w swoim czasie dwa zadania syme-  
trią społecznych powiązane. Dla uczo-  
nych polskich był on domem gościnnym.  
Tu mogli się wypowiedzieć, a  
przynajmniej sformułować swoje  
poglądy naukowe... Dla pragną-  
cych się uczyć, czy uzupełniać w je-  
zyku ojczystym swoją wiedzę — był  
„Poradnik“ żywym źródłem, które  
nie gasiło pragnienia, otwierając  
wciąż nowe perspektywy poznawa-  
nia...

Pamiętam jeszcze, iż po „refera-  
cie“ Stanisława Michalskiego zosta-  
ły powzięte, na tym zebraniu jakieś  
uroczyste uchwały i uroczystsze od  
uchwał — postanowienia serc...

Minęły długie lata... Przebiegam  
myślą nasze spotkania i rozmowy...  
Wizyty w jednym i drugim jego mie-  
szkaniu, przy ulicy św. Barbary 1 i  
koło placu Narutowicza — w mie-  
szkaniu oddalonym od śródmieścia,  
gdzie go widziałem po raz ostatni,  
żegnając przed wyruszeniem na Za-  
chód — po przebytych obłęzieniu  
wrześniowym Warszawy — a przed  
wyjściem z Polski, które nastąpiło  
17 lutego 1940 roku. Na jednej z  
tych naszych wspólnych z żoną wi-

<sup>2)</sup> Prawdopodobnie ze względu na  
ówczesne warunki cenzuralno-polityczne.



zyt — mówił Stanisław Michalski — z właściwą sobie serdecznością, prostotą i bezkompromisową szczerością o pamiętnikach wojennych mojej żony, wydanych w roku 1934 pod tytułem „W okopach“ a świeżo właśnie zakwalifikowanych jako zalecana literatura dla szkół średnich. Chwaląc gorąco książkę, winażował zasłużonego sukcesu. Zaznaczył przy tym, że wiadomo mu, iż Marszałek Piłsudski przeglądał książkę i był nią zainteresowany.

Poza tymi intymnymi wizytami i rozmowami — wyliczyć by należało dłuższy szereg wizyt urzędowych — w Ministerstwie W.R. i O.P. „urzędowych“, ale zawsze nacechowanych tą pełną dyskrecją, wytworną serdecznością, która przemieniała każdą rozmowę choćby najbardziej oficjalną na prawdziwe spotkanie dusz, a co najmniej umysłów. Do tych miejsc spotkań należy dołączyć w Warszawie Pałac Staszica — miejsce uprzywilejowane, uświęcone niejako działalnością „Kasy Mianowskiego“, tej instytucji, która pod prozaiczną (przyjętą ze względu na warunki kiedy powstawała) nazwą — kryła skarby działalności społeczno-obywatelskiej w zakresie nauki, badań literackich oraz pieczołowitej, czujnej opieki dla wszelkiej twórczości naukowej i litrackiej.

**Poradnik dla Samouków** — znowu nazwa nieporównanie skromniejsza od rzeczy samej — później wspaniała kolekcja tomów **Nauki Polskiej** — oto dzieło życia i zasługi niespożytej Pana Stanisława. Tam to — zostało mi szlachetnie narzucone — czy „szlachetnie wymuszone“ napisane dla Nauki Polskiej studium o **Roli wyobraźni w twórczości naukowej** — oraz cyklu — na pół sprawozdawczego — z odczytów i komunikatów Akademii Nauk Moralnych i Politycznych w Paryżu, poświęconego psychologii żywej różnych narodów. — Stanisław Michalski chwalił — z właściwą sobie życzliwą prostotą — te prace. — Myślę o tych pochwałach zawsze z głębokim rozradowaniem wewnętrznym. Nie wyczułem w nich nigdy zdawkowego komplementu, czy najlżejszego „falszywego tonu“, sama prawda pełna „męskiego“ umiaru i czarującej prostoty.

Ponieważ mowa o tym czarującym inicjatorstwie Michalskiego, o tych „szlachetnych wymuszeniach“

czy zachętach do pracy twórczej czy organizacyjnej, pozwolę sobie wspomnieć na tym miejscu o jednym jeszcze takim „szlachetnym wymuszeniu“, które nosi nazwę dla mnie drogą: **Życie Sztuki** —. Długo trwały tym razem te zachęty — bez cienia zniecierpliwienia — acz uporczywe przypomnienia, którym sekundował z równym uporem wierny i pełen również tego „tkliwego a mądrego uporu“ współpracownik Pana Stanisława — Faustyn Dzik — aby zwalczyć moją „inercję wewnętrzną“ ten swoisty „bezwład“ aparatu czynnego, organizacyjnego, który mnie w życiu cechował, a który mógłbym nazwać „lenistwem w służbie bożej“, nauce i twórczości polskiej. —

Tak zrodził się w roku 1934 tom I-szy **Życia Sztuki**, po którym wyszły trzy następne z ostatnim IV-yim wydanym tj. wykończonym i wydrukowanym (dzięki bohaterskiej wręcz postawie drukarzy z Krakowskiego Przedmieścia) już po zniszczeniu wrześnieowym Warszawy w roku 1939, na początku 1940 roku. Stanisława Michalskiego cieszył ten tom redagowany „pod bombami“. Sekretarzem redakcji był mi wówczas niezapomniany również bohaterstwem swym Stanisław-Piotr Koczorowski, który z całym bezinteresownym poświęceniem bronił, usiłował ocalić księgozbiór Rapperswilski — złożony wówczas nieopatrnie w byłej podchorążówce w Alejach Ujazdowskich.

Po tej mimowolnej, acz naturalnej dygresji chciałbym zakończyć jeszcze kreślenie tego co filozof polski ks. Augustyn Jakubisiak nazwał był: **le lieu integral** (pełnia miejsca) człowieka — to jest obraz linearny wszystkich zmian i przeżyć człowieka w przestrzeni... Tu chodziłoby o rzecz wiele skromniejszą, o „lieu integral“: — moich spotkań ze Stanisławem Michalskim.

Wizyta Stanisława Michalskiego w Paryżu nosiła charakter mieszany — po części „urzędowy“, o ile godzi się zastosować ten sztywny termin do jakiegokolwiek jego czynności po części — wypoczynkowo-turystyczny... Odwiedził on naturalnie siedzibę Delegata Ministra W.R. i O.P. na rue Boissière pod 59-ym... Ale najciekawsze bodaj rozmowy — pozwabione cech jakiegokolwiek urzędowości — odbywały się na przechadzkach, lub w skromnym hotelu

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

de l'Odeon, gdzie zamieszkał. Mówiliśmy tam — pamiętam — o charakterze i temperancie Francuzów, dla których kultury i zasług cywilizacyjnych — żywił Stanisław Michalski podziw rzetelny i jak gdyby „wdzięczność synowską“. Stąd jego sympatia dla moich i nie moich wrażeń i opisów katedr francuskich... Uderzyła mnie natomiast wówczas jego uwaga — dlatego może, tak wyraźnie ją zapamiętałem — o braku czy zaniku „jurności“ (tak się wyraził) obecnego (to jest ówczesnego, między dwiema wojnami) życia we Francji.

Rzecz szczególna — temu człowiekowi pełnemu delikatności (i jak gdyby wewnętrznego zasromania) — człowiekowi dyskretnemu, opanowanego gustu — wydało się ówczesne życie Paryża, jak gdyby wypłowiałe i niemal anemiczne. — Zdaje się — ale tylko „zdaje się“, że wywiązała się wówczas dłuższa wymiana zdań, której konkluzją było stwierdzenie, że ten brak „jurności“ życia, ta poprawność, to stłumienie „muzyki i gustu“ ówczesnego życia francuskiego — jest po prostu wynikiem wielkiego upływu najcenniejszej młodej krwi francuskiej w bohaterskim i zwycięskim, ale jakże kosztownym porywie wojennym 1914—1918 roku. —

Stanisław Michalski — godził się — o ile pamiętam — na tę, zbyt prostą może diagnozę, ale w samym zjawisku (braku jurności społecznej) widział niebezpieczeństwo i dla samej Francji i dla całego ówczesnego „układu europejskiego“. —

(Dokończenie na str. 22)

Naturalnie — długim rozmowom naszym paryskim — nie brakło wówczas tematów „zawodowych“. Sprawa wzmoczenia — a ściślej biorąc — nawiązania (jeśli patrzeć od strony Francji) mocniejszych, a zwłaszcza głębszych stosunków kulturalnych Polski z Francją — zaprzętała nam głowę przede wszystkim. Stanisław Michalski przyjął prawie w całości mój program działania — po linii większego oporu — ale na daleką metę wydajniejszego niezawodnie. Ta „głęboka orka“ — polegała przede wszystkim na próbie zainteresowania młodzieży francuskiej językiem polskim. Zorganizowanie nauczania języka polskiego w ośrodkach uniwersyteckich i skłoniennie choćby szczupłej bardzo liczby młodych Francuzów do praktycznego poznania języka Mickiewiczów i Kochanowskich miało stanowić podwalinę dla istotnych, rzetelnych stosunków kulturalnych między Francją a Polską...

Dziś wydaje się to „truizmem“, ale swojego czasu było to nielada „wynałazkiem“. — Może po prostu przysłowiowym „jajkiem Kolumba“. Już pod koniec pierwszej wojny światowej — to prawda — dzięki śmiałej inicjatywie światłego i rzutkiego dyrektora Wyższej Państwowej Szkoły Języków Wschodnich, Pawła Boyera — zostały zorganizowane w tej słynnej uczelni na 2 rue de Lille — wykłady systematyczne literatury i języków — czeskiego, polskiego i serbskiego... Na tych prowizorycznych jeszcze katedrach znaleźli się jako „chargés de cours“ Benesz (późniejszy prezydent republiki Czesko-Słowackiej) prof. Ibroyac i piszący te słowa... Przedtem istniała w tej uczelni ze słowiańskich jedynie katedra języka rosyjskiego obsadzona właśnie przez równie znakomitego znawcę przedmiotu jak i pedagoga prof. Pawła Boyera.

To prowizorium jeśli chodzi o język i literaturę polską — trwało lat cztery z okładem. Początki były trudne. Owoce dojrzewały powoli... Ale dojrzewały<sup>3)</sup>.

Stanisław Michalski — wielka to zasługa „szefa“ — odrazu przeniknął i zaakceptował ten swoisty „empiryzm“ całego przedsięwzięcia i nie bacząc na małą początkowo wydajność tej „orki w głąb“ — poparł ten program całym swoim wielkim

autorytetem u władz centralnych najwyższych, w Warszawie.

Użyłem terminu „empiryzm“ ... Istotnie, cały „styl“ przedsięwzięcia nosił charakter empiryczny. Zaczynaliśmy od szczegółu, od próby lokalnej, a gdy ta się przyjęła i zaczęła przynosić owoce — zaszczepialiśmy „plonkę“ na nowym organizmie uniwersyteckim. Unikaliśmy natomiast starannie wszelkiej „geometrii“ — wszelkiego z góry wykreślonego „systemu“. Ten empiryzm czy pozornie nieskładna improwizacja — budowa od „nieefektywnych“ podstaw — trafiało specjalnie do swoistego „pozytywizmu“ mocno zabarwionego idealizmem, redaktora „Poradnika dla Samouków i Nauki Polskiej.

Dzięki temu zrozumieniu i gorącemu, energicznemu poparciu Stanisława Michalskiego i jego współpracowników i przyjaciół warszawskich — z pozornie nieskoordynowanych poczynań — wyrosła i rozrosła się we Francji — a za przykładem Francji również w innych państwach — cała sieć placówek uniwersyteckich nauczania języka polskiego, aby przez język zadzierzgnąć trwałe i głębsze więzy przyjazne obcych z kulturą polską.

Powstała tak elastyczna, ale wytrzymała sieć lektoratów polskich, których liczba we Francji niewiele była niższa od liczby ogółem Uniwersytetów. Placówki lektoratów powierzone młodym, nieraz wybitnym pracownikom naukowym — rozwijały się z niejednakową prężnością, ale na ogół więcej niż pomyślnie. Dzia-

<sup>3)</sup> Już w roku 1916 zostały zorganizowane przez piszącego te słowa pierwsze stałe cykle wykładów „o rzeczach polskich“ (historia, literatura, sztuka) w Szkole Wyższych Studiów Społecznych, której kierownikiem naukowym był dziekan wydziału humanistycznego (Lettres) Sorbony prof. Alfred Croizet a organizatorką właściwą i duszą szkoły niestrudzona, ofiarna pani Dick-May. Pierwszemu cyklowi wykładów przewodniczył znakomity historyk, ówczesny dyrektor Ecole Normale Supérieur prof. Ernest Lavisse...

Ówczesna ambasada rosyjska zabiegała usilnie, aby tym wykładom o Polsce przeszkodzić, ale zdecydowana, niezależna postawa pani Dick-May zwyciężyła. Szkoła Wyższych Studiów Społecznych (16 rue de la Sorbonne) będzie odtąd stale organizowała co roku wykłady poświęcone Polsce.

łalność tych lektoratów oparta na nauczaniu stosunkowo szczupłej liczby studentów języka polskiego w teorii i praktyce — promieniowała zawsze w kierunku zapoznawania szerszych kręgów młodzieży z historią Polski i z twórczością literacką i artystyczną...

Katedra w Szkole Języków Wschodnich — obsadzona po kilkuletnim prowizorium — przez specjalistę uczonego Francuza oraz tak zwane „wolne“, acz stałe wykłady literatury polskiej w Sorbonie, wreszcie luźne, ale dość częste wykłady i odczyty gościnne na Uniwersytetach Prowincjonalnych — uzupełniały i uzupełniały skutecznie nauczanie języka wymagającego z natury rzeczy surowszej dyscypliny pedagogicznej.

Po wykładach tych gromadzących nieraz licznych słuchaczy — pozostały jedynie — powiedział ktoś nie bez złośliwej ironii — białe afisze uniwersyteckie. Ironia niesłuszna... Prócz afiszów — pozostały trwale nieraz i żywe wspomnienia wcale licznych słuchaczy zapelniających nieraz do połowy obszerne amfiteatry Micheleta lub Quineta, w Sorbonie. Jeszcze nie tak dawno — zwierzał mi się zmarły już „wierny słuchacz“ uczony Hindus F. de Bragança Cuhna — że ze wzruszeniem i zdumieniem odkrywał w twórczości romantyków polskich tyle powinowactw z myślą i natchnieniem Indii...

Co więcej, te „wolne wykłady“ traktowane przez samych wykładających jako pewnego rodzaju „Uniwersyteckie prowizorium“ — przygotowywały teren dla ufundowania katedr oficjalnych... Tak jak stało się w Szkole Języków Wschodnich, gdzie — nauczywszy się języka polskiego teoretycznie i praktycznie (jako stypendysta) w Polsce — zasiadł na katedrze wybitny badacz-językoznawca prof. Henryk Grappin... Podobnie rzecz się miała w Lille, gdzie wykładał język i literaturę polską na katedrze nie tylko polskiej — profesor, później dziekan wydziału „Lettres“ Maxime Herman-Ousselin, autor również obszernej jak cennej rozprawy poświęconej Stanisławowi Przybyszewskiemu, oraz autor Historii Literatury Polskiej.

Zygmunt L. Zaleski  
(Ciąg dalszy nastąpi)



# KOPCIUSZEK MUZYCZNY

**P**RZEMIŁA operetka Wiktora Buddyńskiego i Ludo Philippa „Mi — jak Miłość“ grana z powodzeniem przez szereg wieczorów w Londynie, przypomniła nam żywo istnienie i tego rodzaju sztuki. Wywołała nawet ożywioną dyskusję na temat środków, koniecznych do jej zmontowania i zadowolenia smaku wybredniejszej publiczności.

Jakkolwiek spotyka się często z zarzutem „wulgarności“, to jednak operetka może poszczycić się chwalebnyimi przodkami. Wywodzi się z opery, której narodziny święcono na początku XVII wieku. Wówczas to bowiem wystąpił J. Peri ze swoim dramatycznym utworem „Euridice“, śpiewanym przy akompaniamencie muzycznym. Wzoruje się również na innym sławnym protoplaście, na „opéra comique“. A ta zdradza powinowactwo z angielskimi „ballad opera“ i niemieckimi „Singspiele“. Tak wyglądają legendarni pradziadowie źle prowadzącej się wnuczki. Genetycznie była dalszym ciągiem „commedia dell'arte“ i „opera buffa“ ze strony włoskiej, a wodewilu ze strony francuskiej. Jej autentyczny początek datuje się od roku 1775, kiedy pojawiły się sztuki, w których śpiewane partie i recytacje zastąpiły jednolitą formę. I w tej dziedzinie doszedł do głosu geniusz J. Rousseau'a słynną kompozycją „Le devin du village“, graną z powodzeniem we Francji i za granicą. Sparodiował ją wielki Mozart w jednoaktowym utworze „Bastien i Bastienne“, pokutującym jeszcze dzisiaj w repertuarze telewizji i amatorskich imprez. Opéra comique, tak bliska operetce, cieszyła się mirom aż do pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Nawet posągowy Gluck wzbogacał ją swymi kompozycjami. Ale pompatyczna i dostojna „Grand opera“ wyparła ją skutecznie, chociaż tylko na pewien czas. Granica między opéra comique a operetką nie jest zbyt wyraźna. Operetkę możemy określić jako rodzaj twórczości dramatyczno-muzycznej, przeznaczony na scenę, o charakterze recytacyjno-wokalno-orkiestrowym. Układ jest prosty, treść rozrywkowa, forma lekka, muzyka pikantno-frywolna, nastrój sentymentalny. Zamiast arii darzy nas chansoną, kupletem, strofkową piosenką, często ujętą w rytmy modnych tańców. Fabuła rozbraja swym prymitywizmem, lubuje się w wątku komediowo-farsowym, nawet bezsensownym, urozmaiconym satyrą i liryzmem. Ewolucje taneczne

należą do żelaznego repertuaru środków, a udział baletu jest obowiązkowy.

Pierwszym zwiastunem nowego rodzaju muzycznego był „Le postillon de Lonjumeau“ (1836) kompozytora Adolphe Adam'a, dzisiaj zapomnianego, za moich młodych lat ulubieńca ulicznych katarzyniarzy. Przyćmił go gruntownie Jacque Offenbach, niezrównany me-teor muzyczny, który zajaśniał najwyższym blaskiem w swej przybranej francuskiej ojczyźnie w r. 1855 i świecił tak długo, aż jej ustrój spoczął w grobie przez niego kopanym. Historia bierze niekiedy przykład z operetkowego libretta. Ubogi syn skromnego, żydowskiego kantora w Kolonii wznosił teatry, jeździł po Paryżu w kosztownej karocy i swymi genialnymi utworami („Orfeusz w piekle“, „Piękna Helena“, „La vie parisienne“ etc.) rozsadzał skutecznie fundamenty drugiego cesarstwa. Podobnie jak, na naszych już oczach, inny żydowsko-niemiecki przybłęda, zabarwiwszy włosy nieczym tenor operetkowy, zachwiał fotelem najpotężniejszego prezydenta republiki.

Offenbach był mistrzem w wyszydzeniu autorytetu. Zaczął od satyrycznej parodii tematyki i form poważnego dramatu czy opery i dobrał się skutecznie do wybryków ówczesnego życia społecznego i kulturalnego. Jego niespokojny intelekt podążał za zdumiewającą twórczością w takt modnego galopu i kankanu.

Drugie cesarstwo prosiło się swym powstaniem, istnieniem i niesławnym końcem o eulogię z rąk operetki. Stąd jej niezwykły, wręcz chorobliwy rozkwit. Nazywano ją wówczas rozmaicie w różnych krajach, nawet nieco chaotycznie: „operetta“, „romantic opera“, „comedy with music“, „comedy operetta“, „opéra comique“, opéra bouffe“ itp. W każdym, lub w większości wypadków, chodziło tu o utwór humorystyczny, zaprawiony z lekka sentymentem, w którym sceny mówione przepływały śpiewnymi i instrumentalnymi fragmentami.

Akcja musiała porywać swą żywością, śmiałością — pozostawić dużo miejsca dla baletu, aby mógł popisać się popularnymi i ludowymi tańcami. Fabuła? Ach, pal ją szesć! Kto troszczy się o logikę lub chociażby prawdopodobieństwo? Czyż życie nie dostarcza autentycznego libretta operetkowego? Czy wspomniany już nowoczesny „Bettelstudent“ Cohn-Bendit nie wszczął, omal że skutecznej, rewolucji w obcym, po-

teżnym kraju? Czyż premier rządu emigracyjnego, poczuwszy pewnego dnia głód fizyczny i duchowy, nie zamienił swojej teki na redakcyjną, w tym ustroju, który tak zaciekle zwalcza? Nie, nie bądźmy za surowi dla operetki! Nie wy-magajmy od niej za dużo. Zwłaszcza, że jej życie nie było usłane różami. Wypominano jej wady, nie przyznając zalet. Traktowano ją po macoszemu, spychano na szary koniec, szarą prowincję państwa tonów, patrzono na nią z góry, kręcono nosem faryzeuszowsko na jej frywolność, podkaszanie, zapisanie duszy na służbę sowizdrzalstwa, karykatury, błazeństwa i bufonad. Zarzucano jej — rzecz paradoksalna — że posługuje się do przesady operetkowymi trikami i roztacza natrętnie atmosferę ... operetkowości. Tak te pojęcia weszły w użycie, że pomieszano przyczynę ze skutkiem.

Co poważniejszy znawca lub szanujący się ojciec rodziny patrzył na nią tylko ukradkiem. Musiała przez długie lata zadowalać się jedynie okolicznościowymi względami krytyki, przeważnie drugorzędnej, skromnymi wzmiankami w poważnej prasie, częstym natomiast ubolewaniami nad upadkiem smaku publiczności, patronującej tak wy-trwale produktom tej pokątnej muzy.

Gdy wiedeńska Opera państwowa od-ważyła się wystawić „Johnny spielt auf“ Ernsta Kreneka, — coś w rodzaju lekkiej opery — operetki jazzowej, czołowy krytyk świata, dr Julius Korngold, posypał głowę popiołem i przywdział żalobę. Krenek doczekał się nie tylko wspaniałego powodzenia — trzydzieści teatrów grało jego arcydzieło równocześnie — nie tylko wielkiej fortuny, ale wszedł do panteonu muzycznego. Przez długie lata międzynarodowy Offenbach sprawował wyłączny rząd dusz miłośników lekkiej muzyki. Nakładał ogromne haracze na swoich dyrektorskich lenników w Wiedniu i innych stolicach. Doprowadził wreszcie do buntu i odkrycia miejscowych, narodowych talentów. Pojawił się we Wiedniu wspaniały Johann Strauss młodszy i swoim „Nietoperzem“ rzucił wyzwanie konkurentom całego świata. Jak z rękawa poczają sypać bengalskimi tonami takich arcydzieł jak „Baron cygański“, „Karnawał w Rzymie“, „Noc w Wenecji“ i wielu, wielu innych. Wtórowali mu godnie inni pionierzy: Franz Suppé („Piękna Galatea“, „Boccacio“), Karl Millöcker („Der Bettelstudent“), Karl Zeller („Ptasznik“) i inni.

(Ciąg dalszy na str. 24-ej)

Te pierwsze talenty czerpały hojnie u singspielu, wprowadzały podmiejskie typy i emanowały sentymentalność. Osią, około której kręciła się akcja był zwycięski walc wiedeński.

Po różnych szaleństwach i oszałamiających sukcesach obie gałęzie, francuska i wiedeńska, ustatkowały się niejako i przybrały pozę solidniejszej od nich opery komicznej. Właściwy ton i przyszłą linię rozwoju ustalił Franz Lehar, którego „Wesoła Wdówka“ (1905 r.) jeszcze dzisiaj grają i śpiewają wszędzie na świecie. Mizzi Günther jako Hanna (amerykańska milionierka) i Louis Treuman jako Damińo (następca tronu montenegrejskiego) przeszli do historii teatru i znaleźli się w ośrodku rzeczywistej akcji dyplomatycznej obrażonego dworu cetyńskiego.

Dalsze etapy bujnej twórczości cesarsko-królewskiego kapelmistrza to „Hrabia Luksemburg“, „Miłość cygańska“, „Die Blaue Mazur“, „Paganini“, „Carewicz“ — nieprzerwane pasmo tryumfalnego pochodu, kulminującego w wystawieniu i wspaniałym powodzeniu „Das Land des Lächens“ na deskach ekskluzywnej „Opery Wiedeńskiej“. Walnie przyczynił się do tego niepowtarzalny Richard Tauber.

Od roku 1907 zwracają na siebie uwagę kompozyści Leo Fall („Der fidele Bauer“, „Die Dollarprinzessin“, „Rozwódka“, „Der liebe Augustin“), Oscar Strauss („Waleczny żołnierz“ — libretto zapożyczone od G. B. Shawa), Edmund Eysler, najlepiej znany z „Domku trzech dziewcząt“, osnutego na motywach muzyki Schuberta, Emmerich Kalman („Manewry jesienne“), Ralph Benatzky („Diebe im Schnee“, „Im weissen Rössl“), Robert Stolz i inni.

Modna operetka zrywa z monopolem walca wiedeńskiego i wprowadza chętnie obce pierwiastki jak słowiańskie, cygańskie, węgierskie lub murzyńskie. Obok czardasza pojawia się nasz mazur (O. Nedbal, N. Dostal, F. Lehar).

Anglia, wzorując się na Francji, zwróciła się w operetce w stronę satyry społecznej. Wyzbyła się jednak gruntownie francuskiego cynizmu. Szczególnie dobrana para, Gilbert i Sullivan, zalewała rynek i urabiała smak brytyjski przez dziesiątki lat swymi nieco monotonnymi utworami. Do końca wysłuchałem jednego tylko okazu, „Mikado“. Z starszych oper na wzmiankę zasługuje szydercza i melodyjna „The beggar's opera“ (John Gay) przedmiot licznych przeróbek i stałego zainteresowania modnych reżyserów (Brecht, Axer).

Operetka berlińska, młodsza wiekiem od poprzednich, obrała odmienne drogi. Wzorowała się na rewii i kabarecie,

operowała numerami luźno powiązanymi, szlagierami, krótkimi a dosadnymi efektami. (Walter Kollo, Ralph Benatzky, Paul Linke, Jean Gilbert i Paul Abraham, dobrze zapisany swoją „Wiktorią i jej huzar“).

Polska twórczość muzyczna nie wzbogaciła jakoś operetki, jakkolwiek poziom Operetki Warszawskiej pod dyktando Ludwika Śliwińskiego mógł zaspokoić najwybredniejszy gust. Oszczędzono na orkiestrze i balecie, który wypożyczano z Opery, ale nie przebiegano w środkach i kosztach, aby zwabić najlepsze siły solowe. Lucyna Messal mogła zmierzyć się zwycięsko z każdą najgłośniejszą diwą operetkową. „Melnau“ Rufina Morozowicza bił wszystkie prawzory paryskie. Dodajmy do nich takie gwiazdy i indywidualności jak Ówiklińska, Kawecka, Niewiarowska, Redo, Szczawiński, Gruszczyński, to będziemy mieli pojęcie o skali talentu i uroku zespołu operetkowego.

Niedostatek na niwie polskiej operetki kompensują pokrewne jej wodewile, „Krakowiaci i Górale“ Bogusławskiego, i przeuroca „Królowa Przedmieścia“ Konstantego Krumłowskiego (1898) z muzyką W. Powiadowskiego. Pod czarodziejską różdżką Leona Schillera we Lwowie (1932) a Leopolda Kielanowskiego w Londynie (1956) zmartwychwstała i zajaśniała blaskiem swej wiekowej młodości i wdzięku.

Amerykańskie operetki czy komedie muzyczne są nam wszystkim tak dobrze znane, że mogę je pominąć. Wspomnę jedynie, że „My fair lady“ pobiła wszystkie rekordy. Tekst G. B. Shawa i liryki muzyczne Fredericka Loewego stworzyły arcydzieło, przykuwające oko a pieszczące ucho.

Jakkolwiek Polska zawiodła na polu twórczości operetkowej, jej piękność i egzotyczność, połączona z romantycznością i rycerskością mieszkanców, nie uszły uwagi bystrzych librecistów. Akcję „Der Bettelstudent“ przenosi Millöcker do Krakowa, gdzie dwaj polscy studenci, Symon Symanowicz (popisowa rola we Wiedniu sławnego Aleksandra Girardiego) i Jan Janicki zwycięsko wychodzą z walk z okupantem, reprezentowanym przez pułkownika Ollendorfa i zdobywają dla Symona hrabiankę Laurę Nowalską.

Szlachecki lub arystokratyczny tytuł jest obowiązkowym atrybutem operetkowych bohaterów. Nosi go więc również hr. Julian Oliński („Die blaue Mazur“ Lehara). „Carewicz“ tego samego kompozytora opiera się na tekście Zapolskiej. Rola tytułową śpiewał Richard Tauber, Sonii — Rita Georg. „Ostatni Walc“ Oskara Straussa wprowadza generała Krasińskiego w otoczenie różnych Koniewskich i innej

szlachty, sunących sarmacko po bruku Warszawy i najbliższej okolicy.

Surowy przedział między operą a operetką istnieje jedynie w katechizmie fanatycznych purystów muzycznych. Opera wymaga poddania się jej misji, nabożnego kultu, pogodzenia się z uroczystym protokołem, szacunku dla koturnowości. Operetka posługuje się liturgią dla maluczkich, unika wnioskowanych słów i gestów, nie gardzi głośnym, czasem rubasznym, żartem. Jedna i druga jednak czerpie z konfliktów i bolączek duszy. Opera odsłania je chętnie i apeluje do naszego współczucia, operetką wstydi się swych wzruszeń, kamufluje je błyskotliwością, werwą, humorem a nawet błazeństwem. Ale jej humor jest nieco podejrzany, czasem nawet wisielczy, a przez kokieteryjny, wyzywający strój przeziara coś jakby... prawdziwą poezją a nawet tragedią. Szanujemy tę ucieczkę przed ponurymi problemami i godzimy się na zastąpienie utartej drogi codziennego dramatu manowcami ułudy i efemerycznego szczyścia.

Prawda, że operetka nie przebiera w środkach. Gdy znajdzie się w pogoni za efektem, gdy pragnie uderzyć głośnie w struny duszy, nie cofa się przed... świętokradztwem. Nie zawaha się zaprząć w swój rydwan uznanych wielkości.

Libretto operetki „Der liebe Augustin“ (L. Fall) korzysta z fragmentu wiersza Heinego o starym królu:

*Był król. Niósł z trudem brzemień lat  
Wiek chylił czoło mu siwizną  
osrebrzone.*

*Biedny staruszek król  
Wziął sobie młodą żonę*

*Był jasnowłosy, śliczny paż,  
Nigdy mu czarna myśl nie  
zaprzętała głowy*

*Z przedziwnym wdziękiem niósł  
Jedwabny tren królowej...*

Śluchamy i podziwiamy. Jak romantycznie, jak pięknie, jak... operetkowo to brzmi. Wybiegamy pamięcią naprzód i ubolewamy nad żalonym końcem tej tragicznej pary. Tylko, że rafinowany librecista nie podąża za nami. Opuszcza tę żalną zwrotkę. Nie byłaby w dobrym guście, w operetce, śmierć? Nie dla operetkowego amanta, nie dla młodej królowej. To dobre dla nieznośnego tyrańca, aby go pozbyć się i odziedziczyć po nim tytuły i majątek.

Związki Heinego z operetką są jednak intymniejsze i bardziej skomplikowane aniżeli pozwala przypuszczać sporadyczna cytata w librecie. Zwrócił na tę „Wahlverwandschaft“ uwagę już dawno Czesław Jankowski.

Heinego ponosił nieraz przesadny zapal, zbyt nie uczucie lub wzruszenie. Był



tego świadom i łagodził nadmiar ucieczką w karykaturę, bufonadę lub parodię. Ten trick czy manierę przejęła od niego operetka. Pod przesadną bufonadą księżniczki de Gerolstein (Offenbach) kryje się szczerza tkliwość dla zwykłego piechura, pod błazeństwem generała Konczukowa prawdziwy efekt dla Fatinitzy. Heine uczył swych pojętniejszych naśladowców jak można pauzować lub niedomówieniem wyrazić zawiedzioną miłość:

*Hej, na koń, mój giermku!*

*Bez zwłoki, co tchu,*

*Na przelaj, w bród — droga ci znana —*

*Jak koń pomknąć zdola, przez pola,*  
*przez bór*

*Do zamku pędź króla Dunkana*

*Tam skryj się i gładko wypytaj mi waś*  
*(W oddane mi ufam twe serce)*

*Wypytaj się: która z królewszek*  
*tam cór*

*Na ślubne ma stanąć kobierce*

*Gdy dla czarnobrewy splatają tam mirt*  
*Niech lot cię tu niesie — sokoli!*

*Zaś gdy jasnówłosej królowny tam ślub*  
*Powracaj powoli... powoli...*

*I kędyś po drodze waś powróz mi kup*  
*I choćbyś tu wrócił w noc ciemną,*

*Zbudź, stań, nie mi nie mów — ach!*  
*nie mów nic*

*A tylko sznur połóż przede mną. ...*  
*(Die Botschaft)*

Wskazał również na skuteczność podkreślenia dramatycznej sytuacji dyskretną jedynie pointę. A jak umiejętnie i oszczędnie posługuje się satyrą i złośliwością! W swym, dla nas nieco obraźliwym, wierszu „Zwei Ritter“ opowiada o paryskich emigrantach, Krapulińskim i Waschlapskim, ich nędzy i tragicomicznym sposobie bytowania. Echo tej fantazji znajdziemy w „Der Bettelstudent“ Millöckera, gdzie zubożała rodzina hrabiowska Nowalskich posługuje się jedną wspólną chusteczką do nosa.

W niejednym karykaturalnym lub już nieco zwyrodniałym bohaterze operetkowym można doszukać się barokowo-ironicznych rysów pochodzenia hrabiowskiego. Co za bogactwo koncepcji tkwi w sytuacji jego słynnej pary Don Raniro—Donna Clara z wiersza „Donna Clara“! Zdając najliryczniej sprawę z paradoksalnego stosunku antysemitkiej alkałdówny z nieznanym jej bliżej rycerzem, każe temu po scenie miłosnej w altanie, a więc post factum wyznać, że jest synem sławnego rabina. Albo jak subtelnie przedstawia wisielczo-operetkowy humor świeżo nawróconego muzulmanina Almansora, przysięgającego przy każdej sposobności na swe świeże chrześcijaństwo.

Tannhäuser jest postacią dobrze znaną dramaturgom i komponistom. Tego

jednak z heinowskiej legendy „Der Tannhäuser“ można śmiało wpleść w libretto beztrudkiej operetki. Po powrocie z podróży do Rzymu zdaje sprawozdanie swej przyjaciółce Frau Venus i, tak mimochodem, oddaje jej ukłony od papieża.

W swym czarodziejskim kotle swoistej poezji warzy i miesza Heine przedziwne ingrediencje: dowcip, gryząca satyrę, persyflaż, impertynenckie drwiny, cynizm, sentyment i... subtelną tkliwość. I z tego stopu lepi swe postacie, z których najznakomitszą jest Atta Troll, pirenejski niedźwiedź, zbiegły z niewoli, filozof i mizantrop, konkurujący indywidualnością i rangą z Don Kiszotem. I wiele innych.

To są właśnie początki różnych bohaterów operetkowych. Dźwigają oni prócz heinowskich jeszcze geny różnych popolitszych librecistów. Stąd ich mieszańczy charakter, rubasznosc obok subtelności, farsowość obok liryczności, słowem... degeneracja.

Na szczęście, genetyka tak twierdzi, niekiedy cechy jednego rodzica przeważają. Te pochodzące od heinowskich „Romanzen“ lub „Sonette“ sprawiają, że niejedna operetka — przypomnijmy sobie „Boccacio“ lub „Czar walca“ — wzrusza do łez, że prawdziwy sentyment przedziera się zwycięsko przez brawurowanie, szarżowanie, błaznowanie, i, porzucając świat różnych Maximów, Dulskich, arystokratów i plutokratów, zatrzyma się przy takiej fiołkowej Krzysii Leśniczance lub konwalijskiej Franzi Steingruber. Słuchamy ich śpiewu czy skrzypiec i wzdychamy z Heinem:

*In den Küssen, welche Lüge!*

*Welche Wonne in dem Schein!*

Jakież kłamstwo w pocałunkach! Jaka rozkosz kryje się za pozorem! A właśnie o to chodzi. Zadaniem operetki jest łudzić lub wręcz oszukiwać. Powinna zrećnie zacierać granicę między rzeczywistością a fantazją, możliwością a absurdem. Nie wolno jej wpaść w prawdziwy dramat, nie wolno rozczulać się do przesady. Niedomówienie, westchnienie, stłumione tony, przyćmione światło i, w właściwym momencie, porywające kuplety, zabawa, szampański humor, kankan lub walc, aby stłumić wszelki bunt i zapomnieć o głębszym znaczeniu życia i jego problemach.

Operetka zawdzięcza wiele tragicznemu lirykowi Heinemu. Próbuje więc pozostać wierna jego zaleceniu:

*Hände küssen, Hütte rücken,*

*Knie beugen, Häupter bücken,*

*Kind, das ist nur Gaukelei,*

*Denn das Herz denkt nich dabei.*

Fryderyk Goldschlag

## Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,  
LONDON, S.W. 7.

**Anders Władysław**

BEZ OSTATNIEGO

ROZDZIAŁU

35s

**Sosnkowski Kazimierz**

MATERIAŁY

HISTORYCZNE

63s

**Rudnicki Jan**

SŁOWA A CZYNY

65s

**Narbut-Łuczyński J. A.**

U KRESU

WĘDRÓWKI

52/6s.

**Korboński Stefan**

W IMIENIU

RZECZYPOSPOLITEJ

63s

**Nowakowski Zygmunt**

WIECZORY

POD DĘBEM

42s

**Tomkiewicz Mina**

BOMBY I MYSZY

35s

**Grabowski Zbigniew**

OJCZYŻNA EUROPA

50s

**Kuniczak W. S.**

THE THOUSAND

HOURLY DAY

42s

**Korboński Stefan**

WARSAW IN EXILE

42s

Przesyłka każdej książki 4s.

# QUARTIER LATIN

**P**RESZŁY burze dziejowe, wojny, przewroty polityczne i rewolucje — a zewnętrzny wygląd paryskiej dzielnicy uniwersyteckiej *Quartier Latin* niewiele się zmienił. Zmienił się natomiast ludzie. Takie wrażenie odniosłem niedawno, gdy po trzydziestu kilku latach znowu wynająłem pokój koło Odeonu, w tym samym hotelu, w którym mieszkałem w roku 1932—33.

Architektura domów, Ogród Luksemburski, pomniki i stacje metra — są takie same jak dawniej. Ale nigdy nie widziałem w Paryżu tylu młodocianych włóczęgów, przeważnie cudzoziemców i nierzadko żebrzących nie tylko o pieniądze, ale i o papierosy. Dawniej prawdziwy paryski *clochard* trzymał się na ogół Sekwany. Tam popijał lub leżał na murze. Wydaje się, że epoka tych klasycznych włóczęgów w starszym wieku bezpowrotnie minęła. Ich miejsce zajmują obecnie ludzie młodzi obojga płci, kudłacze lub bose panienki — również jak panowie — obszarpane i brudne. Nie znaczący to, by nadawali ton całej dzielnicy łacińskiej, ale od razu rzucają się w oczy przybyszom, którzy pamiętają *Quartier Latin* z okresu międzywojennego.

Hotel, w którym zamieszkałem nazywa się dość efektownie: „Grand Hotel des Balcons“. Ma pięć pięter, ale tak jak dawniej — ani śladu windy. Hotele paryskie, zwłaszcza w dzielnicy łacińskiej, modernizują się powoli. Nie stoją jednak pustkami. Jest wciąż dużo cudzoziemców. Zwraca uwagę wielka ilość Azjatów, których dawniej było znacznie mniej. Pojawiły się restauracje wietnamskie i chińskie. Zniknęła polska restauracja „Pod Strzechą“ i zamknięto popularną, utrzymaną w stylu secesji, restaurację „Chartier“. Otworzono natomiast na przeciw muzeum Cluny jadalnię samoobsługową, która pod każdym względem odpowiada współczesnym wymaganiom. Jada się tam dobrze i tanio. Ma też olbrzymie powodzenie, przeważnie wśród młodzieży studenckiej, której mimo wakacji jest wciąż w Paryżu bardzo dużo. Chodziłem do tej restauracji codziennie przez tydzień. Nie dostrzegłem ani jednego brodacza, czy kudłacza. Prawdopodobnie nie dogadza im rzeczowa atmosfera tego zakładu masowego żywienia. Trzeba tam bowiem zjeść, zapłacić i wyjść, a kudłacze wolą biesiadować i rozprawiać. Dlatego też widzi się ich w kawiarniach, lub po prostu na ulicy. Siadają na chodnikach i piszą w kilku językach, że są głodni.

Nie zmieniła się natomiast tradycyjna intelektualna atmosfera *Quartier Latin*. Jest wciąż mnóstwo bukinistów i księgarni. Podobnie jak kawiarnie mają one stoły ustawione na chodniku, a w książkach można dowolnie przebierać. Ruch w tych księgarniach jest olbrzymi. Mówiono mi nawet, że daje się odczuwać brak fachowego personelu dla obsługi interesantów i często trzeba się posługiwać sprzedawcami amatorami. A oto dialog, który wywiązał się między klientem a sprzedającą książki damą:

— Prosiłbym o Biblię.

— A jakiego autora?

O dialogu tym poinformowano mnie w Księgarni Polskiej, dawniej Gebethnera przy bulwarze Saint Germain. Nie potrzebuję chyba zapewniać, że dialog ten odbył się nie w tej księgarni, ale gdzie indziej.

Wędrując po różnych zakątkach dzielnicy łacińskiej interesowałem się śladami majowej rewolucji. Śladów tych nie ma już wiele. Pokazano mi pnie ośmiu drzew ściętych na bulwarze Saint Michel, a na bulwarze Saint Germain widziałem drzewa, których gałęzie były odrąbane. Nie umiano mi jednak wyjaśnić, czy zrobili to prawdziwi studenci Sorbony, walczący o zasadniczą reformę francuskiego zaśniedziałego systemu nauczania, czy też członkowie specjalnych oddziałów sabotażowych, które miały mało wspólnego z problemami nauki. Pojawiały się one nieoczekiwanie w czasie demonstracji i wykonywały sprawnie swe bojowe zadania, niszcząc bruki, wznosząc barykady i przewracając samochody. Ich plany na najbliższą przyszłość znalazłem w dzienniku „France Soir“.

Zdaniem tego pisma, istnieje we Francji prawdziwa międzynarodówka rewolucyjna, której tajnymi ogniwami terenowymi są „komitety akcji rewolucyjnej“ działające w gminach wiejskich, w dzielnicach większych miast oraz w uczelniach średniego i wyższego typu. W czasie zaburzeń majowych i czerweowych naliczono 460 takich komitetów w samym tylko rejonie Paryża. Międzynaródka obejmuje różne ugrupowania, które nie chcą dopuścić do żadnych reform. Są to trockiści, maoiści, castryści, i entuzjaści profesora Marcuse, którego książki są na wystawach wielu paryskich księgarni. Na jesień planują oni okupację uniwersytetów, by uniemożliwić egzaminy i sparyżować życie akademickie. Z rewe-

lucyjnego artykułu „France Soir“ wynikało jednak, że władze bacznie śledzą poczynania tych rewolucyjnych „groupuscules“ i że tym razem nie dadzą się zaskoczyć.

Wydaje się, że z wyjątkiem ściętych drzew szkody materialne wyrządzone przez rewolucyjnych komandosów już naprawiono. Na murach pozostało natomiast wiele napisów i hasel z okresu majowej rewolucji. Dostrzec je można na pomnikach i na rogach ulic. Wiele jest niecenzuralnych. Ich lektura sprawia wrażenie, że autorami musieli być ludzie o różnych światopoglądach. Odnotowałem kilka dających się powtórzyć:

*Wola generalna nie jest wolą Generala.*

*Wymiatajmy sami, nie ma służby.*

*Konserwatyzm jest synonimem zgniłizny i brzydoty.*

*Nie ma dialogu z palkarzami.*

*Być wolnym w roku 68-ym — to partycypować.*

*Zabijajcie biurokratów, dość czynów, czas na słowa.*

*Precz z dziennikiem l'Humanité, to ścierka kontrrewolucyjna.*

*Wszyscy reakcyjniści — to papierowe tygrysy*

i wreszcie:

*Seks to rzecz dobra, ale nie za często — Mao Tse Tung.*

Te napisy częściowo już wytarte lub zamazane — to nie jedyne wspomnienie o rewolucji. W *Quartier Latin* wciąż jeszcze panuje nastrój pewnego napięcia. Nie tylko w kawiarniach, ale również na ulicy można usłyszeć rozmowy na temat kwestii czy majowa rewolucja powtórzy się w październiku. Kupując gazety na Saint Germain, usłyszałem nagle jak pewien przechodzień zawołał wesoło do drugiego: „Patrz goliści przygotowują się do nowego roku szkolnego“. Mówiąc to wskazał ręką na zespół techników i robotników drogowych pokrywających jezdnię asfaltem.

Na drugi dzień kierowca taksówki, którą jechałem na Pola Elizejskie zwrócił moją uwagę na podobną ekipę. „To na wypadek, gdyby rozruchy miały się powtórzyć i gdyby pewnym ludziom znowu zachciało się wyrwać kostki z bruku“ — powiedział. I dodał: „Zyska na tym zresztą cała dzielnica. Najlepiej jedzie się po asfalcie“. Przytaknąłem.



# BIADA SŁABYM

„The Inequality of States: A Study of the Small Power International Relations“  
by David Vital, Clarendon Press, Oxford.

W TYM ROKU tragedia Czechosłowacji i Biafry, w ubiegłym roku — Izrael, od lat — Wietnam, a jeszcze przedtem Algier, Korea, Kuba, już nie wspominając „zamierzchłych“ czasów, kiedy to wielkie mocarstwa zawarły między sobą handlową transakcję po 2-giej wojnie światowej, w której „towarem“ były słabe i bezbronne państwa i ich obywatele. *Vae victis* i biada słabym, którzy w dzisiejszym układzie stosunków muszą, chcąc czy nie chcąc, krążyć w orbicie mocarstw, uzależnione od nich militarnie, ekonomicznie i politycznie. W łamigłówce światowego układu sił znajdziemy kilka gigantów manipulujących nieomal do wniechęta małymi klockami państw, na Wschodzie i na Zachodzie, wbrew opinii publicznej, wbrew wszelkim zasadom moralności czy etyki, wbrew zdrowemu rozsądkowi szarego człowieka.

Przy czerwonym aparacie Kosygin telefonuje do Johnsona przy białym aparacie, jutro zajmują Czechosłowację, ale z tobą dalej ciuciu-muciu, trudno mi teraz wydawać więcej gotówki na atomy i rakiety, mam dosyć własnych kłopotów... A na to Johnson, owszem, niech i tak będzie, ale i ja mam swoje kłopoty, wybory, czarni, biedacy, nie puszczaj więc psów wojny ze smyczy, żebym nie miał większych wydatków na zbrojenia, trzymajmy się naszych „sfer wpływów“... Nieważne, co o tym myślą masy ludzi na świecie, nie myślmy o tym, co grozi ludziom w Czechosłowacji, niech na całym świecie wojna, byle nasza wieś spokojna, mówią panowie K., J. and Co., *divide et impera*, a słabi zmagają się, w bezsilnej rozpaczy.

Rosną więc szeregi uchodźców z tej i tamtej strony, a mocarstwa jedną ręką zaopatrują w coraz bardziej śmiercionośną broń, a drugą — tysiące dolarów, tony żywności i leków, oraz mnóstwo pleców, a nawet namioty i przyręce. Dla uchodźców, których sami zrobili uchodźcami. Dla głodnych, rannych i chorych, których sami doprowadzili do tego stanu. Dla zabitych od ich własnej broni, na grobach których ich krewni i przyjaciele nie mają prawa składać kwiatów. Dla zabitych od broni za miliardy dolarów i rubli, których wielkie mocarstwa, decydujące o życiu i śmierci małych, nie chciały zużyć na zasiewy, na szpitale i szkoły.

Zagubieni w kosmopolitycznym chaosie ludzie, obywatele małych i wielkich państw na równi, buntują się, ale cóż pomogą bunt, demonstracje i osobiste poświęcenia, kiedy w ostatecznym rachunku i tak decyduje siła, atomy, wodory, rakiety, sputniki, trujące gazy, którymi w nieograniczonych ilościach dysponują tylko wielkie mocarstwa. Zdrowy rozsądek mówi, że w coraz mniejszym i coraz bardziej dostępnym świecie ludzie powinni stać się coraz bardziej kosmopolityczni, wspólnymi siłami budować lepsze jutro dla wszystkich bez różnicy.

Ale zdrowy rozsądek nie ma miejsca na dzisiejszym świecie. Obecny układ stosunków zmusza ludzi — a szczególnie ludzi w słabych małych państwach, aby stawali się coraz bardziej szowinistyczni, aby rezygnowali z szerszych perspektyw na rzecz wzmagającego się nacjonalizmu, trybalizmu, coraz mniejszych grup, wyrzynających się wzajemnie, gnębiących jedna drugą, pod potężnym „parasolem“ i przy pomocy tego czy innego mocarstwa, rywalizującego z drugim mocarstwem.

Taki świat, psiakrew, mówi sobie mały człowiek, i bezradnie, i starannie zamyka radio, telewizję czy gazetę, żeby nie wiedzieć co się dzieje poza jego czterema ścianami; żeby swoim dzieciom nie pokazywać prawdziwych gwałtów, życiowych gwałtów, bo przecież dosyć ich mają na filmie czy w teatrze. Względnie otwiera mały człowiek radio, telewizję czy gazetę, żeby dowiedzieć się, czy jego akcje nie spadły, czy jego koń wygrał na wyścigach, albo ile punktów kto wyrobił w krykiecie.

Pewno dlatego, że sama byłam ofiarą wielkich mocarstw, zainteresowała mnie niewielka praca Dawida Vitala o nierówności państw. Bo obywatele małych państw, a do nich zaliczam się, nie przestają doświadczać na własnej skórze, jak bardzo źle jest słabym żyć na naszym świecie, a innego przecież na razie nie mamy. Poza tym, książka ta jest jednym z pierwszych i jeszcze bardzo nielicznych naukowych opracowań losów małych państw.

Praca Vitala, której aktualności w związku z ostatnimi i wcześniejszymi wydarzeniami nie trzeba podkreślać, przeprowadza tezę, że „przeżycie małych, politycznie izolowanych państw, jako niezależnych sił, jest nie pewne i stale zagrożone“. Sytuacja tych państw stale pogarsza się, tym niemniej Vital daje odrobinę nadziei tym

„liliputom“ świata uważając, że żadne z nich nie zrezygnuje z coraz większych wysiłków, aby utrzymać się przy życiu i musi nastąpić naprawdę coś nie do przewyżczenia, aby zdecydowały się albo aby zmuszono je do utraty nawet pozorowanej niepodległości. Wedle Vitala — książka pisana jest przed wypadkami w Czechosłowacji! — perspektywy takich nieprzewyżczonych przeskód dla większości małych państw są raczej odległe.

Vital twierdzi, że zdolność utrzymania neutralności wobec wielkich mocarstw stanowi jedyną realną próbę siły małego państwa, wobec czego praca jego nie zajmuje się państwami, których rządy czy reżymy opowiedziały się za takim czy innym mocarstwem (jak np. małe państwa zachodnio-europejskie czy państwa „satelickie“), państwami, które w ogóle nie prowadzą polityki, aby uniknąć problemów (El-Salvador), ani państwami-Kopciuszkami, jak Izrael, z którymi żaden wielki blok nie chce się związać. Ośrodkiem zainteresowania dla Vitala pozostają więc „specjalne wypadki“, jak Finlandia, Węgry, Gwatemala (w 1954 roku Ameryka obaliła tam antyzachodni reżym), i w mniejszym stopniu — Kambodża, Jugosławia czy Egipt. Przykłady te, w kilku wypadkach stanowiące już anachronizmy, chociaż książka ukazała się w r. 1967, nie roją wielkich nadziei dla małych państw, których polityczne wpływy są jeszcze bardziej nierówne, niż różnice w ich wielkości.

Bezsilność małych państw wynika w pierwszym rzędzie z charakteru nowoczesnego uzbrojenia, które wymaga, szczególnie w początkowej fazie, bez porównania większych inwestycji niż takie państwa mogą sobie pozwolić, oraz z potrzeb ekonomicznych i rozwojowych, które powodują, że małe państwa są narażone na stały ekonomiczny szantaż ze strony wielkich mocarstw. (Przykład: Wbrew swoim życiowym interesom Izrael musiał ustąpić w roku 1956 z Synaju pod naciskiem Ameryki, od której był uzależniony ekonomicznie, co doprowadziło do nowej wojny i dalszych konsekwencji). Stosunki handlowe między mocarstwami, a małymi państwami są inherentnie nierówne: wielkie mocarstwo zakupuje po ustalonych cenach — tymczasowa korzyść, która nie tyczy jego ogólnej sytuacji — podczas gdy małe państwo, przy każdej nieomal umowie handlowej, oddaje w

(Ciąg dalszy na str. 28)

gruncie rzeczy pod zastaw całą swoją polityczną przyszłość.

Inne problemy, które dla małego państwa są życiowe, mocarstwa uważają zwykle za marginesowe, w kontekście ważniejszych i ogólniejszych spraw, swoich własnych i ze swoich „sfer wpływów“.

W swojej pesymistycznej ocenie sytuacji małych państw Vital ma niewątpliwie pełną rację, prawda i fakty są po jego stronie, ale nie zawsze przecież ta prawda jest na niekorzyść małych państw. Bo jak sam twierdzi w innym miejscu, siła małego państwa często leży w jego absolutnej nieważności, co powoduje, że wielkie mocarstwa rzadko tylko mają tendencję, albo wolność działania, żeby zużyć swoje wpływy w związku z określonymi lokalnymi sprawami (np. Jugosławia, Rumunia, Izrael). Szczególniej w świecie, w którym nadrzędne mocarstwa rywalizują ze sobą i zazdrośnie śledzą każdy ruch przeciwnika.

W swojej pracy Vital pomija szereg taktyk, którymi mogą i posługują się małe państwa w swojej walce o utrzymanie niezależności. Do takich zaliczyłabym „cenę“ głosów w ONZ, albo „interwencje kluwarowe“ małych państw w wewnętrznej polityce mocarstw, która to działalność często była uwieńczona powodzeniem. Vital wzmiankuje jednak „subwersję“, jako odpowiednio ta-

nią broń, której użyć może jedno małe państwo w stosunku do drugiego.

Wiemy przecież, że jednym z zaskakujących elementów bieżącej polityki światowej, mimo olbrzymich różnic w układzie sił, było powodzenie „mini-państw“ w manipulowaniu olbrzymiami, czy to wygrywając ich jednego przeciwnika, czy uprzykrzając się, albo po prostu grożąc, że odpadną i „zwiążą się z komunistami“ (trochę tak, jak ten chłopczyk, który na złość mamie chce odmrozić sobie uszy). Oczywiście, większość tych taktyk jest zależna od stopnia rywalizacji między mocarstwami, ale przecież nie zdarzyło się jeszcze w historii, aby tego rodzaju rywalizacje nie istniały. Niewątpliwie, stanowią one ważną gwarancję wolności dla małych państw i Vital nie wyczerpał tego tematu należycie.

Autor sprzeciwia się gorąco rozwojowi broni atomowej przez małe państwa, uważając że techniczne problemy, nierówność zagrożenia i uboczne niebezpieczeństwa powodują, że nabycie przez nie broni atomowej stanowi alternatywę niekorzystną dla nich i utrudniającą stabilizację. Ale przecież, z całą nienawiścią i strachem wobec broni atomowej, nie można zbyć machnięciem ręki i górnolotnymi frazesami poważnych zastrzeżeń wielu małych państw, które twierdzą, że broń atomowa stanowiłaby „czynnik wyrównawczy“ między nimi a mocarstwami. Oraz — w wypadku małych państw, których istnienie jest poważnie zagrożone przez inne małe państwa — że groźba wzajemnego atomowego samobójstwa mogłaby działać jako czynnik odstrasający, mimo wszystkich ważnych argumentów na ogólnym planie.

Najlepszą częścią pracy Vitala jest podsumowanie źródeł słabości małych państw, przeprowadzone w sposób pełny, subtelny i autorytatywny. Vital posługuje się w rzetelny sposób dostępnymi źródłami i wydarzeniami, a nie jego jest winą, że konfiguracje polityczne w naszych czasach zmieniają się szybciej, niż książka wychodzi spod prasy, i że co było prawdziwe i słuszne wczoraj, dzisiaj może być anachronizmem.

Tym niemniej, mimo wszystkich niedociągnięć i czasem „drewnianego“ stylu, praca Vitala jest niezwykle ciekawa i warta przestudiowania, chociażby jako pierwszy krok w mało wyzyskaną dziedzinę losów małych państw, których jest z każdym dniem więcej i z którymi nawet wielkie mocarstwa muszą się coraz bardziej liczyć. Przecież nawet kot może zaszkodzić...

Mina Tomkiewicz

KRYSTYNA BRZOZOWSKA

## BOHATER

ZA NASZĄ I WASZĄ WOLNOŚĆ!

Kazimierz Pułaski w swym krótkim życiu stał się bohaterem dwóch narodów: polskiego i amerykańskiego. Walczył — daremnie — o wolność polskiego narodu, który po stuleciach świetności stracił niepodległość nie z własnej tylko winy, ale także na skutek swego tak bardzo nieszczęśliwego położenia geograficznego.

Służba Polsce zaczęła się dla Kazimierza w marcu 1768 roku, w dniu, kiedy w Barze po uroczystym nabożeństwie ogłoszona została pod łaską Michała Krasieńskiego konfederacja, czwartego zaś marca, w dzień św. Kazimierza, „patrona rycerstwa“, Józef Pułaski starosta Warecki, wróg Rosji i „nowinek“ królewskich, powołał na błoniach pod miastem związek wojskowy zwany „Zakonem“. Kazimierz miał wówczas dwadzieścia lat.

Od tej chwili — aż do maja 1772 r., a więc przeszło przez lat cztery, ten ledwie z wieku chłopięcego wyrosły żołnierz uprawiał w genialny sposób partyzantkę walcząc ze znacznie większymi siłami rosyjskimi i złożył broń dopiero w momencie kiedy dalsza walka stała się niemożliwa. W Częstochowie, będącej ostatnią ostoją osaczonych wojsk, wydał ostatni rozkaz do żołnierzy:

„Wziąłem oręż do ręki dla dobra publicznego, dla niegoż złożyć go muszę. Związek trzech państw potężnych odejmuje nam wszelkie środki obrony, a sprawa, do której wplątany jestem, utrudniałaby mi przeprowadzenie dla was kapitulacji łącząc was z moim nieszczęściem. Znam waszą gorliwość i waszą odwagę i pewny jestem, że gdy szczęśliwsze zdarzą się okoliczności dla służenia Ojczyźnie, będziecie takimi samymi jak byliście ze mną“.

Naród amerykański, o którego wolność walczył później Pułaski, był — w przeciwieństwie do polskiego — u progu swego istnienia i swej wielkości. Że zwyciężył w tej walce — było to zasługą nie tylko zaciętych farmerów i wszystkich tych, którzy przybyli z Europy, aby im w walce tej pomóc, ale także — i to w dużej mierze — szczęśliwego położenia geograficznego — oceanu, który oddzielał ich od angielskich ciemiężców.

21 września 1777 roku, do sztabu wojsk amerykańskich pod wodzą gen. Waszyngtona, kwatrującego wówczas w Warwick Furnace, przyszło pismo Kongresu, ogłoszone przez głównodowodzącego w rozkazie: „Czcigodnemu Kon-

BIBLIOTEKA

„KULTURY“

Leopold Tyrmand

ŻYCIE  
TOWARZYSKIE  
I UCZUCIOWE

Powieść o potędze małości  
w socjalizmie

Cena: sh. 43/6, F. 26, \$5.50

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA  
JEST REGULARNIE OPŁACANA  
PRENUMERATA



# DWÓCH KONTYMENTÓW

gresowi miło było mianować hrabiego Pułaskiego dowódcą amerykańskich lekkich dragonów w randzie generała brygady“.

Pod sztandarami amerykańskimi nie walczył Pułaski długo. W dniu 9-go października 1779 roku został ciężko raniony w szturmie na miasto Savannah, zmarł w dwa dni później na pokładzie okrętu wojennego i pochowany został w morzu. Sześć lat służby wojennej na dwóch kontynentach i pięć lat tułaczki i nędzy przed dotarciem do nowej Ojczyzny, o której wolność miał walczyć i gdzie pragnął osiąść na starość. Nie było mu danym tej starości doczekać. Zginął mając lat trzydzieści dwa.

Książka Karola Koźmińskiego pt. „Bohater dwóch kontynentów — Powieść historyczna o Kazimierzu Pułaskim“ obejmuje lata 1767—1779, okres aktualnej działalności Pułaskiego, oraz lata późniejsze, kiedy sława jego imienia rosła w Ameryce.

Ale, mimo że sława ta „szła po Unii i rosła“ że nazywano jego imieniem forty, okręty i miasta, stawiano mu pomniki, a w dniu 11 maja 1910 r. odsłonięto w Waszyngtonie aż dwa pomniki Polaków walczących o wolność Unii — Kościuszki i Pułaskiego — i odtąd dzień śmierci Kazimierza Pułaskiego obchodzony jest uroczystością jako „Pułaski-Day“, trudne jego i ofiarne życie zagubiło się w oficjalnych uroczystościach. Stał się trochę świętkiem narodowym, hieratycznym jak wszystkie świętki. Karol Koźmiński ożywił dla nas tego zagończyka nad zagończykami, który całą swą wiedzę wojskową zawdzięczał tylko doświadczeniu w polu, w walce z przeważającymi zawsze siłami.

## ZAGOŃCZYK

Pierwsze strzały nie padły z ręki konfederatów. Stojąc pod Starokonstantynowem, Wawrzyniec Potocki kazał dowódcę pytać oficerów carowej *po co idą w te strony?* Jeden z tych podjazdów został zaatakowany przez dońskich kozaków. Otrzymali odpowiedź.

Autor opisuje dalej szczegółowo przebieg działań wojennych konfederatów ze szczególnym uwzględnieniem tych, w których brał udział Kazimierz Pułaski; jego kluczenie po całej Polsce i starcia z mniejszymi siłami nieprzyjacielskimi przy unikaniu większych oddziałów o przeważającej sile żołnierza i ognia. Wymykał się tak i walczył na przemian z Kreczetnikowem, Izmailowem, Wachmajsterem, Knorringiem, Uszako-

wem, Schubbem, Drewiczem, Suworowem... Swymi maleńkimi siłami lub podstępem zdobywał miasta jak Winnica, Mohylew, zabierał arsenały, przeciągał na swą stronę oddziały królewskie, werbował dla sprawy chłopów, pobudzał do walki szlachtę w Kijowszczyźnie, na Podolu, Wołyniu, w lubelskim, w ziemi krakowskiej, sandomierskiej, brzeskiej, na Liwie. Krążył po całej Polsce z niebywałą szybkością, tracąc w potyczkach żołnierzy i werbując nowych. Znał go wkrótce i podziwiał cały kraj, stał się sławny wśród wrogów.

## OBRONA BERDYCZOWA I NIEWOLA

Szerzej opisana jest obrona Berdyczowa, w którego potężnych murach, w klasztorze Karmelitów, zamknął się osaczony zewsząd Pułaski z nieliczną załogą. Chcąc przeciągnąć sprawę i doczekać się odsieczy, pertraktował młody dowódca jak niegdyś Kordecki. Wysłał druha swego i adiutanta Goliana aby zapewnił gen. Kreczetnikowa że „obleżeni nie chcą wojny z Rosją ani z prawosławiem, chcą Rosjanom dochować przyjaźni, prosząc o nieniszczenie klasztoru i o przysłanie oficera do prowadzenia rokowań“. Ale Kreczetnikow odpowiedział brutalnie: „Nad wami król, nad królem Najjaśniejsza Imperatorowa gwarantka! Jakąż z wami nam przyjaźń i sąsiedztwo?...“

Przez dziewięć dni w dzień i w nocy były działa w fosę, mury i bramę, klasztor i kościoły. Oczekiwana odsiecz, którą prowadził Antoni Pułaski, młodszy brat Kazimierza, nie nadeszła. Wpadła w zasadzkę. Zapasy amunicji wyczerpały się. Pod koniec obleżenia strzelano z jednego działa załadowanego szkłem i guzikami. I ono w końcu ucichło — bo zabrakło prochu. Brak było żywności. Rosjanie znaleźli rurę doprowadzającą wodę do miasta i przecięli ją. Nie pozostało nic prócz kapitulacji. Kreczetnikow zlekceważył pismo Pułaskiego stwierdzające, że „Polacy ufni w dawną przyjaźń narodu rosyjskiego i oświadczenie carowej, że nie naruszy ich wolności i praw, sądzą iż niczym przeciw Rosji nie wykroczyli. Wojska rosyjskie natomiast działają wbrew uroczystemu traktatowym zobowiązaniom“. Generał żądał bezwzględnej kapitulacji. I tak po długim obleżeniu, w tej właśnie chwili kiedy Repnin zażądał od Kreczetnikowa odstąpienia od twierdzy i przejścia do innych działań, nie wiedząc nic o tym — Pułaski kapitulował.

W niewolę poszło 1.360 jeńców, w tym 165 rannych, w ręce generała wpadł klasztor i znajdujące się w nim skarby. W raporcie do Repnina była tylko mowa o jeńcach, skarby pozostały słodką tajemnicą Kreczetnikowa.

Obozem jeńców w Połonnym zawiadywał pan łowczy Branicki. Jemu to Rosjanie mieli wydawać szlachtę i żołnierzy wojsk królewskich. Chłopów zsyłali dowódcy rosyjscy we własnym zakresie na Sybir. Szlachta musiała podpisywać rewers, że nigdy już do konfederacji nie przystąpi, żołnierzy królewskich odsyłano z powrotem do ich oddziałów. Do Połonnego ściągali też jeńcy z Baru, zdobytego przez gen. Apraksina. Józef Pułaski wraz z synami Franciszkiem i Antonim oraz Joachimem Potockim i garstką konfederatów uszli za Dniestr. Dołączył do nich Kazimierz po podpisaniu deklaracji. Nie dotrzymał jej jednak, o czym zawiadomił Kreczetnikowa. Równocześnie ogłosił pismem otwartym, że zatrzymano go w niewoli wbrew warunkom kapitulacji a deklarację na nim wymuszono, że postanawia walczyć do ostatniej kropli krwi.

## SPRAWA KONFEDERATÓW A SPRAWA LUDU UKRAIŃSKIEGO

Tymczasem w Nielipowcach, gdzie w zasięgu dział tureckich Chocimia pozostawali dowódcy konfederacji, szły spory o władzę. Joachim Potocki, który pokpił sprawę pod Podhajcami, domagał się godności naczelnego wodza. Przeciwił się temu Józef Pułaski — chciał walczyć a nie siedzieć za kordonek tureckim czekając aż Turecja, która 6 czerwca 1768 roku wypowiedziała wojnę Rosji, dostarczy pomocy w ludziach, a Francja nadesłże milionową pożyczkę.

Młodzi mieli tego dosyć. Za zgodą ojca przekroczyli Dniestr i zaczęli działać na Podolu na własną rękę. Kazimierz był najśmielszy i najbardziej sprzyjało mu szczęście.

Spór o władzę skończył się dla Józefa Pułaskiego nieszczęśliwie. Z poduszczenia oponentów w „generalności“ aresztowany został przez władze tureckie i zmarł w niewoli. Później nieco, już po ucieczce Kazimierza z Polski, majątki Pułaskich skonfiskowano a matka jego uciekać musiała przed kozakami w przebraniu Żydówki.

Autor nie pomija rzezi humanistycznej, w której padły tysiące ludzi. Chłopi ruszyli w obronie prawosławia przeciw unii i w obronie tzw. „wolnizn“, które wygasły już na Ukrainie. Stawali się teraz pańszczyźnianymi poddanymi swych panów. Rozpoczęli walkę o wol-

(Ciąg dalszy na str. 30)

ność. Niestety, nie pokrywała się ona z wolnością, w której obronie wystąpiła konfederacja. Kijowszczyzna, Bracławszczyzna i część Wołynia stanęły w ogniu i spływały krwią. Gdyby Ojczyzna, dobra matka dla szlachty i wielkich rodów, była wówczas równie dobrą matką dla wszystkich klas i wyznań tego wielonarodowego królestwa, może w tym tak już bardzo spóźnionym momencie zdołałby jeszcze naród nasz obronić swą niepodległość. Rozbity i sklócony — musiał ulec przemocy.

### OKOPY ŚWIĘTEJ TRÓJCY, ZWANIEC, CZĘSTOCHOWA

Koźmiński snuje dalej opowiadanie o nierównych walkach garstki zapaleńców. Okopy Świętej Trójcy i Żwaniec u styku Zbrucza i Dniestru, klęska pod Włodawą, w której zginął najstarszy z Pułaskich Franciszek, klęska pod Szreńskiem, gdzie dał głowę świętym partyzantom, kozak Sawa, Deborzyna koło Pilzna, gdzie poległ otrzymawszy dwadzieścia sześć ran marszałek warszawski, bohaterski Tressenberg, a Kazimierz stracił najbliższego druha i adiutanta — Goliana. Zdrada Austriaków, którzy mimo przyrzeczenia wpuścili za swój kordon kawalerię DREWICZA aby rąbała wycofujących się żołnierzy na austriackim terytorium. Zajęcie przez konfederatów Częstochowy i obrona jej przed DREWICZEM, tak bardzo przypominająca oblężenie Jasnej Góry w „Potopie“, że chyba Sienkiewicz znać musiał jej opis i wzorować się na nim. Jak Müller wówczas, tak DREWICZ teraz odstąpił od oblężenia.

Obrona Częstochowy zdobyła Pułaskiemu sławę w kraju i poza jego granicami. „Pac tytułował go najzasłużniejszym marszałkiem, co sztukę polowego spotkania łączy ze sztuką miejscowej obrony“. Król Gustaw szwedzki gratulował Wielhorskiemu, przedstawicielowi Generalności w Paryżu. Pisały o Pułaskim szeroko gazety francuskie, holenderskie, niemieckie i angielskie. Pisał sam Jan Jakub Rousseau. A lud śpiewał piosenkę, która miała przetrwać pokolenia:

*Jedzie DREWICZ, jedzie,  
Trzysta koni wiedzie.  
Oj poczekaj, panie DREWICZ,  
nie twoje to będzie!*

*Od bram Częstochowy  
Zabrzmiaty podkowy.  
Ho, ho, panie DREWICZ,  
nie uniesiesz głowy!*

*To Kazimierz Pułaski,  
Konfederat barski,  
Ty wiesz dobrze, panie DREWICZ,  
że to rębacz dziarski.*

### „KRÓLOBÓJCA“

Cała ta popularność młodego rycerza znikła nagle po nieudanej próbie porwania króla. Nie jego był to pomysł a Strawińskiego. Pułaski zgodził się niechętnie, przedtem jeszcze powiadomił Paca i uzyskał zezwolenie Generalności. Strawińskiemu powiedział: „Upprzedzam, że apróbuję twój zamysł tylko, o ile oszczędzisz życie jeńca“. Myślał wówczas: „Król w obozie walczących — uświęceniem sprawy“.

Zamach, jak wiadomo, wykonano nieudolnie brutalizując króla, a nawet z niebezpieczeństwem jego życia. Wydstawwszy się z prostackich rąk zamachowców, Stanisław August powiadomił wszystkie dwory panujących, piętnując Pułaskiego jako inicjatora królobójstwa. Maria Teresa i Fryderyk II, oburzeni już wcześniej ogłoszoną przez Generalność detronizacją króla, zaczęli współdziałać z wojskami rosyjskimi, planując równocześnie rozbiór Polski. Wszystkie wojenne poczynania kończyły się teraz niepowodzeniem. Na domiar złego, zdobyty podstępem Zamek Wawelski kapitulował wyczerpawszy wszystkie środki obrony.

Ogłoszony „zbrodniarzem“ i „królobójcą“ rycerz zrozumiał, że osoba jego stała się ciężarem dla konfederacji. Zdaje zatem dowództwo na ręce Radziwińskiego jako regimentarza i wyjeżdża do Saksonii, na dwór królewicza Karola, syna Augusta III. Stamtąd jeszcze posyła regimentarzowi warunki kapitulacji Częstochowy. Pragnie jak najbardziej ulżyć doli przegranego żołnierza.

Po raz pierwszy po latach trudów wojennych i po odniesionych ranach choruje młody rycerz w Dreźnie. Nie zabawi tam długo. Od królewicza nie otrzyma żadnej pomocy. Nie ruszył on palcem kiedy lała się krew aby otworzyć mu drogę do polskiego tronu, nie robi tego i dzisiaj. Trudno zrozumieć dlaczego kandydat ten tak bardzo był umiłowany przez szlachtę. Czy dlatego, że był wnukiem króla, który pierwszy wystąpił z projektami rozbioru Polski, a synem tępego, opasłego Augusta III, z którym przecież szlachta nie mogła się w ogóle porozumieć, bo nie władał ani polskim językiem ani łaciną?

Z Dreznia pojechał Pułaski do Wałbrzycha, gdzie mieszkał przedmiot jego chłopcęcej i jedynej miłości: Franciszka z Krasińskich, opuszczona przez męża żona królewicza Karola. Nie poszedł do niej. Ręce jego były puste. Byli oboje ludźmi przegranej sprawy.

Pisał do wielkiego marszałka koronnego Stanisława Lubomirskiego, aby pozwolono mu osobiście bronić się przed sądem. Wyrok był już jednak wydany

z woli króla. Jako herszt całej występnej „imprezy“ został oskarżony o „zbrodnie obrazy majestatu“. Został skazany na ścięcie. Dalej wyrok opiewał: „Ręce przy drogach publicznych wystawione i po jakimś czasie spalone, ciało zaś zaraz po ścięciu rozczwartowane, palone i na wiatr rozwiane“.

Rok 1772 — pierwszy rozbiór Polski. Pułaski robi ostatnią próbę walki przeciw Rosji pod tureckimi sztandarami. Jest świadkiem w Szumli jak zdemoralizowana, wyczerpana, okradana przez wezyra armia, ponosi ostateczną klęskę od wojsk dowodzonych przez Surowowa. Turcja zawiera pokój i oddaje Rosji władzę nad tatarskim dotąd Krymem. Nie uznaje rozbioru — to wszystko co może zrobić dla Polski. W sześć godzin po odplynięciu Pułaskiego wchodzi do portu w Smyrnie okręt rosyjski, który miał go zabrać do Rosji. Młody rycerz dociera jednak szczęśliwie do Marsylii. Nie wolno mu się stąd ruszyć, ale w nędzy swej utrzymuje ostatnich sześciu towarzyszy. Za długi dostaje się do więzienia. Włoch, major Rossi, opiekujący się nim z polecenia księżny Sapieżyny, zastaje go w więzieniu — zarośniętego, owszonego, na zabłoconej sali ogólnej, bez garści słomy. Sapieżyna przysłała kaucję, przysłała coś matka i siostra Anna z Polski. Do kraju wrócić nie może, myśli o wyjeździe do Ameryki. Zwraca się do Franklina, który daje mu bezpłatny przejazd do Ameryki — i coś więcej jeszcze: list polecający do Jerzego Waszyngtona.

(Ciąg dalszy nastąpi)

## WYDAWNICTWA BIURA STUDIÓW S. P. K.

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodziź w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 3/6

KSIEGARNIA S. P. K.  
20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W.7.



# „ŚWIADEK WYDARZEŃ“

**E**RAZM PILTZ, wieloletni redaktor wydawanego kiedyś w Petersburgu polskiego tygodnika „Kraj“, a potem za rządu Witosa wiceminister spraw zagranicznych, zacytował kiedyś nam, swoim podwładnym, znane powiedzenie, że „Dziennikarstwo jest dobrym przygotowaniem do dyplomacji!“ Albo odwrotnie: „Dyplomacja jest dobrą szkołą dziennikarstwa“. Dowodem tego są liczni polscy dyplomaci na uchodźstwie, którzy pozbawieni swoich dawnych stanowisk stali się autorami wartościowych prac naukowych i literackich, oraz pisarzami zapewniającymi szpalty prasy emigracyjnej. Niedawno dołączył się do nich Józef Zarański, wydając książkę pt. „Świadek wydarzeń“, skromną w tytule i rozmiarze, a jednak doniosłą w treści!\*)

Koleje służby J. Zarańskiego pozwoliły mu najprzód, jako konsulowi w Wiedniu, być świadkiem wejścia Hitlera do stolicy oszalałej z radości Austrii, potem na placówce w Budapeszcie być opiekunem pierwszej fali polskich uchodźców spod okupacji niemieckiej, a po wymuszonej na Węgrach likwidacji Poselstwa R.P., dostać się po ośmiomiesięcznej podróży do Londynu, gdzie natychmiast powołano go do odpowiedzialnych zadań przy wielkim ołtarzu, jako współpracownika kierownika M.S.Z. Kajetana Morawskiego i ambasadora Edwarda Raczyńskiego.. Skoro zaś St. Mikołajczyk został premierem, przydzielono go do jego osoby jako tłumacza i doradcę protokółarnego, jak też jego posunięć dyplomatycznych. W tym charakterze Zarański towarzyszył Mikołajczykowi do Waszyngtonu i odbył z nim jego dwukrotną pielgrzymkę do Moskwy. Zarański był więc istotnie bliskim świadkiem spraw Polski podczas drugiej wojny światowej, od chwili jej wybuchu aż do jej tragicznego końca.

Obecne pokolenie zna dobrze te dzieje, które zresztą streścił zwięźle w swym résumé o książce Zarańskiego, Adam Pragier („Wiadomości“ z 14 lipca, nr. 28). Mimo to są one interesujące w przedstawieniu Zarańskiego, jako bystrogo obserwatora zakulisowych szczegółów oraz postawy i poczynań ówczesnych kierowników polskiego rządu w stosunku do faktów, jakie się wówczas rozgrywały. Poza tym zainteresowały mnie one osobiście, jako reakcja J. Za-

rańskiego, kolegi z teje służby zagranicznej, dziwnie zgodną z moją i w wielu wypadkach identyczną, choć z punktu widzenia innych dziedzin działalności oraz odmiennych placówek dyplomatycznych.

Że nie potakuję biernie logice wywodów Zarańskiego i nie przyłączam się ex-post do jego poglądów, niech mi będzie wolno powołać się, jako na alibi, na moje wspomnienia z M.S.Z., wydane sześć lat temu pt. „Pióropusz i szpada“, które choć pisane w innym stylu, wyrażają wiele podobnych myśli, sądów i wniosków. Powód w tym, że z perspektywy placówek oraz bezpośredniego dopływu innych informacji, inaczej wyglądała sprawa polska, aniżeli widziana oczami tych, którzy ją... sprawowali!

Więc najprzód „mocarstwowość“ Polski. Dla Zarańskiego jest to zasadniczy błąd postawy polityki polskiej w ostatnich latach jej niepodległości, polegający na przecenianiu jej możliwości wojсковych i sytuacji w świecie, przy niedocenianiu sił przeciwnika. Stąd sławne powiedzenie min. Becka: „Nic o nas bez nas!“. W moich wspomnieniach określiłem politykę polską, jako „monolog“, gdy ona powinna być „dialogiem“, w którym należy brać pod uwagę argumenty przeciwnika.

Następnie dziwiła Zarańskiego niewiara w wojnę, aż do wieczoru poprzedzającego ranek, w którym Niemcy rozpoczęli bombardowanie Warszawy, wieczoru, który Beck spędził beztrosko w restauracji w Młocinach, a min. wojny Kasprzycki w operze — raporty zaś, z poszczególnych placówek, wytykające zadufanie Polski w swą nietykalność, były rzucane do kosza, jako wywołujące niewłaściwą panikę.

Wreszcie Zarańskiego dziwi zadowolenie M.S.Z. z tzw. Anschlussu, tj. zagarnięcia Austrii przez Hitlera, uważane w Warszawie, że ekspansja Hitlera na południe uwolni Polskę od jego zakusów na wschód, jakby przestało grać klasyczne hasło Niemców „Drang nach Osten“. Co do mnie, w Atenach, otrzymywałem instrukcję, by wbrew memu przekonaniu, uspokajając Greków, że Anschluss jest ostatnim etapem zdo-bywczego pędu Niemiec.

A kiedy Hitler 2 października 1938 zagarnął Czechosłowację i Beck zajął Zaolzie, by dzielić się z nim jego łupem, w jakieś dwa tygodnie później kierownik greckiego M.S.Z., min. Mavroudis, wezwał mnie, by mi odczytać artykuł londyńskiego „Economist“ z dnia 17 października, że „...dobre imię Polski

jako narodu ryceskiego bezsprzecznie zostało zaprzeczane... i Polakom grozi czwarty rozbiór Polski, do którego szaleńczo przyłożył rękę!“ Rzeczą charakterystyczną, że Zarański, wzburzony postępkami Becka przytacza tenże artykuł „Economista“, który ja cytuję w jego tłumaczeniu (str. 11). Wiemy, jak bardzo antyczeska polityka przedwojennego rządu R.P. zaszkoziła sytuacji Polski na emigracji.

Udział Zarańskiego w opiece uchodźców polskich na Węgrzech i ówczesne przestrogi węgierskich władz, by wojskowi jak najprędzej przeobrażali się na cywilów, przypominały mi zalecenia wspomnianego min. Mavroudisa, by nasi „turyści“, oczekujący statków, mających ich rozwieźć albo do armii Węganda na Bliskim Wschodzie, albo do Marsylii na pilotów armii brytyjskiej, podziwiali Akropol niekoniecznie chodząc czwórkami i w wojskowych butach, gdyż poseł niemiecki widzi w nich zaprzeczenie neutralności Grecji!“

Aż Hitler zawiądnął całymi Bałkanami. Placówki nasze przestały istnieć. Gdy Zarański wyjeżdżał jako konsul z Wiednia dnia 13 września 1939, do Budapesztu, na granicy węgierskiej spojrzawszy wstecz ujrzał swą przeszłość, pogrążającą się w ciemnościach... Przed nim „równina węgierska i mroczna przyszłość... W naszą świadomość zapada myśl, że z Polską rozstajemy się — może na zawsze!“ Otóż, gdy z kolei, dnia 22 kwietnia 1941, wyjeżdżałem z Aten na Kretę i do Kairu „czułem, że żegnam moją przeszłość, i to bezpowrotnie!“ W owych chwilach spotkały się nie tylko nasze poglądy, ale i nasze uczucia.

\* \* \*

Niestety, Londyn gotował nam same zawody. Jaskrawą zmianą stosunku W. Brytanii do Polski, stał się układ sowiecko-angielski. Wzmógł on siłę bojową aliantów, lecz zepchnął zainteresowanie Polską na dalszy plan. Przy tym wywołał dążenie do wzmoczenia zwartości wojennego frontu przez porozumienie polsko-sowieckie. Dążenie to wysuwał Churchill za pośrednictwem swego agenta przy gen. Sikorskim J. Retingera oraz St. Litauera, porte-parole przedstawiciela sowieckiej agencji Tass, A Rothsteina. I Sikorski ulegając namowom Churchilla, dnia 30 lipca 1941 roku zawarł, na własną odpowiedzialność, umowę polsko-sowiecką..

Zarański określa tę umowę jako „hi-

(Dokończenie na str. 32)

\*) Józef Zarański, „Świadek wydarzeń“, Londyn, „Oficyna poetów i malarzy“, 1968. Skorowidz nazwisk, str. 82..

storyczną zasługę“ gen. Sikorskiego. Inaczej ocenili tę umowę Prezydent Wł. Raczkiewicz, który jej nie ratyfikował, i trzech ministrów: A. Zaleski, K. Sosnkowski i M. Seyda — którzy ustąpili z rządu. Według nich ujemną stroną tej umowy było, że nie gwarantowała Polsce zwrotu Lwowa i Wilna. W zamian, umowa ta obiecywała zwolnienie z łagrów tysięcy Polaków i stworzenie armii polskiej na terenie Rosji dla wspólnej walki przeciw Niemcom. Zarański przyznaje, że umowa ta była wyrazem i wynikiem zasadniczej wady narodowej, mianowicie zaufania gen. Sikorskiego w siły polskiej armii i wiary w odbicie przez nią Lwowa i Wilna — a więc osiągnięcie upragnionego celu, tylko w późniejszym terminie.

Niestety, wypadki wojenne potoczyły się inaczej. Tragedia Katynia zaciążyła złowrogo na stosunkach polsko-sowieckich. Wprawdzie gen. Sikorski za swej bytności na Kremlu, dnia 3 grudnia 1941, uratował ofiary łagrów i uzyskał wyprowadzenie armii do Persji, ale za drugim wyjazdem — nie dojechawszy do Moskwy, gdzie Stalin nie chciał nawet go przyjąć, w powrotnej drodze, dnia 5 lipca 1943, zginął w katastrofie gibraltarskiej.

Następca gen. Sikorskiego, St. Mikołajczyk podjął jego wysiłki w stosunku do drugiego „alianta“, Roosevelta, pozornie przychylniejszego. Mimo to na przyjęcie przez Roosevelta Mikołajczyk czekał blisko rok, mimo że, a może dlatego właśnie, że w międzyczasie miała miejsce konferencja w Teheranie. Pobyt Mikołajczyka w Waszyngtonie Zarański opisuje dokładnie jako towarzysza jego podróży i obecny przy rozmowach — na bankiecie wydanym przez Roosevelta i dopuszczenie Mikołajczyka do głosu na komisji spraw zagranicznych, gdzie on miał sposobność przedstawienia zagadnienia sprawy polskiej i jej wschodniej granicy. Mikołajczyk wrócił z Ameryki wzmocniony na duchu. Lecz wrażenia Zarańskiego były odmienne:

„Wizyta w Waszyngtonie — píše Zarański — nie ruszyła z martwego punktu ułożenia stosunków polsko-sowieckich. Prezydent Roosevelt wywarł na mnie wrażenie człowieka chorego. Na jego szarej twarzy widniało znużenie, a oczy patrzyły daleko w przestrzeń. Jego wypowiedzi polityczne wy-

rażały mglisty idealizm, w sprawach europejskich orientował się fałszywie, a przy tym uparcie obstawał przy swych à priori ubarwionych poglądach(...) Wizyta Mikołajczyka była mu potrzebna wobec wyborów za pięć miesięcy, ze względu na głosy Amerykanów polskiego pochodzenia“.

J. Zarański, towarzyszy Mikołajczykowi w obu jego podróżach do Moskwy, razem ze St. Grabskim i T. Romerem i przeżywa ich niepowodzenia. Mikołajczyka w Moskwie tytułują już tylko „Prezesem Stronnictwa Ludowego“, bo w międzyczasie powstał „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego“, wkrótce też uznany za prawowity rząd polski. Lecz Mikołajczyk uważa się dalej za premiera rządu londyńskiego, licząc się i broniąc twardo jego pozycji i poglądów, ufając wciąż obietnicom Roosevelta. Skoro onę zawodzą, podaje się do dymisji...

Tomasz Arciszewski, jako jego następca, postanowił spróbować ostrzejszej metody, bez jakiegokolwiek kompromisowej linii wobec Sowietów, starając się uświadomić rząd brytyjski co do sowieckiego terrorku w Polsce. Nie uzyskawszy żadnej korzyści, wysłał Zarańskiego, jako radcę ambasady, z polecenia ówczesnego ministra spraw zagranicznych Adama Tarnowskiego, do Foreign Office'u, by nawiązać do rozmów Mikołajczyka z Churchilllem, lecz okazuje się, że Mikołajczyk, — już jako osoba prywatna — poddał się wpływowi Churchilla i ogłosił w „Timesie“ zgodę na postanowienia konferencji jałtańskiej oraz uznał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego za prawowity rząd polski!!! Była to cena jaką Mikołajczyk zapłacił za powrót do Polski już w charakterze uczestnika rządu narzuconego przez Sowiety, co doprowadziło do rychłej i wstydlivej jego ucieczki z Polski, tym razem do Ameryki, gdzie osiadł na stałe i niedawno dokonał żywota.

Józef Zarański w zakończeniu swych wspomnień wyraża słuszne pragnienie poprawnych stosunków z naszym sąsiadem wschodnim, byle by w tych stosunkach panowała prawda i to obopólna. Wolno wierzyć, że w jego pojęciu prawda zawiera uczciwość i sprawiedliwość, wykluczając siłę, którą od Stalina Sowiety stosowały dotychczas w swych kontaktach międzynarodowych.

## PORADNIA MAŁŻEŃSKA

**S**ŁOWO „rozwód“ jest słowem niemal codziennym we współczesnym świecie. Nie odbiera mu to jednak posmaku jednego z najsmutniejszych słów jakie znamy. Przywodzi ono bowiem na myśl koniec nadziei, gorycz, rozpacz, rozbięcie rodzinnego gniazda. Ludzie dobrej woli czynią na całym świecie wysiłki ratowania instytucji małżeństwa, bez którego komórka społeczna przestałaby istnieć. I tak na przykład we Francji, Danii, Szwecji i w Stanach Zjednoczonych próby przymusowego pojednania się stały się już jednym z punktów prawnych, bez których rozwód nie może być udzielony. W W. Brytanii przymus taki dotychczas nie istnieje. Istnieje natomiast organizacja państwowa — Marriage Guidance Council, poradnia w sprawach małżeńskich. Tej to instytucji tysiące ludzi zawdzięcza swoje dalej trwające (nieraz na zupełnie nowych podstawach) — małżeństwa.

Państwowa poradnia małżeńska służy wskazówką i pomocą około 18 tysiącom małżeństw rocznie, czyli mniej więcej trzem czwartym osób, które weszły kroki rozwodowe. Na czele tej instytucji stoi Gerald Sanctuary, którego uwagi podajemy poniżej.

„Corocznie do naszych katrtołek wpływa mniej więcej tysiąc nowych nazwisk. Sama ta cyfra jest już pocieszająca, gdyż jeszcze 10 lat temu opiekowała ona na o wiele mniej. Wyraźnie coraz więcej ludzi pragnie uratować swe małżeństwa.

Poradnia małżeńska otrzymuje od rządu subwencję w wysokości 50 tysięcy funtów rocznie, a pracownicy tej instytucji pracują bez wynagrodzenia. Są to ludzie naprawdę uspołecznieni, gdyż — oprócz nielukratywności wykonywanej pracy — aby stać się doradcą w sprawach małżeńskich, kandydat na tzw. councillora“ przechodzi nie tylko bardzo ścisłą selekcję, ale raz przyjęty — jeszcze i przeszkolenie, trwające około dwóch lat. Jednym słowem, raz dopuszczony do swej społecznej i nieraz bardzo niewdzięcznej pracy — doradca małżeński jest do swojej roli naprawdę doskonale przygotowany.

Jakież są zadania doradców?

Porady, lub arbitraż napewno nie polegają na tym, aby pogodzić skłócone małżeństwo za wszelką cenę. Zasadą pracy doradców jest w pierwszym rzędzie ustanowienie takiego stosunku pomiędzy sobą samym a przychodzącymi po poradę, aby zdobyć nie tylko ich zaufanie, lecz nawet i przyjaźń. Doradca w sprawach małżeńskich, wraz z oddaną sobie w opiekę parą zajmuje się ich problemami duchowymi, finansowymi, a nieraz nawet i zdrowotnymi.

*Już w LISTOPADZIE*

ukaze się

**KALENDARZYK KOMBATANTA**

na rok 1969

*niezbędne źródło informacji dla każdego Polaka*



# PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

B.D.I.C

W żadnym jednak z tych zagadnień nie wolno mu zająć stanowiska mentorskiego, takie bowiem nastawienie jedynie odstrasza ludzi, którzy musieli się przemóc, aby ze swymi najintymniejszymi sprawami odwołać się do osoby trzeciej. Zadaniem doradcy więc — i tego właśnie uczy się on przez pełne dwa lata — jest przede wszystkim cierpliwe wysłuchiwanie żalów, rozezarowań i pretensji obu zainteresowanych stron. Dopiero później, gdy znajomość-przyjaźń zostanie zawarta między wysłuchującym a skarżącymi się — doradcy zaczynają powoli budować pełen obraz danego przypadku pożycia dwojga ludzi. Obraz ten przedstawiają samym zainteresowanym w długich i wnikliwych rozmowach.

„Staramy się pozyskać zawsze dwa pełne obrazy pożycia małżeńskiego: jego i jej. Gdy je otrzymamy — przedkładamy petentom nasze o tym pojęciu wyobrażenia w sposób prawie klinicznie oderwany. I to, okazuje się, jest najlepszy sposób aby ludzie na progu rozvodu zobaczyli zwykle, po raz pierwszy w życiu, jak ich małżeństwo wygląda naprawdę, jakie są jego niedociągnięcia i w jakich newralgicznych punktach należy je naprawić.

W Poradni Małżeńskiej nie istnieją tzw. „nietykalne świętości“ i wiele z nich zostaje odbrązowionych na równi z zahamowaniami psychologicznymi, fizycznymi, wybuchowym charakterem, skąpstwem, zazdrością i tak dalej.

A więc doradca w sprawach małżeńskich musi być przede wszystkim człowiekiem o anielskiej cierpliwości i wielkim zrozumieniu życia. Musi mieć psychiczne nastawienie lekarza, spowiednika i ...matki. Musi umieć słuchać godzinami. Dać się bowiem ludziom wygadać, co przynosi ulgę. Zdarza się nie rzadko, że w trakcie opowiadania o małżeńskich nieszczęściach i niesprawiedliwościach jedna ze stron nagle milknie. Oto poczuli może właśnie pod wpływem głośno wypowiedzianych własnych myśli, że jeszcze nie wszystko jest w ich małżeństwie stracone?

Trudność pracy doradców Marriage Guidance Council polega na tym, że małżeństwo w moralności społeczeństw było przez wieki przedstawiane jako osiągnięcie pewnego celu samego w sobie. Ludzie są podświadomie prześladowani obrazem idealnego związku małżeńskiego, który w rzeczywistości jednak zdarza się niezmiernie rzadko. Ceremonia zaślubin nie odmienia magicznie charakteru jednostki. Ludzie bardzo młodzi, których małżeństwo da-

lekie jest od tych wyidealizowanych szczytów, są zwykle niecierpliwi. I właśnie od tego pierwszego momentu niecierpliwości małżeństwo często zaczyna szwankować.

Niedawno tzw. Raport Layteya na temat wieku wstępowania w związki małżeńskie podkreślał, że do małżeństwa ludzie winni przygotowywać się zarówno poważnie jak do studiów uniwersyteckich, że małżeństwa się trzeba uczyć. Ogólna tendencja na świecie wstępowania w związki bardzo wczesnie (w odróżnieniu do tendencji lat przed rokiem 1939 i podczas wojny), wskazuje na to, że poradnictwo na ten temat winno zaczynać się już w szkole średniej.

Poza indywidualnie udzielaną pomocą, the Marriage Guidance Council rozpoczął ostatnio szereg wykładów dla młodzieży obojga płci. Powodzenie tych kursów przeszło wszelkie oczekiwania inicjatorów. Wieczorne wykłady nieraz nie mogą pomieścić wszystkich chętnych słuchaczy.

Pozatem Poradnia stworzyła niedawno jeszcze jedną instytucję pod nazwą „Biura Dyskusji nad zagadnieniami rodzinnymi“ (The Tavistock Family Discussion Bureau), gdzie opiekunowie społeczni, przedstawiciele Marriage Guidance Council, lekarze i duchowni mają regularne posiedzenia i dyskusje na wszystkie tematy, połączone z zagadnieniem zdrowej społeczności rodziny.

„Rozpadające się małżeństwo — powiedział niegdyś Gerald Sanctuary — jest jak bolący ząb. Najpierw bólem, potem boli, aż wreszcie już bólu nie można wytrzymać... Postępujemy z małżeństwem tak, jak z bolącym zębem: nie czekajmy na zapalenie okostnej. 90% małżeństw może być uratowanych przy dobrej woli obu stron i przez wyrozumienie społeczeństwa na indywidualne dramaty każdej jego jednostki“.

I dla kontrastu słów parę o bardzo szczęśliwym małżeństwie.

Podobno małżeństwa tak zwane „artystyczne“ nie zawsze się udają. W grę bowiem wchodzi nieraz odmienny gatunek zazdrości — o artystyczne osiągnięcia życiowego partnera. Przykładem przeciw tej tezie jest para małżeńska: Sonia i Robert Delauney, francuscy malarze, którzy potrafili idealnie ułożyć sobie życie i stali się nierozłącznymi partnerami w kulturowanej przez nich sztuce.

„Od lat pracujemy razem — mówi Sonia Delauney — nasze sztalugi stoją w pracowni tuż obok siebie. Pracujemy

razem fizycznie i duchowo, a współpraca duchowa jest napewno ważniejsza! Oboje rozumiemy i kochamy kolor — więc jeśli jednemu z nas uda się jakaś kompozycja kolorów — drugie cieszy się, podziwia i uczy jednocześnie.

Obecnie ta niemłoda już para malarzy przeżywa swój renesans. Obojgu francuscy reżyserzy filmowi powierzają coraz to częściej wykonywanie dekoracji do filmów awangardowych. Ostatnio Sonia Delauney pospołu z mężem zmontowała ruchomą wystawę, na której ich obrazy pod nazwą „Rytm w kolorze“ cieszyły się ogromnym powodzeniem. Jak piszą krytycy: „Rysunki tej cudownej pary mają w sobie rozmach młodości, energię ludzi zdrowych i szczęśliwych. Ta niezwykła para po prostu nie umie się postarzyć. Rozumieją współczesny świat i należą do niego...“.

— Zawdzięczamy to — powiedziała pani Delauney — nie tylko wspólnym zamiłowaniami, ale przede wszystkim naszemu cudownemu małżeństwu. Jesteśmy sobą tak samo zajęci jak lata temu, przed pierwszą wojną, kiedyśmy się, para smarkaczy, pobrali“. Z paryskiego studia, gdzie między kolorowymi płótnami panuje ukochany kot malarzy „Ubu“ — owi współcześni Dafnis i Chloe rzucają światu szczęśliwe wyzwanie.

K. E.

## BIBLIOTEKA „KULTURY“

### „Zeszyty Historyczne“

#### ZESZYT XIII 1968

zawiera m.in. prace:

T. Katelbach: ZET.

Wiktor Tomir Drymer: Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935 — 1939.

Stanisław Kot: Wspomnienia (III)

Edward Puacz: Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia.

Witold Babiński: Ze wspomnień o Józefie Lipskim.

Tadeusz Romer: U kolebki pewnego sojuszu.

Jan Weistein: Scenariusz ministra Gafencu.

Wypadki krakowskie w ocenie sądu.

Cena: sh. 25/-, F. 15.00, \$ 3.00

## Czytaj książkę polską

**POLSKI UNIWERSYTET NA OB-  
CZYŹNIE.** Wśród 6 doktoratów wyda-  
danych w ub. roku był doktorat płk. A.  
Sawczyńskiego, który na publicznym  
zamknięciu roku wygłosił odczyt pt.  
„Wiek XVII jako okres przełomowy w  
dziejach Rzeczypospolitej“.

**STOWARZYSZENIE WYCHOWAN-  
KÓW S.G.H.** na dorocznym, 19-ym Wal-  
nym Zebraniu wysłuchało referatu o  
„Bankowości w Polsce“ wygłoszonego  
przez przybyłego z Warszawy dr. A.  
Wernika. Wśród powziętych uchwał po-  
stanowiono poprzeć wydanie „Historii  
Polskiej Filozofii Politycznej“ napisa-  
nej przez sędziwego profesora prawa  
Eugeniusza Jarzę (ur. 1881).

**SETNA WYSTAWA U GRABOW-  
SKIEGO** urządzona została z rzeźb i  
obrazów artystów, którzy wystawiali  
w tej galerii, w ub. 9 latach jej istnie-  
nia. Są wśród nich obrazy artystów-  
Polaków, jak Frenkiel, Czapski, Bohusz-  
Szyszko, Beutlich, Ilnicki lub Turkie-  
wicz (z emigracji) i Stażewski, Domi-  
nik lub Zieliński, z Kraju. Z prac li-  
cznych malarzy brytyjskich i obcych  
znaczna ilość reprezentuje najnowsze  
kierunki sztuki abstrakcyjnej lub tzw.  
pop-artu.

**O. JERZY MIREWICZ, T.J.,** redak-  
tor „Przeglądu Powszechnego (Sodalis  
Marianus“) jest jednym z najczynniej-  
szych duszpasterzy i prelegentów w je-  
dnej osobie. Wśród tematów jego ostat-  
nich prelekcji znajdowały się takie sprawy  
jak „Współczesne chrześcijaństwo“  
i „Śmierć Boga“, „Czy ewangelie są  
historią?“, „Nowy Katechizm Holen-  
derski“, a w Stowarzyszeniu Elektry-  
ków Polskich mówił o „Cywilizacji  
technicznej i filozofii chrześcijańskiej“.  
W ramach spotkań Veritasowych o. Mi-  
rewicz miał bardzo głęboko ujęty wy-  
kład o „Kościele między ruinami a uto-  
pią“.

**PROF. HENRYK SKOLIMOWSKI,**  
autor książki pt. „Analytical Philo-  
sophy“, przybył z żoną Jacqueline, na  
półroczny pobyt w Anglii i Europie.  
Po przyjeździe otrzymał stypendium  
(fellowship) w Oxfordzie, gdzie przed  
kilku laty robił doktorat. Wziął on rów-  
nież udział w XIV Międzynarodowym  
Kongresie Filozoficznym, który trwał  
od 2 do 9 września br.

**XIV MIĘDZ. KONGRES FILOZOFI-  
CZNY** w Wiedniu był jednym z najli-  
czniejszych zjazdów tego rodzaju. Zgło-  
siono nań ok. 965 referatów, w tym 40  
napisanych przez autorów polskich.  
33 prace nadesłane zostały z Polski, a  
7 z różnych krajów polskiego osiedle-  
nia: A. T. Tymienieckiej (USA), J. Ka-  
linowskiego (Francja), J. Ostrowskiego  
(W. Brytania), H. Skolimowskiego  
(USA), o. J. M. Bocheńskiego (Szwaj-  
caria), J. A. Wojciechowskiego (Kana-

# Notatnik kulturalny

da) i pochodzącego z Polski C. Perel-  
mana (Belgia).

**ODCZYTY U TECHNIKÓW POL-  
SKICH** obejmują szeroki wachlarz te-  
matów. Inż. Zygmunt Lenkiewicz mó-  
wił na zebraniu Wydziału Mechanicz-  
nego STP na temat „Trudności przemy-  
słu brytyjskiego“. Razem zaś z inż. inż.  
A. Bobrowskim, W. Gorgolewskim, Z.  
Sawickim i W. Starzewskim brał on  
udział w zebraniu dyskusyjnym na te-  
mat „Roli i zadania inżyniera w archi-

tekturze“. Staraniem tegoż wydziału  
odbył się odczyt inż. lotn. S. Suchoza  
„O problemach polskich konstruktorów  
lotniczych przed wojną“. W Sekcji In-  
żynierii Budowlanej Stowarzyszenia Tech-  
ników Polskich inż. arch. A. Artur  
Chwalibogowski mówił na temat „Kie-  
runku rozwoju w przemyśle budowlan-  
nym. Związek Łączności i Koło W. S.  
Wojennej urządziło w Instytucie Pol-  
skim odczyt mjr. inż. S. Popkiewicza  
na temat „Najnowszych kierunków roz-  
woju łączności“.

J. Ostr.

## KOZARYNOWA I KOCZY otrzymali nagrody Oddziałów Wartowniczych

Polskie Oddziały Wartownicze w Niemczech, które szczególną opieką otaczają  
polską kulturę na emigracji, wznowiły w tym roku, przerwane na jakiś czas,  
ustanowione przez siebie nagrody literackie.

Powołanie jury powierzyły, jak w latach poprzednich, Związkowi Pisarzy na  
Uchodźstwie, wyznaczając dwie nagrody: I-a — £60.0.0, II-ga — £30.0.0.

Na zaproszenie Związku Pisarzy jury, w składzie: mgr Ludwik Bojczuk (se-  
kretarz); płk Juliusz Filipkowski (przedstawiciel Polskich Oddziałów Wartowni-  
czych); dr Władysław Günther, płk Adam Sawczyński, pod przewodnictwem  
prezesa Związku Pisarzy, Teodozji Lisiewicz, zebrało się 13 września br. w Mu-  
zeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie.

W wyniku obrad I-ą nagrodę otrzymał za całokształt prac naukowych i spo-  
łecznych prof. dr Leon Koczy; II-gą nagrodę za całokształt pracy publicysty-  
cznej Zofia Kozarynowa.

## WYSTAWA PRAC OFICYN DUKARSKKICH

W okresie od 9 do 27 września w  
londyńskim Monotype House, wysta-  
wiali swe prace czterej właściciele ma-  
łych warsztatów drukarskich: Robert  
W. Jones (USA), Paul P. Piech (Hert-  
fortshire), James Hill (Essex), oraz  
nasz Stanisław Gliwa (Essex).

Wszyscy czterej zawodowi i utalen-  
towani graficy, dali obszerny i cieka-  
wy pokaz swych osiągnięć. Partnerzy  
Gliwy wystawili przeważnie druki  
jednoarkuszowe, często o charakterze  
eksperymentalnym.

Gliwa natomiast, uprawiający także  
drukarstwo książkowe, które jest bar-  
dziej skomplikowanym zagadnieniem  
niż druk jednoarkuszowy, pokazał sze-  
reg książek swojej roboty, prawdziwych  
klejnotów ręcznego tłoczenia. W ogóle,  
góruje on niepodzielnie nad pozostałymi  
partnerami i bez przesady jest chy-  
ba jednym z najznakomitszych dziś na  
świecie przedstawicieli fachu oficyno-  
wego. Zaprezentował dorobek kultural-  
ny naszej emigracji z tego odcinka na  
najwyższym poziomie artystycznym.



Ozdobnik jednej z książek  
wydanych przez Oficynę Sta-  
nisława Gliwy. Linoryt tłó-  
czony w oryginalnym klocku.





**KLARA I ZIEMOWIT KARPINSKY** para utalentowanych aktorów bawiła na urlopie w Londynie. Ostatnio Karpiński występował w Nowym Jorku z Karin Tiche w sztuce pt. „Kochany Kłameca“, swego czasu wystawionej również w Londynie. Klara Belska, wdowa po zmarłym aktorze i dyrektorze zespołu teatralnego, była zawsze cenioną odtwórczynią ról charakterystycznych w sztukach wystawianych przez teatry polskie w Londynie i przez cały czas trwania Teatru Dramatycznego 2. Korpusu.

**JADWIGA DOMAŃSKA**, znana aktorka dramatyczna i kierowniczka Teatru Dramatycznego 2. Korpusu bawiła przejazdem z Kanady do Europy w Londynie. Po wyjeździe z Londynu poświęciła się całkowicie pracy pedagogicznej, wykładając język francuski w Kanadzie.

**PLANY TEATRU „SYRENA“** dla dzieci i młodzieży obejmują wystawienie nowej sztuki w rozpoczynającym się sezonie. Między innymi brane są pod uwagę trzy następujące sztuki: „Marcelino, chleb i wino“, „Czarodziej-skie gęśliki“ i „Rok obrzędowy polski“.

**STOWARZYSZENIE FOTOGRAFIKÓW POLSKICH** wydało ostatnio Biuletyn Nr. 3 w bardzo starannej szacie graficznej z ozdobną okładką ze zdjęciem fotograficznym. Biuletyn ten obejmuje okres od 1964-1967 roku i zawiera obfite materiały sprawozdawcze i teoretyczne, oraz barwne i czarno białe ilustracje fotograficzne. Ostatnio Stowarzyszenie urządziło wystawę retrospektywną, na którą złożyło się około 100 fotografii i 55 przeźroczy, dzieła ok. 30 artystów. Stanowią one przegląd dorobku polskiej fotografii na obczyźnie, która zdołała sobie zdobyć czołowe miejsce wśród fotografików brytyjskich.

**JUBILEUSZOWA WYSTAWA FILATELISTYCZNA** urządzona została w 10 rocznicę istnienia Związku Filatelistów Polskich. Sale Polskiej YMCA wypełnione zostały standami i arcyciekawymi eksponatami, (przedstawionymi w 100 ramach), które odznaczone zostały różnego rodzaju medalami i dyplomami. Prezes Związku płk. J. Berek pokazał swój zbiór znaczków I Polskiego Korpusu, stanowiący unikat na miarę międzynarodową.

J. Ostr.

**OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“ CZYTAJĄ POLACY W 25 KRAJACH ŚWIATA**

*Inwazja Czechosłowacji i jej wojskowe następstwa.* O ile bezprawna inwazja i okupacja Czechosłowacji przez oddziały pięciu „bratnich“ armii zaskoczyła niemal wszystkich, o tyle nieprzewidzianej się jej przez czechosłowackie siły zbrojne bodaj nie było dla nikogo niespodzianką. Mimo ich na wskrós nowoczesnego uzbrojenia i wyposażenia (ca 3.000 czołgów i pojazdów pancernych, ca 800 samolotów bojowych) oraz stosunkowo wysokiego stanu liczebnego (ca 220.000). Nakazane przez ich zwierzchnika, prezydenta-generała Svobodu, zresztą „bohatera ZSRR“, ich pozostanie w koszarach nie było niespodzianką nie dlatego, że już w 1938 r. nie stawili one oporu Niemcom, ale dlatego, że ich położenie było obecnie jeszcze bardziej beznadziejne niż wówczas: jeszcze większa dysproporcja sił, spotęgowana niemożnością przeprowadzenia mobilizacji, zupełny brak umocnień, zagrożenie z trzech stron, wreszcie psychologiczny efekt dwudziestoletniej, „bratniej“ współpracy z obecnymi najeźdźcami. Że w tych warunkach opór nie mógłby trwać długo i zakończyłby się masakrą, nie może ulegać wątpliwości. Niemniej ta ponowna bierność czechosłowackiej „armady“ nie może nie odbić się ujemnie na jej morale i pozycji wśród czechosłowackiego społeczeństwa, a zwłaszcza wśród zapalnego, młodego pokolenia, które do walki się rwało. Pewne jest również, że jej uczuciowy stosunek do „bratnich“ armii najeźdźców musiał ulec radykalnej zmianie. Im dłużej sowieckie, wschodnio-niemieckie, polskie i inne obce oddziały pozostaną na terenie C.S.R., im więcej wtrącać się będą do służby i im większe czystki, redukcje i reorganizacje wymusza, tym mniej pewnym i sprawnym instrumentem bojowym stawać się będą te „neutralizowane“ siły czechosłowackie.

Ponowne sprowadzenie ich od wspólnego mianownika „moskiewskiego“ wymagać będzie lat, jak wymagała „sanacja“ węgierskich sił zbrojnych po powstaniu w roku 1956. Na razie Moskwa nie może bez ogródek liczyć na ich lojalność, choć, oczywiście, nie brak wśród nich elementów oportunistycznych lub z przekonania „quislingowskich“. Toteż wysoce prawdopodobne jest długotrwałe pozostanie sił okupacyjnych, zwłaszcza sowieckich, na terenie C.S.R., zwłaszcza, że „kompromis“, zawarty w Moskwie, ustalił jedynie kolejność wycofywania sił okupacyjnych, natomiast terminów nie określił, uzależniając je od postępów w „zawracaniu Czechosło-

wacji na właściwą drogę“, czyli od „widzimisie“ Moskwy. Do tego dochodzi, że nieujawniona dotychczas część tej „umowy“ niewątpliwie przewiduje także masowe wprowadzanie doradców sowieckich do wojska, lotnictwa i aparatu bezpieczeństwa wewnętrznego C.S.R.

Wobec faktycznej bierności Zachodu nie zdołają powstrzymać tego procesu ani tajne radiostacje, ani odmowy ratyfikacji, ani demonstracje uliczne, które z natury rzeczy stopniowo słabną. To zaciskanie kleszczy da na krótką metę zwycięstwo Moskwie i jej wiernym „rabom“ Ulbrichtowi i Gomułce, ale na dalszą metę stanie się ich kłęską, bo wprowadzenie prawa dżungli pogłębiło rysy w dawnym „monolocie socjalistycznym“ oraz pragnienie mas, i to nie tylko czechosłowackich, odzyskania swobody osobistej i niezależności od brutalnej dyktatury moskiewskiej.

Jak się odbije pogwałcenie Czechosłowacji, która tylko wkroczyła na własną drogę do socjalizmu i z układu warszawskiego wystąpić nie zamierzała, na stosunki sił między obu kruszącymi się blokami, zależeć będzie od reakcji państw należących do NATO na zmieniającą sytuację strategiczną na centralnym odcinku europejskim. Na razie zmieniła się ona (mimo obniżenia wartości sił czechosłowackich) na niekorzyść Zachodu. Nie tylko dlatego, że granica czesko-bawarska, około 380 km długa, została lub zostanie obsadzona przez 10 do 11 dywizji sowieckich, ale także dlatego, że do państw satelickich uczestniczących w podboju Czechosłowacji weszły nowe siły sowieckie, gdy państwa anglosaskie i „beneluksu“ jedynie wstrzymywały dalsze redukowanie sił stacjonujących na terenie N.R.F. Jeśli informacje dziennika niemieckiego „Die Welt“, powołującego się na dane wywiadu NATO, są ściśle, przerzucono z trzech zachodnich sowieckich okręgów wojskowych do państw satelickich około 430.000 żołnierzy i lotników, w tym rzekomo 2 lub 3 dywizje pancerne z rejonu Smoleńska do Polski, 4 dywizje piechoty z rejonu Kijowa do N.R.D., 4 dywizje desantu powietrznego z rejonu Żytomierza na Węgry i 2 dywizje do Bułgarii. Jeśli te dane odpowiadają prawdzie, dysproporcja sił konwencjonalnych, istniejąca na odcinku europejskim od dawna, jeszcze bardziej się pogłębiła, a na jej zmniejszenie — przy obecnym zaangażowaniu Ameryki w Wietnamie i nastawieniu Francji i W. Brytanii — nie zanosz się.

Kage

# Przyczynek do sprawy morderstwa cara Mikołaja II i jego rodziny w r. 1918

**B**ĘDĄC wiceprokuratorem sądu okręgowego w Czycie (obwód Zabajkalski), w początku sierpnia 1914 r. jako chorąży rezerwy („praporszczyk“) byłem powołany do czynnej służby wojskowej i w składzie sztabu 2-go korpusu syberyjskiego wyjechałem na zachodni front działań wojennych. Latem 1915 r. byłem odkomenderowany do sądownictwa wojskowego, a w końcu tego roku ewakuowano mnie z frontu do Władywostoku na stanowisko czasowo pełniącego obowiązki wiceprokuratora nadamurskiego wojskowego sądu okręgowego. Po rewolucji marcowej 1917 r. prokuratora irkuckiej izby sądowej Eugeniusza Nimandera usunięto z urzędu i prokuratorem mianowano Sergiusza Starynkiewicza. Za udział w organizacji wojskowej rosyjskiej partii socjalistów rewolucjonistów Starynkiewicz, będący wtedy aplikantem adwokackim w Moskwie, był skazany na 4 lata katorgi, zaś po odbyciu tej kary otrzymał pozwolenie na pobyt w Irkucku i był pracownikiem u miejscowego bogatego kupca Kamowa. Starszy prezes irkuckiej izby sądowej senator Mikołaj Jerakow, człowiek o poglądach liberalnych, po rewolucji pozostał na swym urzędzie. Starynkiewicz miał dobre stosunki z Jerakowem, więc zwrócił się do niego z prośbą o wskazanie mu, kogo z sędziów Jerakow uważałby za odpowiednich kandydatów na stanowiska prokuratorów w okręgu irkuckiej izby sądowej, gdzie po wybuchu rewolucji z sześciu prokuratorów pięciu usunięto ze stanowisk. Jerakow wymienił Starynkiewiczowi żądanych kandydatów, a wśród nich i mnie. Po przybyciu do Władywostoku Starynkiewicz zaproponował mi objęcie jednej z prokuratur, obiecując wyreklamowanie mnie ze służby wojskowej. Nazwisko Starynkiewicza było mi znane, bo w Warszawie prezydentem miasta z nominacji był generał Sokrates Starynkiewicz, który był lubiany przez ludność, jako dbający o miasto i pozbawiony tendencji rusyfikatorskich. Jedną z ulic otrzymała jego nazwisko i po wskrzeszeniu nie-

podległości nazwy tej ulicy nie zmienił, gdy inne ulice, jak np. hr. Berga lub hr. Kocebu, dostały nowe nazwy.

Starynkiewicz oznajmił mi, że z rekomendacji Jerakowa proponuje mi jedną z wakujących we wschodniej Syberii prokuratur.

— Niech pan sobie wybierze sam pożądaną dla niego miejscowość.

— Miejscowości, której pragnę, pan nie jest w stanie mi dać, bo tą miejscowością byłaby Warszawa. Tutaj na Syberii wszystko mi jedno, gdzie mam być prokuratorem. Dlatego wybór pozostawiam panu.

— Dobrze. Proponuję panu Irkuck z następujących powodów: Jest to miasto, gdzie rezyduje izba sądowa, a w sądzie okręgowym jest najwięcej wiceprokuratorów, bo aż dziesięciu. Myślę, że pan da sobie z tym radę. I jeszcze jedna okoliczność. Dowiedziałem się, że były minister Szczełgłowitow odmówił przeniesienia pana z Czyty do Irkucka na stanowisko wiceprokuratora, uzasadniając odmowę tym, że w Irkucku było wtedy już dwóch wiceprokuratorów Polaków, a raczej, jak się wówczas mówiło, dwóch katolików. Skoro wtedy miał pan zamkniętą drogę do Irkucka na stanowisko wiceprokuratora, to teraz będzie pan tam prokuratorem.

Było to wypowiedzenie nieco teatralne — Starynkiewicz lubił dramatyczne gesty i wyrażenia. Zgodziłem się. W ten sposób za ministerstwa Kiereńskiego stałem się prokuratorem w Irkucku. Na tym stanowisku pozostawałem bardzo krótko. Do Irkucka przybyłem w listopadzie 1917 roku, a w grudniu tego roku w Irkucku nastąpił przewrót. Po dziesięciu dniach ulicznych walk bolszewickich żołnierzy z wiernymi rządowi tymczasowemu, podchorążymi ze szkół wojskowych, władza przeszła do bolszewików. Ze względu na osobiste bezpieczeństwo było dla mnie wskazane opuszczenie Irkucka. Udało mi się wyjechać do Władywostoku. Jesienią 1918 r., po obaleniu przez Czechów władzy sowieckiej na Syberii wróciłem do Irkucka. Tymczasem Staryn-

kiewicz w rządzie admirała Kołczaka został ministrem sprawiedliwości. Zaważowała prokuratura we Władywostoku i Starynkiewicz na mą prośbę przeniósł mnie tam. Prokuratorem we Władywostoku byłem niedługo. W marcu 1919 r. Kołczak ogłosił akt uznania, jako jednego z wyników wojny, niepodległego państwa polskiego i nadał Polakom, poddanym rosyjskim, prawo opuszczenia poddaństwa rosyjskiego z konsekwencjami prawnymi. Natychmiast zgłosiłem wyjście z poddaństwa rosyjskiego z podaniem o uwolnienie mnie z urzędu, którego jako cudzoziemiec nie miałem już prawa zajmować. Otrzymałem dymisję i wkrótce wyjechałem do Kraju.

\* \* \*

Po zrzeczeniu się w dniu 15 marca 1917 r. tronu car Mikołaj II chwilowo przebywał w Pskowie, później w Carskim Siole i 14 czerwca 1917 r. z rodziną i paru członkami świty był zesłany do Tobolska w zachodniej Syberii. Rząd Wielkiej Brytanii zwrócił się do rosyjskiego rządu tymczasowego z propozycją zezwolenia b. carowi z rodziną wybrania sobie Anglii na miejsce pobytu. Ta propozycja nastąpiła w związku z węzłami pokrewieństwa, łączącymi cara, a zwłaszcza carową Aleksandrę-Alicję Hessen Darmstadt z angielskim domem królewskim. Rząd tymczasowy nie przyjął propozycji. Ministrowie Kiereński i Milukow oświadczyli, że bezpieczeństwo rodziny carskiej jest w Rosji zapewnione. Dowodem, że ci ministrowie, oczywiście bona fide, mylili się, jest ich ucieczka z Rosji za granicę w tym samym 1917 roku.

Zwycięskie posuwanie się na zachód oddziałów czeskich pod dowództwem generałów Gajdy i Syrowego, oddziałów złożonych z Czechów, którzy byli jeńcami na Syberii, zmusiło władze sowieckie do przewiezienia cara z rodziną i świtą 26 kwietnia 1918 r. do Jekaterynburga (obecnie Świerdłowski). W tym mieście w domu miejscowego kupca Ipatjewa w nocy na 17 czerwca 1918 r. rodzina carska i osoby z nią będące, a mianowicie: car Mikołaj II, caryca Ale-



ksandra, wielkie księżniczki Olga, Tatiana, Maria i Anastazja, następcą tronu carewicz Aleksy, lejb-medyk dr Eugeniusz Botkin, kucharz Charytonow, kamerdyner Trupp, pokojowa Demidowa i pomocnik kucharza Siedniew zostali zamordowani przez bolszewików pod kierunkiem i dowództwem Jankła Jurowskiego. Mordercy wywieźli trupy i spalili je w szachtach kopalni „Czterech Braci“, w odległości 24 wiorst od Jekatierynburga.

\* \* \*

Po wspomnianym wyżej pokonaniu przez Czechów bolszewików na Syberii w tym kraju i we wschodniej części Rosji europejskiej, na wolnym od bolszewików terytorium, powstał konglomerat rządów miejscowych. 23 września 1918 r. w Ufie utworzył się „dyrektoriat“ w składzie Awksientjewa, gen. Bołdyriewa i Zienzinowa. W zachodniej Syberii separatyści syberyjscy utworzyli w Omsku rząd syberyjski z prezesem izby sądowej w Omsku Wołogodskim na czele. Następnie zwyciężyły tendencje centralistyczne i rząd syberyjski stał się rządem wszechrosyjskim z admirałem Kołczakiem na czele, który 8 listopada 1918 r. nadał sobie tytuł najwyższego zwierzchnika („wierzchny prawitiel“).

Po zajęciu przez wojsko Kołczaka Uralu i wschodnich rejonów Rosji europejskiej można było wszcząć śledztwo w sprawie morderstwa rodziny carskiej. Adm. Kołczak zlecił gen. Diterichsowi nadzór nad prowadzeniem śledztwa. Do przeprowadzenia śledztwa adm. Kołczak powołał sędziego śledczego do spraw szczególnej wagi Sokołowa.

Wyniki swej pracy gen. Diterichs i sędzia Sokołow ogłosili w książkach:

M.K. Diterichs. Zabójstwo rodziny carskiej i członków domu Romanowych na Uralu. Władywostok 1922 (po rosyjsku);

N.A. Sokołow. Zabójstwo rodziny carskiej. Berlin 1925 (po rosyjsku);

Skołow N.A. Enquête judiciaire sur l'assassinat de la famille impériale russe. Payot, Paris, 1924.

Te trzy prace były głównym źródłem niniejszego artykułu — z dodaniem moich osobistych wspomnień.

Przy prowadzeniu śledztwa były ujawnione różne przedmioty stanowiące dowody rzeczowe. Przedmioty te znaleziono w piecach w domu Ipatiewa i w dołach na śmieci, jakoteż

u wartowników domu Ipatiewa i w ich mieszkaniach. Wykaz dowodów rzeczowych obejmuje 461 pozycji. Wśród dowodów rzeczowych były, między innymi, następujące przedmioty. — Drewniany obrazek z uszkodzoną podobizną świętego. — Na odwrotnej stronie careya Aleksandra napisano ołówkiem: „ocal i zachowaj“ (spasi i sochrani) 1917 r.“. Ten obrazek był podarunkiem carecy na Boże Narodzenie dla wielkiego księcia Aleksego.

Złota proteza doktora Botkina.

Czarny morowy krawat z naszytą na nim wstążką orderu św. Włodzimierza, własność dr. Botkina, który stale na tej wstążce nosił order św. Włodzimierza 3 klasy.

58 świętych obrazków rodziny carskiej, 48 książek carecy, wielkich księżniczek i carewicza Aleksego; jego dziennik.

Dwie złote spinki, złota obrączka 94 próby, 9 medalionów, złoty krzyż, złoty łańcuszek z 3 krzyżykami.

Brylant carowej wagi 12 karatów oprawiony w złoto i platynę. Wartość tego brylantu przed rewolucją była 20.000 rubli (dwa tysiące funtów szterl. według ówczesnej relacji).

Krzyż szmaragdowy, trzy topazy z naszyjnika, kolczyk z perłą i brylantami, 13 dużych pereł wysokiej wartości i jakości.

Gen. Diterichs w swej pracy zaznaczył, że większa część dowodów rzeczowych, a w niej te, które posiadały znaczną materialną wartość, była przekazana wedle wskazówki adm. Kołczaka na przechowanie w bezpiecznym miejscu jako cenne i o historycznym znaczeniu mienie.

I ja miałem do czynienia z niektórymi, nielicznymi, z wymienionych dowodów rzeczowych.

W pierwszej połowie 1919 r., kiedy byłem jeszcze na urzędzie prokuratora sądu okręgowego we Władywostoku, przyjechał tam specjalnym pociągiem gen. Diterichs z oficerami i szeregowymi armii adm. Kołczaka. Pociąg ulokowano na jednym z pasowców torów. Przy każdym z wagonów dniem i nocą i stali wartownicy. We Władywostoku rozpowszechniła się plotka, że gen. Diterichs przywiózł trupy rodziny carskiej dla przewiezienia ich do Anglii na angielskim krążowniku Kent, który wtedy stał w porcie władywostockim.

W czasie pobytu gen. Diterichsa

dostałem od sędziego śledczego Sokołowa z Omska tak zwaną rekwizycję, to jest żądanie, aby jeden z miejscowych sędziów śledczych w mojej obecności dokonał oględzin i sfotografowania dowodów rzeczowych w sprawie zabójstwa rodziny carskiej. Oględziny i fotografowanie należało dokonać w pociągu gen. Diterichsa, który okaże wyszczególnione w rekwizycji dowody rzeczowe. Jeden egzemplarz protokołu oględzin z jednym kompletem zdjęć fotograficznych miałem doręczyć gen. Diterichsowi ze zwrotem mu dowodów rzeczowych. Drugi egzemplarz protokołu i komplet zdjęć fotograficznych miałem przesłać sędziemu śledczemu Sokołowowi. Rekwizycja obejmowała także żądanie przesłuchania przez sędziego śledczego w mojej obecności zamieszkałego we Władywostoku ppłk. Botkina, rodzzonego brata lejb-medyka Botkina.

Z sędzią śledczym i fotografem przybyłem do gen. Diterichsa. Wydał on nam dowody rzeczowe i przystąpiliśmy do pracy. Większa część dowodów składała się z damskiej odzieży (bluzki, spódnice) i bielizny podartej i uszkodzonej widać przez ogień. Oprócz tego był opisany wyżej obrazek — dar carowej dla carewicza, krawat dr. Botkina z wstążką orderową i złota proteza.

Ppłk. Botkin po okazaniu mu krawata z wstążką i protezy zeznał, że brat zawsze nosił ten krawat i wstążkę oraz, że miał podobną do okazanej protezę.

Cały dzień spędziliśmy na pracy w pociągu. Gen. Diterichs zaprosił nas na obiad do swego wagonu salonowego. Rozmowa była dość oziębła. Gen. D. uznał za właściwe wyrazić swój pogląd na prawników, mówiąc, że zwykle oni z powołaniem się na jakieś przepisy prawne hamują przebieg spraw. W milczeniu wysłuchaliśmy generalskich poglądów o konieczności czasami nieliczenia się z prawem.

Według dość uprzedzonych poglądów dowody rzeczowe, które nam były okazane, popłynęły na krążowniku Kent do Anglii.

Czy istotnie popłynęły, czy dopłynęły i gdzie są przechowywane?

W czasie dokonywania oględzin nie wiedziałem, że była to tylko cząsteczka, bardzo mała, z kilku setek ujawnionych corpora delicti. Czy zachowa-

(Dokończenie na str. 38)

## NATURA MA ŚRODKI NA KAŻDĄ DOLEGLIWOŚĆ

Trudno jest może pogodzić się z etyką lekarską pewnego peruwiańskiego profesora chirurgii nazwiskiem Humberto Covvarubias, lecz przyznać należy, iż operacja, jakiej niedawno doznał, uspokaja — by tak powiedzieć — nasze lęki „wstecz“, jeśli chodzi o cierpienia fizyczne przynajmniej niektórych z naszych przodków. Wspomniany profesor przeprowadził bowiem w szpitalu miasta Cuzco operację w identyczny sposób, jak przed najazdem Pizarra na Peru, operowali swoich pacjentów inkasy medycy.

Operację swą profesor zaczął od narkozy, przygotowanej dokładnie podług przepisów staro-inkaskich: był to napar z mieszanki całego szeregu narkotycznych ziół. Pacjent zasnął natychmiast głębokim snem i wówczas to doktor Covarrubias przystąpił do dzieła, posługując się instrumentami chirurgicznymi z muzealnych eksponatów, oczywiście uprzednio dokładnie oczyszczonymi ze śnieży i rdzy wieków, ale nie wysterylizowanymi. Pacjent — indiański tubylec, został ciężko zraniony w brzuch przez rozjuszonego byka. Do zeszcicia więc tej rany profesor Covvarubias mu-

siał użyć muzealnych skalpelów, odczątków, szczypców oraz igieł. Po oczyszczeniu rany, połataniu rozdartych mięśni i wreszcie po zeszciciu skóry, personel szpitala w Cuzco, pod nadzorem swego „awangardowego“ szefa zastosował środki dezynfekcyjne, również jak i narakoza — oparte na wyciągach z ziół. Po ukończonej operacji, kóra była jednocześnie demonstracją dla studentów medycyny, profesor zapoznał swoich uczniów i podwładnych ze skomplikowaną techniką chirurgiczną, jaką posługiwali się Inkasi. Okazuje się, iż znali oni, między innymi, metody łączenia naczyń krwionośnych za pomocą włókna roślinnego i umieli zatrzymać krwotoki — pajęczyną, co bardzo nam, Polakom, przypomina praktyki Maćka z Bogdańca z sienkiewiczowskich „Krzyżaków“. Ponadto, Inkasi przysypywali rany popiołem ze specjalnych roślin, które prawdopodobnie zawierały coś w rodzaju naturalnej penicyliny. Lecz ponad wszystko, inkasy lekarze znali potęgę otaczającej ich przyrody.

Zapewne z punktu widzenia etyki, chirurg peruwiański nie miał prawa przeprowadzenia takiej operacji. Z punktu widzenia jednak nauki — wykazał, że w samej naturze kryje się lekarstwo na każdą niemal ludzką dolegliwość.

Po udanej operacji, po której pacjent szybko powrócił do zdrowia, profesor Covvarubias zachęcił swych studentów, aby po skończeniu studiów udali się w dżunglę, do indiańskich osiedli i tam poszukiwali dalej tych tajemnic, z których wielu, dzisiejsza medycyna wciąż się jeszcze tylko domyśla.

## LITANIA PECHÓW

Mówimy nieraz potocznie, że czyjeś szczęście jest bezgraniczne. To znaczy — jakie? Niekończące się? Wieczne? Ale mniejsza z tym. Rzadziej natomiast mówimy: „bezgraniczny pech“, wolać wyrażenie „pech wyjątkowy“.

A jednak zdarza się właśnie „pech bezgraniczny“. Do tego gatunku należy pech, jakiego doznał pewien skromny człowieczek w Argentynie. Odbiorca tego pecha do kwadratu, czy pecha kosmicznego powinien właściwie codziennie dziękować Bogu, że w ogóle jeszcze żyje. A było to tak:

Pewien człowiek w Buenos Aires został skierowany do miejskiego szpitala na niepoważny zabieg wycięcia narośli na dużym palcu u nogi, ponieważ przeskadzała mu w pracy zawodowej, z czego można wnosić, że był zapewne kelnerem. Ten — założmy — kelner (bo prasa nie podała jego zawodu, ani jego nazwiska) bardzo prosił lekarzy,

aby mu do zabiegu dali całkowitą narkozę, a nie tylko lokalne znieczulenie, jakie się podobno w takich wypadkach stosuje. Dali mu, owszem. Niestety, od narkozy, czy z przypadku — pacjent dostał ataku serca. Zabieg odłożono, a delikwenta wsadzono pod namiot tlenowy. Pech jednak, kosmiczny pech, chciał, aby żołądek biedaka zareagował nieprzychylnie na zwiększoną ilość tlenu. Pacjent wił się w skurczach i omdlewał z bólu. Skończyło się to, zapadł na zapalenie otrzewnej. Gdy krzys minął — podczas przewożenia pechowca na szpitalnym wózku do zoperowania narośli na nodze — pacjent zleciał z wózka i złamał nogę i obojczyk, nie mówiąc, że serce z powodu tego nowego szoku — odezwało się znowu. Po czym — i tu już dziennikarze z gazety „El Mundo“, która to opisuje — nie wspominają dlaczego — musiano nieszcześnie dokonać zabiegu otwarcia krtań, aby mógł oddychać.

Cierpliwym mieszkańcem Buenos Aires przebywa więc już od wielu tygodni w szpitalu z nogą i obojczykiem w gipsie, z tubką w gardle i z tubką w żołądku, nie mówiąc o zwichniętej dłoni, która zdarzyła się nie wiadomo kiedy, pomiędzy „ważniejszymi“ wypadkami. Podobno leży jak trusia, spogląda na wystający spod koldry nieoperowany duży palec u nogi i mówi optymistycznie do odwiedzających go: „Mogło być gorzej. Mogli mi na przykład, przez mojego pecha odciąć stopę, wysterylizować, albo wsadzić do domu wariatów“.

## DOLA GENIUSZA

Prokurator miasta Nowy York skazał niedawno na więzienie pewnego geniusza naszych czasów, niejakiego Dawida Steina, który podobno malował lepiej od samego Leonarda da Vinci czy Gaugina. Dawid Stein w momencie aresztowania stał u progu milionowej fortuny.

Stein ma na sumieniu 200 podrobionych obrazów, od malarzy Cinquecenta począwszy — na Chagallu skończywszy. „Gdyby nie prokurator — powiedział Stein w ostatnim słowie na swą obronę — dostałbym za pięknego Chagalla 8 tysięcy dolarów. Oto jest dola geniusza w dzisiejszym świecie...“

Stein bowiem nie kopiował mistrzów. Byłoby to dla niego za łatwe. Prostu Stein wzywał się, by tak powiedzieć — w artystów, których podrabiał. Godzinami przesiadywał sam na sam z obrazem danego mistrza, którego chciał „ulepszyć“. Wyobrażał sobie stan duchowy malarza, jego nastrój, po czym w natchnieniu, zasiadał do sztalug i malo-

wało się tych parę setek i gdzie są przechowywane? Wszakże te przedmioty stanowią wielką pod względem historycznym i rosyjsko-narodowym wartość, a wiele z nich posiadało nadto znaczną materialną wartość.

I dlaczego potrzeba było dokonać oględzin częsteczki i materialnie bezwartościowych dowodów aż we Władystoku, a nie w Omsku, gdzie wtedy było jeszcze spokojnie i bezpiecznie?

Na te pytania nie dają odpowiedzi i wyjaśnień w swych pracach gen. Diterichs i sędzia Sokołow. Nawet wcale nie wspominają o fakcie wysłania dowodów rzeczowych do Władystoku. Odpowiedzi i wyjaśnień z ich strony już nie będzie, bo obaj nie żyją (sędzia Sokołow 23 listopada 1924 r. spoczął w Salbri we Francji).

I bodaj ja jedyny zostałem jeszcze z tych, co wiedzą o opisanym fakcie jako naoczni świadkowie.

A właśnie w roku bieżącym upłynęło 50 lat od morderstwa cara i jego rodziny.

Stanisław Lubodziecki



wał: Chagalla, Matissea, Picassa, Buffeta i innych. Malarze Renesansu byli — podług niego „łatwiejsi.“ Naiwność koncepcji dla człowieka współczesnego, bogactwo szat, przy braku wyrazu w obliczu — to wszystko było dla Steina do słownie dziecięcą zabawą.

Udając się na dłuższy wypoczynek do stanowego więzienia, Stein „udzielił wywiadu“ reporterom.

„Jak to robiłem? Bardzo prosto. Mieszkałem style. Współczesny malarz musi się bowiem na czymś opierać, sam nie wymyśli nic nowego, gdyż wszystko już było kiedyś wymyślone. Tworząc na przykład nowy obraz — (choć on sam nie namalował go nigdy) — Picassa, przez długie godziny wpatrywałem się w jego dzieło „Kobieta w Bieli“, mając jednocześnie na uwadze pewien portret Massaccio z 15 wieku. Oblicza na tych dwóch dziełach miały wiele ze sobą wspólnego. Rzecz jasna, że Picasso musiał wziąć od jakiegoś starego mistrza pomysł dla własnej „Kobiety w Bieli“. No i z takich kontemplacji dwóch arcydzieł powstawało własne: Picasso o wiele prawdziwszy i lepszy od innych Picassów... Tak, jestem zapoznanym geniuszem — zakończył swe wynurzenia Stein — i dopiero może przyszłe pokolenia zdadzą sobie sprawę kim naprawdę byłem...“

## PARADA KULTURY NA OLIMPIADZIE

Tegoroczna Olimpiada w Meksyku nie będzie obejmować jedynie sportu. Jak niedawno oświadczył komitet organizacyjny Igrzysk Olimpijskich: „Zasadniczym zadaniem jest przywrócenie tym Igrzyskom pierwotnego, klasycznego charakteru — wyjątkowego wydarzenia kulturalnego“.

Pierwsza na tak sformułowane wezwanie odpowiedziała Hiszpania, wysyłając do Meksyku najwspanialsze dzieła malarskie swych mistrzów z Muzeum Prado w Madrycie.

Turyści w Mexico-City będą więc mogli oglądać — poza zawodami na boiskach — takich mistrzów koloru i rysunku jak El Greco, Velasquez i Goya, których dzieła wystawione będą w meksykańskiej Galerii Sztuk Pięknych. Innych dwanaście państw pokaże swe najcenniejsze eksponaty na tak zwanej „Ulicy Sztuki“, ciągnącej się przez miasto na długości ponad 8 kilometrów.

„Kamieniami milowymi“ są na tej ulicy 24 rzeźby wykonane w żelazo-betonie. Niektóre z nich, a każda jest wysoka na 20 metrów, są replikami totemowych obelisków, stojących od wieków w sercu meksykańskiej, przedcortezowskiej kultury Azteków.

Z. G.

STEFAN LEGEZYŃSKI

B.D.I.C

# ŚCINANE KWIATY

KAŻDA książka wydana na emigracji jest wydarzeniem. Choćby dlatego, że wydaje się tylko rzeczy dobre. W Kraju można sobie na wiele pozwolić, można wydawać książki „cegły“, tu gdzie odbiorca jest nieliczny, śmiecie nie pójdą. Nawet rzeczy znakomite mają kamienistą drogę przed sobą.

Oczywiście i emigracja ma swój margines. Właściciel drukarni jeśli jest pisarzem, łatwiej wydrukuje swój tomik wierszy niż inny. Wynik tego nierównego startu niweluje krytyka, która cokolwiek można by mówić o kumoterstwie, jest niezależna. Mówi się, że krytyka na emigracji jest licha. Nie jest to wcale prawdą.

Romanowiczowa, choć oparta o „Libellę“ paryską, nie korzysta z taryfy ulgowej. To prawdziwa pisarka, pisze krwią własnego serca. W tym piarstwie, które celuje wysoko, i pragnie międzynarodowego uznania, musi pokonywać przeszkody które sama sobie stawia. Tylko wysoka klasa może zdobyć uznanie krytyków Francji, Niemiec i innych europejskich krajów.

Takim etapem jest zawsze tłumaczenie z polskiego na obce języki. Ale i to nie jest znaczący, jeśli towar nie jest pierwszorzędny, idący z nurtem przedzącej idei czasu. Wiele polskich książek, znanych przez Polaków pisarzy, tłumaczonych na inne języki, nie zrobiło wrażenia. W tej chwili dużo polskich (oczywiście krajowych przeważnie) książek, tłumaczonych jest na język niemiecki. Ale wiemy, że to słabe książki, idące tematem, i za lat kilka nikt ich pamiętać nie będzie.

Romanowiczowa dobrze mieszka. Paryż, to jednak centrum tryskające nowościami.

„Łagodne oko błękitu“\*) łączy, moim zdaniem, wiele podniecających rzeczy. Choć my Polacy wiemy, że opisała nam Romanowiczowa przeżycia Polek, że chodzi o AK, to obcy czytelnik (kiedy to będzie wydane w innym języku) widzi cierpienia kobiet katowanych przez bestie. Jest to konflikt nie dwu narodów, Polaków i Niemców, ale raczej dwu poglądów na świat. Przecież Niemiec ginie w obronie Polki, może lepiej powiedzieć

\*) Zofia Romanowiczowa: „Łagodne oko błękitu“, „Libella“ Paryż 1968 r., stron 242. Okładkę projektował Marek Rudnicki.

ukochanej, bo jej narodowość nie gra dla niego roli.

Zofia Romanowiczowa umiała przerzucić sedno sprawy na ogólnoludzka arenę. Tak jak w „Quo Vadis“ nie ochrzczonych Żydów rozrywały lwy na arenie, ale chrześcijan (ich narodowość nie grała roli) tak tu „brązowa ideologia“, zjada ludzi ideologii „błękitnej“ czy „białej“. Hitler jest wspomniany w książce mimochodem, gdyż nie o nazwisko chodzi. Ci ludzie byli pod władzą bestii, nad-bestii, i to się tylko liczy.

Ktoś mógłby powiedzieć, że Romanowiczowa wprowadziła może dla kontrastu, aby powieść nie była taka matowa, dobrego Niemca. Nie, nie o Niemca tu chodzi, ale o sumienie i uczucie, które życiem płaci za sprzeciwienie się rozkazowi bestii. Czytając „Łagodne oko błękitu“, gdyby nie łagodność kobieca, i czułość, którą karty powieści są przepełnione, myślałbym, że napisał to praski Żyd Kafka.

Jak u niego, oglądamy kilka naczyń połączonych. Chemik smaży to i owo. Przy eksperymencie odlewa jakąś niepotrzebną mu już substancję, dolewa drugiej. Zasadniczym składnikiem jest kwas siarkowy. Prędzej czy później on zatryumfuje.

Przez nadanie powieści cech ponadczasowych, gdzie najważniejszą rzeczą jest cierpienie, uzyskuje Romanowiczowa pełnię artystycznej wymowy. Wciąża nas. Współczujemy tym biednym dziewczętom. Wśród tych polskich dziewcząt (polskich, bo tylko Polki mogą tak odczuwać jak bohaterki tej powieści) jest i autorka, zakamufLOWANA jako stara nauczycielka. Przez jej oczy współczujące oglądamy innych.

Postać nauczycielki rysowana jest przez opis wydarzeń z jej minionego życia. A jednak nie jest ona dorysowana. Romanowiczowa stworzyła tu postać, której czegoś brak. Nie znalazłem różnic między białym a czarnym jej duszy. Jest dla mnie zagadką.

Ładunkiem, który nadaje ciepło całości są opisy miłości, niespełniona wielka miłość, inna mniejsza, ale spełniona. Romanowiczowa w tej nieludzkiej sytuacji jaką stwarza kafkowska katownia, umiała przejść ruchem piórka. Strasznych scen nam nie pokazała, są u niej tylko aluzje, a poza tym nie ma tu słów grubych. Romanowiczowa stwarza nastrój poezji, i tym książkę przytula do naszych serc.

Ś. † P.

**ANTONI BORMAN**

Współzałożyciel, współwydawca, dyrektor wydawnictwa „Wiadomości Literackich“ w Kraju i „Wiadomości“ na emigracji od ich początków przez lat 44.

Urodzony w Warszawie 30 lipca 1897, zmarł w Londynie 16 września 1968 — został odprowadzony na wieczny odpoczynek na Hampstead Cemetery w Londynie 20 września 1968.

Niemal przez pół wieku służył kulturze polskiej niezmodernowaną pracą i wybitnymi zdolnościami. Zapisał się trwale w historii polskiej prasy literackiej i w sercach licznych przyjaciół.

**REDAKCJA „ORLA BIAŁEGO“**

Ś. † P.

Generał Brygady

**LEON STRZELECKI**

Dowódca 1 Pułku Ułanów Krechowieckich im. płk. Bolesława Mościckiego w latach 1930—34 i 1946—47.

1 oficer do zleceń Gen. Inspektora Sił Zbr., szef Biura Inspekcji GISZ, d-ca Podolskiej Brygady Kawalerii, Kawaler Orderu Virtuti Militari kl. V, odznaczony wieloma wysokimi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi, członek SPK od jego założenia zmarł nagle 7 września 1968 r. w Londynie.

Odszedł od nas żołnierz, gorący patriota oddany pracy kombatanckiej i społecznej na obczyźnie.

Cześć Jego Pamięci!

**Stowarzyszenie Polskich Kombatantów  
Koło Nr 15/Suw. B.K.**

**JESZCZE O MUNDURZE MARSZAŁKA  
PIŁSUDSKIEGO**

W toczącej się na łamach „Orla Białego“, przydługiej polemice między pp. Dąbrowskim i Stamborowskim ten ostatni zaapelował do mnie, bym ostatecznie wyjaśnił, kiedy nasz ówczesny Naczelnny Wódz stopień marszałka przyjął. Czy dopiero, jak ja swego czasu podałem, po wojnie polsko-bolszewickiej, czy też, jak twierdzi p. Adam Dąbrowski, już w 1919 roku, gdy Główna Komisja Weryfikacyjna mu ten stopień zaproponowała.

Tak się wyjątkowo składa, że częściowo mamy obaj rację. P. Adam Dąbrowski pod względem formalnym, ja pod względem faktycznym. Faktem jest, że Główna Komisja Weryfikacyjna już w roku 1919 ten stopień zaofiarowała (do nominacji nie była uprawniona) i że wniosek ten został (wraz z innymi) przez Komendanta — jako Naczelnika Państwa — parafowany i w „Monitorze“ ogłoszony.

Faktycznie jednak ówczesny nasz Naczelnny Wódz stopnia tego nie przyjął i nie używał, bo był zdania, że stopień ten należy się jedynie zwycięskiemu naczelnemu wodzowi. Dlatego do końca kampanii 1919/1920 nie nałożył mundur marszałkowskiego i pod żadnym rozkazem nie podpisywał się jako „marszałek“. Zrobił to po raz pierwszy, podpisując po zawieszeniu broni ów pamiętny „Rozkaz do żołnierzy“. Dopiero wówczas kazał też przygotować mundur z wszystkimi przepisowymi dystynkcjami marszałkowskimi, aczkolwiek w nieprzepisowym już kolorze szaro-niebieskim, do którego przywykł. Mundur ten przygotował krawiec Spinka, mający swój warsztat na Krakowskim Przedmieściu. W mundurze tym wystąpił Marszałek po raz pierwszy 11-go czy 14-go listopada 1920 roku z okazji wręczenia mu buławy marszałkowskiej przed Reursą Obywatelską.

Dodam, że i rogatywka (oczywiście szara) została wówczas przygotowana, jednak jej nawet przyjąć nie chciał, żartując, że ma już rogatą duszę. Przekonany jestem, że wzgardził tym nakryciem głowy nie dlatego, że było „nietwarzowe“ lub

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francje — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Llnen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikićniuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



## LISTY DO REDAKCJI (c. d.)

niedostatecznie oryginalne, ale jedynie przez sentyment do legionowej maciejówki.

Marszałkiem Francji, jak słusznie podkreślił p. Adam Dąbrowski, Piłsudski nigdy nie został. Ani Paryż nie ofiarował mu tego stopnia, ani Warszawa o jego przyznanie nie zabiegala.

Kazimierz Glabisz

London.

## SZKOCKA PIEŚŃ POŻEGNANIA

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze wrześniowym (50) „Orla Białego“ na str. 31 kroniki „Z życia polskiego“, chochlik wypaczył sens zdania, w którym jest mowa o sławnej szkockiej pieśni Roberta Burnsa „Auld(old) Lang Syne“.

Powinno być: „Should auld acquaintance be forgot...“ Jest to tzw. pytanie retoryczne, na które w tym przypadku, musi być odpowiedź negatywna: „Czy należy zapomnieć o starej przyjaźni...“ pyta poeta a w „Orle“ czytamy, że tak...

Pieśń Burnsa niezmiernie popularna w Szkocji została przez rodaków poety roznieśiona po całym świecie jako pieśń toastowa (tradycyjnie wita się nią Nowy Rok) i pożegnania. W tym ostatnim charakterze słyszeli ją często żołnierze polscy wyjeżdżający ze Szkocji. Żeby świadczenie nie było jednostronne — orkiestry wojskowe szkockie grały zaraz po „Auld Lang Syne“ — „Góralu czy ci nie żal“?

Łączę wyrazy szacunku

Ludwik Bojczuk

London.

## ERRATA

W ostatnim numerze „Orla Białego“ u-mieściliśmy sprawozdanie z uroczystości poświęcenia sztandaru z okazji 2-lecia istnienia Koła SPK w Glasgow. W sprawozdaniu tym zaszła pewna omyłka, za którą organizatorów uroczystości przepraszamy, a którą niniejszym prostujemy.

Zarówno w sprawozdaniu jak i w podpisie pod kliszą na str. 31 napisaliśmy, iż nowopowświęcony sztandar z rąk gen. Maczka odebrał gen. K. Glabisz. Tymczasem powinno być:

wiceprzewodniczący Komitetu Wykonawczego S. A. Żmijewski odebrał nowopowświęcony sztandar od rodziców chrestnych i przekazał go gen. S. Maczkowi z prośbą o wręczenie Koła SPK w Glasgow. Gen. Maczek przekazał z kolei sztandar prezesowi M. Brodzińskiemu, od którego sztandar — kładąc — odebrał chorąży pocztu Wł. Studziński.

Dodać także należy, iż mistrzem ceremonii zarówno w czasie wspólnego obiadu jak i w czasie akademii był kol. S. A. Żmijewski.

## A P E L

Szanowni Rodacy!

Piszemy z Ziemi Świętej, która rok temu przeszła krwawe, ciężkie dni wojny. Obecnie nie ma jeszcze pokoju, a skutki

Ś. † P.

## Inż. ROMAN SURYN

Podpułkownik Lotnictwa Polskiego i R.A.F-u, odznaczony trzykrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości z Mieczami (P.O.W.) i wielu innymi odznaczeniami polskimi, angielskimi i francuskimi, zmarł 14 sierpnia 1968 roku w San Juan (Argentyna) w wieku lat 67,

o czym zawiadamiają

żona Janina Surynowa Wyczółkowska,  
Córka, Zięć i Wnuk.

## K R Z Y Ż Ó W K A Nr 608/68

## ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 1) i 5) niejedynolity bieg wypadków, z muzyką?; 3) i 16) pobudza apetyt; 8) bardzo kosztowne zwierzęta?; 10) głos młynka lub kołatki; 11) miasto Apolla; 12) diabelskie miejsce pod Lwowem (10, 5); 15) i 18) szybki jak mucha w smole?; 20) i 22) Dzwonnik z Notre Dame; 21) część ubrania; 25) najpopularniejszy dziś polityk (wspak); 26) bez celu; 27) polska tułaczka.

**Pionowe:** 1) rodzaj pomnika; 2) i 6) kara, którą diabli zgotowali dla Nowosilcowa; 4) od mądrości i od oliwki; 7) najlepsza z mięsa?; 9) wyrażenie właściwe dla danego języka; 10) osoba nadludzkiego umysłu i siły; 13) „Pieta“ lub „Mojżesz“; 14) kościuszkowski żołnierz; 15) popularny instrument muzyczny; 16) instrument magika?; 17) spokojny w ocenie; 19) wyspy, wśród których podróżował Odysseusz; 23) drobna moneta starogrecka; 24) pisarka francuska związana z wybitnym Polakiem (wspak).

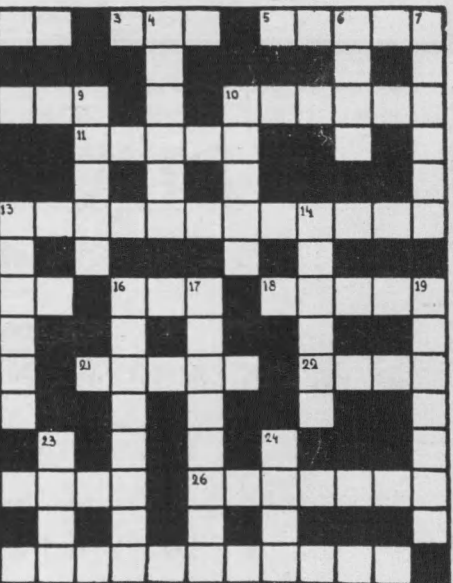
## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 607/68

**Poziome:** 1) gusła, 3) i 16) Trajan, 5) Tacyt, 8) okazja, 10) kopyto, 11) Ro-

dos, 12) Anna Jagiellonka, 15) i 18) Hipokrates, 20) nasz, 21) kutwa (wspak), 22) Juno, 25) lumbago (wspak), 26) cierpie, 27) Czarny Dunajec.

tego najwięcej odczuwają słabe i niewinne dzieci. Będąc naczyniami świadkami przeżywałyśmy tragedię życia tutejszej ludności. Wiele dzieci jest osieroconych, błagają się po ulicach Jerozolimy, prosząc o kawałek chleba.

W obronie ich życia otworzyliśmy sierociniec w wynajętym domu na Górze Oliwnej. Utrzymujemy się wyłącznie z ofiar dobrych ludzi i do tego opłacamy czynsz mieszkaniowy. Obecnie nadarzyła się okazja kupienia domu na sierociniec. Jako Polki jesteśmy w trudnej sytuacji. Z Ojczyzny nie otrzymamy pomocy. Zwracamy się więc do Emigracji Polskiej z go-



racą prośbą o udzielenie nam choćby małej, jednorazowej ofiary.

Gdyby Szanowni Rodacy zechcieli poruszyć serca swoich Przyjaciół, a tym samym zachęcić do złożenia ofiary, byłibyśmy bardzo wdzięczne i zobowiązane.

Zawsze życzliwe i wdzięczne siostry

(—) S. Imelda

P.S. Ofiary prosimy przysyłać czekiem w liście poleconym (Registered) i lotniczym pod adresem: HOME OF PEACE, Sisters of St. Elizabeth, Mount of Olives, P.O.B. 19/1054. Jerusalem.

# 1,000,000

GILETTE super silver  
wysłał w bieżącym  
roku do Kraju  
T A Z A B

- Obecnie cło zostało podniesione z 1 zł. i pół na 10 zł. od sztuki, co oczywiście zlikwidowało opłacalność wysyłki większych ilości. (Do 30 sztuk cło wynosi tylko 3 zł. od sztuki).
- Powyższą podwyżkę tak uzasadnia „Życie Warszawy“ z 19 lipca: ... „za każdy dolar wydany za granicą na zakup „Silverów“ otrzymywało się w Kraju do 280 złotych.“
- Tak było istotnie i TAZAB ma pełną i wyłączną satysfakcję wprowadzenia tego towaru i ułatwienia naszym Klientom na całym świecie NAJKORZYSTNIEJSZEJ pomocy rodzinom.
- Okazja ta została obecnie przekreślona, ale w najnowszych ILUSTROWANYCH KATALOGACH TAZABA ZNAJDĄ ZAINTERESOWANI INNE KORZYSTNE OKAZJE.

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

**TAZAB & Co., Tazab House** ROLAND GARDENS  
LONDON SW7

Tazab of London Inc., 16, STUYVESANT STREET, NEW YORK 3, N. Y. 10003

o r a z : Représentation de Tazab à Londres, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17-e.

## DLA SZKÓŁ

Już są do nabycia nowe wydawnictwa dla szkół przedmiotów  
ojczystych:

ANNA BOGUSŁAWSKA

### POCZĄTKOWA NAUKA CZYTANIA

*Przewodnik dla nauczyciela*

Cena: 10 sh.

JADWIGA OTWINOWSKA

### UCZMY SIĘ PISAĆ — Zeszyt III

*105 ćwiczeń oraz 10 tekstów przeznaczonych na dyktanda*

Cena: 3 sh.

KSIĘGARNIA S. P. K. — 20, Queens Gate Terrace,  
LONDON, S.W. 7.

GRYF PUBLICATIONS  
LTD.

LIDIA I ADAM CIOLKOSZOWIE

### ZARYS DZIEJÓW SOCJALIZMU POLSKIEGO

TOM I.

*Str. 520*

Cena: 63 sh.; F. 40.00; dol. 9.00

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W. 7.

*Doskonała książka na nagrody  
młodzieży w szkołach  
przedmiotów ojczystych*

### ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

*Opowieść o chłopcach z Legionów*

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.  
London, S.W. 11.

### Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6

„MATKI I ŻONY“ 18/6

„MIĘDZY LONDYNEM

I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej  
formie wprowadzają czytelnika  
w atmosferę walki, zaskakujących  
osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii  
Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,  
London, S.W.7.

i wszystkie kioski i księgarnie  
polskie

INSTYTUT LITERACKI  
SERIA „DOKUMENTY“

LEON MITKIEWICZ

### Z GEN. SIKOKRSKIM NA OBCZYŹNIE

(FRAGMENTY WSPOMNIEŃ)

*Str. 398*

Cena. 39 sh.; F. 23.00; dol. 5.00

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W. 7.